NASZA KASA
STR. 3

JAKA GASTRONOMIA?
STR. 12

HISZPANIA:
WÓDZ REBELII

CHINY:
KARIERA MADAME CIANG CING
STR. 10

BOLEK I LOLEK PO MATURZE
STR. 13

KIM BYŁ OSKAR FLATT?
STR. 9

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 47 (937) 20 LISTOPADA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

W szczytowej fazie będzie się tu wydobywać 40 mln ton węgla brunatnego rocznie. Największa obecnie tego typu kopalnia w RFN dostarczy w niedalekiej przyszłości 50 mln ton węgla, a nasz „Turów" i „Frommersdorf" mieszczą się w granicach 22–24 mln ton rocznie. Tak więc „Bełchatów" ustąpi wielkością wydobycia węgla tylko jednej kopalni na naszym kontynencie — „Fortunie" w Garsdorf. Ciekawe reportaże na temat naszej największej inwestycji znajdą Czytelnicy w bieżącym numerze „Odgłosów".

Pieniądze to bardzo interesujący temat, zwłaszcza jeśli chodzi o te, które znajdują się w naszych portfelach. Polecamy zatem naszym Czytelnikom artykuł K. Pogorzelca pt. „Nasza kasa". Również ciekawy problem omawia red. L. Włodkowski w publikacji pt. „Sposób życia".

20 listopada br. rozpoczyna się kolejna dekada książki społeczno-politycznej. Tradycyjnie już dekada ta odbywa się pod hasłem: Człowiek – Świat – Polityka. Także w tym numerze „Odgłosów" znajdziecie odpowiednie informacje na ten temat.

Jest w Łodzi niewielka uliczka Oskara Flatta. Ale nawet b. niewielu jej mieszkańców nie wie kto to był i co zdziałał. Ciekawych odsyłamy do materiału Mirosława Wojalskiego na str 9.

Hiszpania znajduje się w centrum uwagi światowej opinii publicznej. Z rosnącym niepokojem obserwujemy to co dzieje się obecnie na Półwyspie Iberyjskim – warto więc naszym zdaniem przeczytać „Wodza rebelii" pióra Andrzeja Blajera.

Artykuł Konrada Turowskiego pt. „Wszyscy wiedzieli, ale nikt się nie spodziewał" wywołał wiele komentarzy i listów. Jeden z nich zamieszczamy w bieżącym numerze.

Ponadto w bieżącym numerze znajdą Czytelnicy wszystkie stałe pozycje: program telewizyjny, informacje książkowe, felietony, recenzje oraz Magazyn, w którym drukujemy ciekawostkę z dawnej Łodzi pt. „Paradyz".

BEŁCHATÓW

IAN BĄBIŃSKI

GIGANT NAD WIDAWKĄ

Są to na razie makiety i fotografie, szkice, rysunki i plany sytuacyjne. Ta odkrywka istnieje, ale na... papierze. Ta koparka niebotycznej doprawdy wysokości już wgryza się w nadwidawskie piaski, lecz tylko w naszej wyobraźni. To właściwie cała fabryka do rwania, przerzucania i zwałowania ziemi. Przechodzi możliwość laika zrozumienie tego ogromnie złożonego mechanizmu, jaki sobą taka koparka przedstawia. Zresztą o cóż chodzi, rzecz niekoniecznie musi być zrozumiała, starczy, że jest pożyteczna.

Dalszy ciąg na str. 8

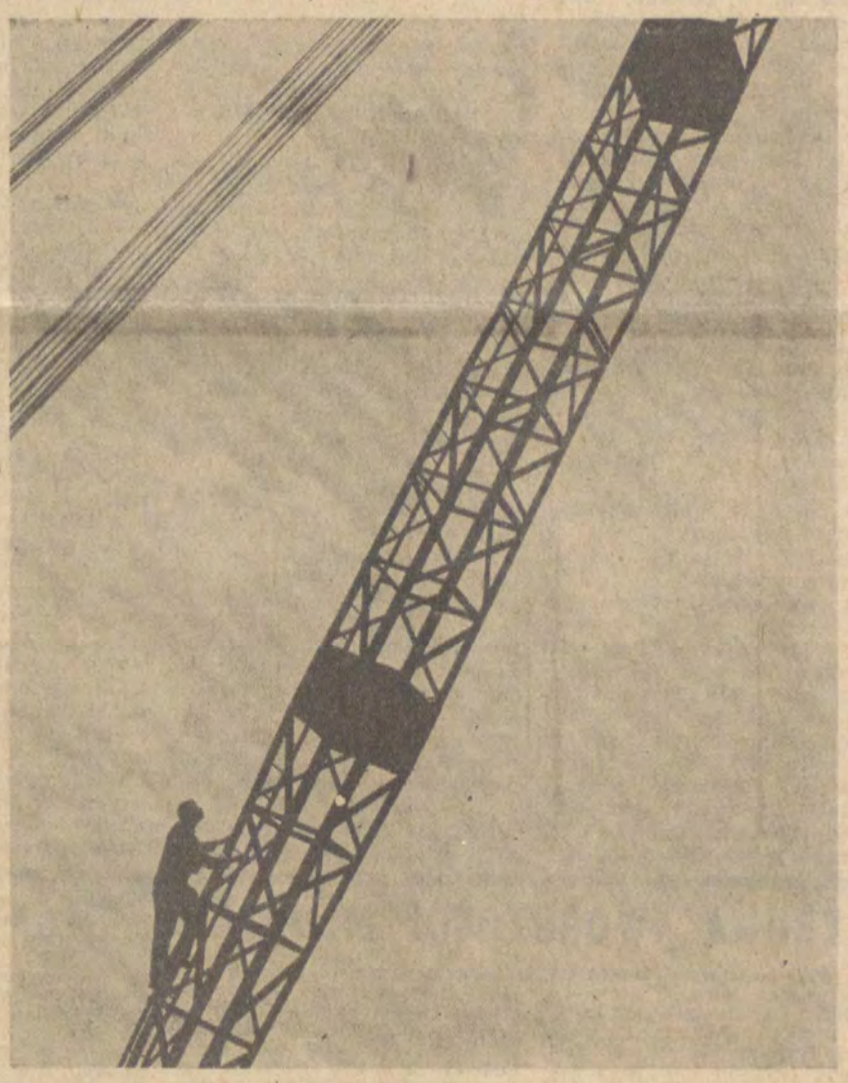

RYSZARD BINKOWSKI

CUKIERNIK NA KOPARCE

Wchodzi takie potężne chłopisko, przygładza falisty włos i patrzy przenikliwie. Bez pytania ładuje się ciężko w fotel.

— **A z robotą to u was jak?** — dudni.

Szef działu kadr Kopalni Węgla Brunatnego „Bełchatów", mgr **Jerzy Sura-Suszyński**, rzuca badawcze spojrzenie zza okularów.

— **Nie możemy narzekać** — mówi po chwili. — **Jest!**

— **A dla technika mechanika?** — pyta gość. — **Elektronika, wie pan...**

— **Gdzie pan pracuje?**

— **Jestem wolny** — elektronik uśmiecha się szeroko.

— **Od dawna?**

— **A czy to ważne?** — gość podskakuje nerwowo w fotelu.

— **Ważne. A poza tym etaty z pańską specjalnością mamy na ten rok obsadzone.**

— **Hm, tak** — mruczy wycofując się elektronik. — **No, trudno, to ja w przyszłym roku...**

Dalszy ciąg na str. 8

POLSKA – 75

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

SPOSÓB ŻYCIA

Można powiedzieć: – każdy wybiera sobie taki sposób życia na jaki go stać i innych powinno to mało obchodzić. Trudno zaprzeczyć, że w życiu każdego człowieka jest sfera takich zagadnień, które dotyczą jego bezpośrednio i o których on sam musi rozstrzygać we własnym sumieniu. Jeśli jednak podejmuję problem pod tytułem: SPOSÓB ŻYCIA, to przede wszystkim dlatego, że chodzi mi o społeczny sens tego pojęcia.

DWA POWODY

Do zajęcia się tą sprawą skłaniają dwa powody. **Powód pierwszy:** fakt, że znajdujemy się w takim momencie naszego historycznego rozwoju, który zmusza do zastanowienia się nad postawami społecznymi. Moment ten charakteryzuje się przejściem od ilościowego rozwoju gospodarki do rozwoju jakościowego. W okresie budowy podstaw socjalizmu w naszym kraju staraliśmy się stworzyć odpowiedni potencjał gospodarczy. Warto przypomnieć, że dokonaliśmy tego w szczególnie trudnych warunkach, kiedy trzeba było odbudowywać powojenne zniszczenia, nadrabiać zaległości i opóźnienia, kiedy świat był podzielony „żelazną kurtyną", a współpraca gospodarcza nawet wśród państw realizujących takie same cele społeczne nie była należycie rozwinięta. Warunki, w jakich budowaliśmy podstawy socjalizmu rodziły różnego rodzaju napięcia społeczne i gospodarcze, które niejednokrotnie znajdowały swój wyraz w ostrych konfliktach.

Ten etap rozwoju historycznego mamy już poza sobą.

Powód drugi: nasze przeobrażenia jakościowe dokonują się w warunkach rewolucji naukowo-technicznej. Rewolucją zwykliśmy nazywać gwałtowne przechodzenie zmian ilościowych w jakościowe. Nakładanie się naszych przeobrażeń jakościowych na dokonujące się przeobrażenia jakościowe w całym świecie zmusza nas do utrzymywania niezwykle szybkiego tempa przeobrażeń, do stawiania sobie ambitnych i śmiałych zadań. Rodzi to nowe napięcia społeczne, tym bardziej że przeobrażenia w świadomości społecznej następują wolniej niż przeobrażenia w sferze materialnej.

Już na **I Krajowej Konferencji Partyjnej** I sekretarz KC PZPR — **Edward Gierek** powiedział:

„Mamy wszelkie przesłanki ku temu, aby opracować i wcielić w życie w ciągu dwóch dziesięcioleci program zbudowania w naszym kraju rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego".

W **„Wytycznych Komitetu Centralnego na VII Zjazd PZPR"** określa się

Dalszy ciąg na str. 3

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

POPARCIE DLA POLSKIEJ INICJATYWY

Komitet Ekonomiczny ONZ przyjął stu głosami przy trzynastu wstrzymujących się zgłoszony przez Polskę projekt rezolucji w sprawie przeprowadzenia badań nad długofalowymi tendencjami ekonomicznymi w gospodarce światowej.

Polska inicjatywa została w ub. tygodniu przedstawiona na forum Komitetu Ekonomicznego ONZ w imieniu 23 państw reprezentujących wszystkie regiony świata.

Propozycja polska bierze pod uwagę postanowienia deklaracji i programu dotyczących nowego międzynarodowego ładu ekonomicznego, jak również postanowienia Karty Praw i Obowiązków Ekonomicznych Państw.

50 ROCZNICA ŚMIERCI St. ŻEROMSKIEGO

30 listopada mija 50 rocznica śmierci Stefana Żeromskiego. W całym kraju trwają uroczystości dla uczczenia pamięci i dorobku wielkiego pisarza. Szczególnie uroczyście rocznica obchodzona będzie na Ziemi Kieleckiej, z którą tak blisko związane jest życie i twórczość Stefana Żeromskiego

MIĘDZYNARODOWE FORUM W ATENACH

W ramach obradującej w Atenach Międzynarodowej Konferencji Solidarności z Narodem Chile odbyło się w sobotę młodzieżowe forum krajowych i międzynarodowych organizacji młodzieżowych i studenckich. Uczestnicy forum domagali się uwolnienia wszystkich więźniów politycznych w Chile i niedopuszczenia do rozprawy nad Luisem Corvalanem i innymi działaczami Frontu Jedności Ludowej.

Uczestnicy forum zwrócili się do młodzieży świata z apelem o dalszy rozwój masowego ruchu solidarności z narodem Chile. Zaaprobowali też wniosek w sprawie zorganizowania w roku 1976 międzynarodowego młodzieżowego spotkania solidarności z narodem Chile.

„MOŁNIA — 3" NA ORBICIE

W Związku Radzieckim wystrzelono na wysoką orbitę eliptyczną sputnika telekomunikacyjnego „Mołnia-3" wyposażonego w pokładową aparaturę retransmisyjna.

Nowy sputnik przeznaczony jest do obsługi systemu dalekosiężnej telefoniczno-telegraficznej łączności radiowej w ZSRR oraz do przekazywania programu centralnej telewizji ZSRR na punkty sieci „Orbita" i Interwizję.

DOGADALI SIĘ W SPRAWIE SAHARY ZACHODNIEJ

Między Hiszpanią i Mauretanią zostało parafowane porozumienie w sprawie przyszłości Sahary Zachodniej. Hiszpania, Maroko i Mauretania uzgodniły, że utworzą trojstronną tymczasową administrację, która sprawowałaby władzę nad terytorium Sahary Zachodniej aż do czasu, gdy wszyscy hiszpańscy obywatele oraz hiszpańskie oddziały wojskowe zostaną ewakuowane. Następnie trójstronna administracja miałaby przygotować obszar Sahary Zachodniej do podziału miedzy Marokiem a Mauretanią.

WNIOSEK O ZNIESIENIE STANU WYJĄTKOWEGO

Grecki minister sprawiedliwości Konstantinos Stefanakis zgłosił w parlamencie projekt ustawy przewidujący zniesienie dekretu z roku 1946 o stanie wyjątkowym. Dekret ten dający szerokie uprawnienia sądom wojskowym, był wykorzystywany przeciwko demokratom greckim w czasie rządów junty faszystowskiej.

NOWY PROGRAM ŁÓDZKIEJ TV

Ośrodek Telewizji Polskiej w Łodzi zaprasza do oglądania nowego programu rozrywkowego pt. „Koncert z dedykacją" emitowanego w każdą niedzielę w godzinach południowych w programie II. Audycja poświęcona będzie najlepszym załogom zakładów pracy województwa łódzkiego. Oglądać w niej będziemy czołowe zespoły i solistów kraju i zagranicy.

ZWIĘKSZENIE PRODUKCJI MEBLI

Podstawowym zadaniem przemysłu drzewnego w przyszłym 5-leciu jest zrównoważenie dostaw mebli z potrzebami rynku. Mimo bowiem 2,5-krotnego zwiększenia dostaw mebli, zaopatrzenie rynku jest nadal niedostateczne. Rozwój budownictwa mieszkaniowego oraz wydatna poprawa poziomu życia społeczeństwa, powodują, że zapotrzebowanie na meble wzrasta szybciej, niż możliwości ich zaspokojenia. Wszak kupują nie tylko ci, którzy otrzymują nowe mieszkania, ale również ludzie, których obecnie stać na podniesienie komfortu wyposażenia wnętrz i zmiany umeblowania.

Dla zaspokojenia stale rosnących potrzeb już w przyszłym roku uruchomione zostaną duże, nowoczesne fabryki mebli w Jarocinie, Ostrawi Mazowieckiej i Białymstoku oraz oddział produkcji mebli kuchennych w Wyszkowie. W następnych latach przyszłej 5-latki planuje się podjęcie budowy i eksploatację dwu kolejnych fabryk — w Suwałkach i w Drawsku.

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

HISTORIA NAJNOWSZA

30 lat temu rozpoczął się w Norymberdze proces głównych zbrodniarzy wojennych hitlerowskich Niemiec. W mieście Parteitagów NSDAP, Międzynarodowy Trybunał Wojskowy oskarżał zbrodniarzy wojennych, którzy dopuścili się przestępstw nieznanych dotychczas cywilizowanemu światu.

JAN POWAŁA

EPILOG NORYMBERSKI

Był to największy i jeden z najdłuższych procesów międzynarodowych. Trwał przeszło 10 miesięcy na 403 sesjach jawnych. Protokół procesu objął 4 miliony słów zapisanych na 16 tysiącach stronic. Oskarżyciele przedłożyli 2630 dokumentów, obrona — 2700. Materiał dowodowy został zebrany przez specjalną komisję powołaną przez Trybunał. Komisja na wniosek obrony przesłuchała 101 świadków i przedłożyła Trybunałowi 1809 zeznań pisemnych oraz 6 sprawozdań innych świadków. Po zakończeniu procesu materiały sądowe wydane zostały w 42 tomach i rozesłane do wszystkich krajów świata.

1.

Decyzje w sprawie ukarania hitlerowskich zbrodniarzy wojennych zapadły jeszcze w okresie trwającej wojny. Deklaracja moskiewska „O okrucieństwach" ogłoszona 1 listopada 1943 r. przewidywała ukaranie tych zbrodniarzy, którzy dokonali przestępstw naruszających prawa kilku państw. Stanowisko trzech mocarstw w tej sprawie zostało kolejno potwierdzone na konferencjach w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Po zakończeniu działań wojennych w Europie oraz podpisaniu bezwarunkowej kapitulacji Niemiec (08. 05. 1945 r.) przystąpiono do praktycznej realizacji postanowień deklaracji moskiewskiej.

08. 08. 1945 r. zostało zawarte w Londynie porozumienie między rządami W. Brytanii, USA Rządem Tymczasowym Republiki Francuskiej i ZSRR w przedmiocie ścigania i karania głównych przestępców wojennych krajów europejskich Osi oraz w sprawie Statutu Międzynarodowego Trybunału Wojskowego. Statut ten określił trzy grupy przestępstw międzynarodowych, będących zbrodniami:

▼ Zbrodnie przeciw pokojowi obejmujące planowanie, przygotowanie, wszczynanie lub prowadzenie wojny napastniczej albo wojny będącej pogwałceniem traktatów, porozumień lub gwarancji międzynarodowych, albo współudział w planie lub zmowie w celu dokonania jednego z tych czynów;

▼ Zbrodnie wojenne obejmujące pogwałcenie praw i zwyczajów wojennych, wśród których przykładowo, lecz nie wyczerpująco wymieniono: morderstwa, złe obchodzenie się z ludnością cywilną, deportacją ludności cywilnej, mordowanie lub złe obchodzenie się z jeńcami wojennymi lub osobami na morzu, zabijanie zakładników, rabunek własności publicznej lub prywatnej, rozmyślne burzenie osiedli, miast lub wsi albo dokonywanie spustoszeń nie usprawiedliwionych koniecznością wojenną;

▼ Zbrodnie przeciw ludzkości obejmujące morderstwa, wytępianie, obracanie ludzi w niewolników, deportacje i inne czyny nieludzkie, których dopuszczono się przeciwko jakiejkolwiek ludności cywilnej, przed wojną lub podczas niej, albo prześladowania ze względów politycznych, rasowych lub religijnych przy popełnieniu jakiejkolwiek zbrodni, wchodzącej w zakres kompetencji Trybunału lub w związku z nią, niezależnie od tego, czy było to zgodne, czy też stało w sprzeczności z prawem kraju — w którym zbrodni dokonano.

Proces głównych zbrodniarzy wojennych hitlerowskich Niemiec rozpoczął się 20 listopada 1945 r. Akt oskarżenia sporządzony przez Komitet oskarżycieli — przedstawicieli 4 mocarstw zarzucał głównym zbrodniarzom hitlerowskim ogromną ilość zbrodni. Spośród oskarżonych organizacji za przestępcze zostały uznane: korpus przywódców NSDAP, SS, Gestapo i SD.

Trybunał skazał — 12 zbrodniarzy na karę śmierci, 3 na karę dożywotniego więzienia, 11 na kary długoletniego więzienia, zaś 3 uniewinnił. Sędzia radziecki zgłosił zdanie odrębne (votum separatum) dotyczące uniewinnienia Schachta, Papena i Fritschego oraz skazania Hessa jedynie na karę dożywotniego więzienia. Obszernie umotywowane zdanie odrębne zostało dołączone do wyroku Trybunału.

Wyroki śmierci zostały wykonane w Norymberdze dnia 16 października 1946 r. na wszystkich skazanych na śmierć oskarżonych, z wyjątkiem Goeringa, który popełnił samobójstwo — w przeddzień egzekucji oraz Bormana, który był sądzony zaocznie. Ciała straconych zbrodniarzy spalono w krematorium obozu w Dachau, a prochy ich w tajemnicy przed prasą — rozsypano z barki wojskowej po bawarskiej rzece Izarze.

2.

Grupa osądzonych i skazanych była nieliczna, a dalszych procesów Międzynarodowy Trybunał Wojskowy już nie przeprowadzał. Narody świata żyły nadzieją, że dojdzie do osądzenia tych zbrodniarzy wojennych, których zbrodnie można było terytorialnie ustalić i którzy mieli być wydani tym państwom, gdzie dopuścili się przestępstw wojenych. Poza wspomnianą już deklaracją moskiewską stwierdzającą, że **„ci oficerowie i żołnierze oraz członkowie partii hitlerowskiej, którzy są odpowiedzialni za okrucieństwa i egzekucje, zostaną wydani państwom, w których dopuścili się zbrodni w celu osądzenia ich zgodnie z prawami tych państw"**, również inne dokumenty międzynarodowe potwierdzały ten stan rzeczy.

Wielu generałów Wehrmachtu, których należało osądzić i skazać w ogóle nie ścigano. Do takich należeli m.in. generałowie: Bach-Zelewski i Guderian. Inni generałowie hitlerowscy, których wobec ogromu przestępstw musiano — choćby dla pozoru — postawić przed własne sądy, otrzymali bardzo łagodne kary, albo w krótkim czasie zostali ułaskawieni. Spośród zbrodniarzy wojennych, skazanych na kary — więzienia, na wolności znaleźli się: feldmarszałek Kesserling, który bombardował Warszawę w 1939 r., gen. Henviczi — dowódca Wehrmachtu w Krakowie, gen. Falkenhorst znany kat ludności Norwegii, marszałek Milch — prawa ręka Goeringa do spraw Luftwaffe, marszałek List, który dokonał wielu zbrodni w Grecji, gen. Andreas — oprawca ludności Krety, gen. Rendulic — kat Jugosławii, gen. Ramcke — oprawca ludności miasta francuskiego Brest, feldmarszałek von Manstein — morderca ludności Krymu i Ukrainy. Lista ta oczywiście nie jest pełna. Obejmuje ona dziesiątki nazwisk wysokich dostojników wojskowych.

3.

W ciągu 30 lat od zakończenia II wojny światowej opinia publiczna świata domagała się ukarania hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, bowiem w stosunku do krzywd wyrządzonych ludzkości liczba osądzonych przestępców była nieliczna. Do dziś na terenie RFN znajdują się przestępcy wojenni, którzy powinni być pociągnięci do odpowiedzialności. Uchwalona przez Organizację Narodów Zjednoczonych na wniosek Polski — konwencja o nieprzedawnianiu zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości, stwarza ku temu pełne podstawy.

Pociągnięcie do odpowiedzialności wszystkich zbrodniarzy III Rzeszy oraz odpowiednie zadośćuczynienie za cierpienia fizyczne i krzywdę moralną dla obywateli polskich z okresu okupacji, wpłynęłoby dodatnio na dalszą normalizację stosunków między Republiką Federalną Niemiec i Polską.

TRYBUNA TWÓRCZOŚCI MŁODYCH

A więc nareszcie będziemy mogli poznać młodych twórców łódzkich i to nie tylko poetów, choć inspiratorami imprezy nazwanej Trybuną Twórczości Młodych są właśnie młodzi poeci z łódzkiego Koła Młodych istniejącego przy Związku Literatów Polskich Oddział w Łodzi. Oni to bowiem weszli do Klubu Nauczycielskiego przy ulicy Piotrkowskiej 137/139 i w porozumieniu z tutejszą Radą Programową zaczęli działalność, wiedząc o co im chodzi. A zależało im na stworzeniu cyklu imprez (1 raz w miesiącu), w trakcie których będą się mogli zaprezentować wspólnie z innymi młodymi twórcami: plastykami, kompozytorami, aktorami oraz takimi wykonawcami jak piosenkarze, muzycy itd... Patronat nad wszczętą w tej mierze działalnością przejął Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury Urzędu Dzielnicowego Łódź-Śródmieście.

W ten sposób Trybuna Twórczości Młodych stała się miejscem prezentacji naszej ciekawej młodzieży artystycznej. Sama impreza ma charakter spotkań z publicznością, która wyznacza czas jej trwania oceniając poszczególnych twórców i dyskutując z nimi nad tym, co zaproponowali. Oto na przykład w I Trybunie, która odbyła się w minionym miesiącu, wzięli udział: **Barbara Talma** — kompozytorka, **Diana Stain** — aktorka, **Grzegorz Kościński** i **Andrzej Wiktor Mikołajewski** — poeci, **Andrzej Błaszczyk** — aktor w roli prezentera, z którym współpracował jeden z bardziej utalentowanych recytatorów, a raczej interpretatorów tekstów poetyckich — **Czesław Pawłowski**, oraz **Zdzisław Zabłocki** — artysta plastyk, którego prace, wzbudzając ogromne zainteresowanie i ożywioną dyskusję publiczności podzielonej na dwa obozy, bo na tych, którym się podobały, i tych, którzy byli też oburzeni, zainaugurowały jednocześnie małą galerię Trybuny nazwaną — GALERIA BŁYSK.

W II Trybunie Twórczości Młodych (27 października br.) wystąpili: **Krzysztof Galant** — muzyk i lutnik, którego opowieści o lutnictwie i muzyce dawnej przyjęte zostały z niemałym zainteresowaniem audytorium, **Krystyna Pasik** — solistka, w której wykonaniu — jakże dobrym, usłyszeliśmy ballady **R. M. Grońskiego, I. Iredyńskiego** i nawet — „Cyganerię" **Aznavoura, Zdzisław Jaskuła i Ziemowit Skibiński** — interesujący poeci łódzcy młodego pokolenia, **Henryk Pacanowski**, który w Galerii BŁYSK zaprezentował nam pięć obrazów, plakatów i większą już ilość slajdów, na których zanotował inne swoje prace malarskie i plastyczne. O sobie, młodym pasjonacie kochającym teatr — obecnie Powszechny w Łodzi — opowiadał **Bronisław Wrocławski** — aktor, który w dobrym, jak na zawodowca przystało stylu powiedział wiersz K. I. Gałczyńskiego.

Usłyszeliśmy także utwór innego mistrza, J. Słowackiego — „Uspokojenie". Recytował **Eugeniusz Korczarowski**, jako gość Trybuny.

Należy przyznać, że dotychczasowe dwie Trybuny Twórczości Młodych, to jeszcze nie właściwa forma tej interesującej skądinąd, do integrującej wiele dziedzin sztuki, imprezy. Organizatorzy nie chcą pozostać tylko na łódzkich młodych twórcach. Jest możliwe, iż uda się im zaprosić do Łodzi młodych artystów z innych okręgów kraju i zapanować nad sytuacją, aby prezentowane były najciekawsze zjawiska w postaci dzieł i sylwetek.

Sądzimy, że ta impreza zainteresuje łodzian. Jak mi wiadomo rozesłane zostały listy-zaproszenia do dyrekcji szkół licealnych i dziekanatów wyższych uczelni z prośbą a zainteresowanie tą inicjatywą młodzieży, jako najwrażliwszego przecież odbiorcy, który nie potrafi przejść mimo sztuki.

AWM

TELEWIZJA

PROPOZYCJE PROGRAMOWE OD 20. XI. DO 26. XI. 75 R.

CZWARTEK — 20. XI.

PROGRAM I

18.05 LEGENDA — pierwsza część filmu z dokumentalnej serii „Ziemia Żeromskiego". Następne odcinki noszą tytuły: „Edukacja", „Wolność" i „Miłość".

PROGRAM II

17.40 STOCZNIOWCY Z WYSPY — reportaż filmowy o poprawie warunków socjalnych i poprawie organizacji pracy w Stoczni Remontowej „Gryfia".

18.00 LUDZIE Z PIERWSZYCH STRON GAZET — w programie udział wezmą: inż. Bohdan Żakiewicz — autor rewelacyjnej metody podziemnego wytopu siarki, Henryk Worcell — autor znanych powieści, dyr. Płockiej Petrochemi — prof. dr inż. Włodzimierz Kotowski i trener kadry narodowej w piłce nożnej — Kazimierz Górski.

PIĄTEK — 21. XI.

PROGRAM I

18.10 FORUM — spotkanie min. Przemysłu Maszynowego Aleksandra Kopcia z dziennikarzami Radia i Telewizji.

20.20 MÓJ PROGRAM — przedstawi znany aktor Leszek Herdegen.

PROGRAM II

20.20 LUDZIE NAUKI — tym razem zaprezentowana będzie sylwetka wybitnego historyka sztuki i pisarza Karola Estreichera.

SOBOTA — 22. XI.

PROGRAM I

14.25 MECZ PIŁKI NOŻNEJ WŁOCHY — HOLANDIA rozgrywany w ramach eliminacji do Mistrzostw Europy.

20.20 RÓŻOWA PANTERA — angielska komedia kryminalna z Claudią Cardinale.

22.55 STUDIO MUZYKI ROZRYWKOWEJ — w programie piosenki najnowsze i stare przeboje.

PROGRAM II

17.50 GODZINA MARIUSZA DMOCHOWSKIEGO — przedstawiona zostanie sylwetka popularnego aktora, reżysera, pedagoga i działacza społecznego.

20.20 MADEMOISELLE CHANSON — program utrzymany w konwencji swobodnej gawędy o piosence francuskiej, przeplatanej oczywiście piosenkami.

NIEDZIELA — 23. XI.

PROGRAM I

17.55 PROGI I BARIERY — program publicystyczny w którym wybrany zostanie człowiek miesiąca.

PROGRAM II

16.15 TEATR FAKTU — „Życiorys własny robotnika" — widowisko oparte na pamiętnikach wielkopolskiego chłopa Jakuba Wojciechowskiego.

17.10 PAN ANATOL SZUKA MILIONA — kolejny film Jana Rybkowskiego z Tadeuszem Fijewskim w roli tytułowej.

21.55 HUMPHREY BOGART — film dokumentalny przedstawiający sylwetkę wyśmienitego aktora. Program nadany będzie w ramach cyklu „Czas i ludzie".

PONIEDZIAŁEK — 24. XI.

PROGRAM I

20.20 TEATR TV NA ŚWIECIE — „Kleszcze" Luigi Pirandello, wystawione przez Teatr Telewizji Włoskiej, reż. Gianfranco Bettetini. Jest to dramat psychologiczny, którego tematem jest klasyczny trójkąt małżeński.

21.10 FORUM — spotkanie min. Przemysłu Lekkiego Tadeusza Kunickiego z dziennikarzami — Radia i Telewizji.

PROGRAM II

21.30 SEKRETY OPERY PARYSKIEJ — program z cyklu „Muzyka w zaułkach starej Europy" — przedstawiający jeden z najsłynniejszych teatrów operowych świata.

WTOREK — 25. XI.

PROGRAM I

20.25 CZTERDZIESTOLATEK — odc. VIII ale pierwszy z nowej serii. W roli tytułowej Andrzej Kopiczyński.

PROGRAM II

21.35 WTOREK MELOMANA — m. in. wykonana zostanie przez Jana Kadłubiskiego Sonata fortepianowa G-dur KV 283 Mozarta.

ŚRODA — 26. XI.

PROGRAM I

20.20 RĘCE NAD MIASTEM — film włoski wyświetlany w Filmotece Arcydzieł mówi o nędzy mieszkańców slumsów.

22.05 ANATOMIA SUKCESU — „Fabryka Samochodów Małolitrażowych" — program poświęcony jest popularyzacji osiągnięć Fabryki Samochodów Małolitrażowych w Bielsku-Białej.

PROGRAM II

18.05 JESIENNA MIŁOŚĆ — I odc. serialu społeczno-obyczajowego TV NRD.

21.30 MUZYKA MŁODZIEŻY ŚWIATA — „Rund" — koncert zespołów młodzieżowych z NRD, Polski, Węgier i ZSRR.

KONCERT IBSENA

„Nora" Henryka Ibsena, jedno z najwybitniejszych arcydzieł dramatu światowego doskonale odpowiada artystycznym możliwościom telewizyjnego spektaklu. Dlatego też jest to sztuka po wielekroć w Teatrze Telewizji wystawiana i każdorazowo w odmiennej orkiestracji aktorskiej oglądana z napięciem w skupieniu. „Nora" idealnie wpisuje się w pewien kanon dramaturgiczny, który zwykło się uważać za najbardziej telewizyjny i telegeniczny. Jest sztuką kameralną o ograniczonej do niezbędnego minimum dramatycznego liczbie osób. Po drugie — jest to utwór, w którym skomplikowana i ewoluująca psychologia postaci buduje się w oparciu o precyzyjny tekst stwarzający całą serię powodów do grania „pejzażem ludzkiej twarzy". Wreszcie — „Nora" w mistrzowski sposób operuje dramatyczną funkcją rekwizytu (np. sprawa listu), co może być dokładniej ujawnione w narracji telewizyjnej aniżeli teatralnej. Tych kilka przyczyn wystarczy, aby ta sztuka Ibsena była teatralno-telewizyjnym samograjem pod tym paradoksalnym warunkiem wszakże, aby dostała się w ręce wybornych wykonawców. Właśnie wykonawców, ponieważ dramaturgia Ibsena — jak nieomal każdy dramat realistyczny z tamtej epoki — nie stwarza okazji do upustu kreacyjnych skłonności samolubnego inscenizatora. Wymaga natomiast pokory wobec psychologicznych i moralnych znaczeń, które niesie z sobą wycyzelowany tekst o przejrzystej architektonice dramatycznej struktury, o klarownej logice przebiegu zdarzeń. Ta partytura stwarza wysoki próg trudności przede wszystkim dla aktora, ponieważ głębia tekstu, jego psychologiczna mądrość żąda gry czułej, subtelnej i ekspresyjnie zróżnicowanej. „Nora" jest utworem, którego nie sposób „odegrać" bez głębszego wniknięcia w tajniki sensu tekstu, bez aktorskiej interpretacji rozumiejącej. „Nora" już dawno przeszła do teatralnego skarbca wartości klasycznych. Jednakże warto przypomnieć, że w okresie swojego powstania (rok 1879) był to dramat nasycony aktualnością stanowiący namiętny protest pisarza przeciwko moralnemu fałszowi sytej epoki mieszczańskiej. „Nora, czyli dom lalki", bo tak brzmi pełny tytuł sztuki była wówczas dziełem nieomalże publicystycznym. Dziś, kiedy tamte realia obyczajowe nie tyle zwietrzały ile nabrały innego kształtu, „Nora" odrywa się od podłoża swojej epoki i staje się dziełem uniwersalnym, klasyczną próbą sformułowania kolejnej dramatycznej możliwości ludzkiego losu ujrzanego w odwiecznym konflikcie z życiowymi koniecznościami. Jest to historia gwałtownego dojrzewania ludzkiej świadomości od stanu bezmyślnego pławienia się w materialnych luksusach życia do głębokiego przeżycia i zrozumienia jego tragizmu oraz moralnego samostanowienia. Z tym wszystkim jest „Nora" pierwszym arcydziełem literatury dramatycznej tak głęboko ujmującym duchową istotę kobiety i proces jej psychologicznej emancypacji. Nora pod wpływem dramatycznego splotu okoliczności, w który sama uwikłała się, a który ją przerósł doznaje wstrząsu nieomal metafizycznego. Jak napisał Allardyce Nicoll „Nora nie jest zwykłą zbyt dziecinną żoną: ona słyszała zew idący z góry, nie z placu targowego".

W ostatniej inscenizacji „Nory" dokonanej w poniedziałkowym Teatrze Telewizji chciałbym widzieć próbę powrotu do najświetniejszych tradycji repertuarowych tej sceny, która w ostatnich czasach utraciła swój szlachetny styl i wysokie ambicje artystyczne. Poniedziałkowy Teatr Telewizji był w swoich czasach najlepszych bardzo wartościowym wkładem w polską kulturę współczesną i jakkolwiek brzmi to patetycznie jest to prawda i to prawda już historyczna. „Nora" wpisuje się w tamtą niegdysiejszą tradycję dzięki swojej artystycznej uczciwości i rzetelności. Maciej Englert, reżyser spektaklu oparł go na aktorstwie, kierując się bezbłędną intuicją w obsadowych decyzjach. Marta Lipińska zagrała Norę w taki sposób jakby przez całe życie czekała na tę jedyną rolę, do której jest idealnie stworzona. Jej Nora zaznaczała się niezwykłą intensywnością psychicznych reakcji, doskonale trafnych i wiarygodnych. Lipińska grała bardzo oszczędnie, bez zagrażającej w tej roli histerii i przesadnej egzaltacji. Bez fałszu przechodziła od infantylnej żony trzpiotki-idiotki do świadomego spojrzenia w otchłań życia. Partnerujący jej Jan Englert w roli Torwalda stworzył postać godną bergmanowskich wzorów. Podobnie zagrali inni aktorzy, których z braku miejsca przypomnijmy jedynie: Elżbieta Kępińska w roli Krystyny Linde, Władysław Kowalski jako Krogstad i Tadeusz Janczar w roli doktora Ranka.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny) WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

POLSKA–75

NASZA KASA

KRZYSZTOF POGORZELEC

Podobno nie jest w dobrym tonie rozmawiać w „towarzystwie" o pieniądzach. No cóż... Natomiast już z całą pewnością nie należy zaglądać — w przenośni i dosłownie — do cudzych kieszeni; taką naukę pobieramy od najwcześniejszych lat. Ba, ale nie zaprzeczycie, już tak bez fałszywego wstydu, że jest to temat frapujący. Jestem również skłonny uważać, że bez takiego „żurawia" do naszych portfeli, panorama Polski roku 1975 byłaby zgoła niepełna. Więc? Niech się dzieje co chce: popróbujmy razem znaleźć odpowiedź na pytanie — jak to jest z naszą kiesą.

ILE I ZA CO

Najpierw oczywiście należy się tutaj zająć zasadniczą stroną całej tej sprawy, to znaczy spróbować ocenić wielkość dochodów przeciętnego Polaka, przy czym dla celów poznawczych, chciałbym nie ograniczyć się tylko do przedstawienia — nazwijmy to tak — stanu jego „kasy" w roku 1975, kiedy to dobiega końca realizacja jednego programu rozwoju społeczno-gospodarczego rozwoju naszego kraju, a niebawem VII Zjazd partii wytyczy nowe zadania w tej dziedzinie na następne pięciolecie, ale pokazać całe to, przecież tyle samo ekonomiczne co społeczne zjawisko niejako „w biegu", w pewnym czasowym przedziale.

To taka uwaga dla porządku, a teraz ad rem, czyli najwyższa pora przejść do konkretów.

Sięgnijmy do roku 1970, który z powszechnie znanych racji można — zgodzą się z tym zapewne Czytelnicy — można i należy przyjąć za „punkt" zwrotny również w dziedzinie kształtowania się dochodów naszego społeczeństwa, za czym kryje się nic innego jak tylko diametralnie różna polityka ekonomiczna i społeczna partii i rządu.

Aby to stwierdzenie uzasadnić muszę niestety sięgnąć po liczby, z których będę tutaj korzystał jeszcze częściej, jako że niestety inaczej całego tego zagadnienia pachnącego „buchalteryjnymi" pojęciami „winien" i „ma", przychód, rozchód, nie da się sensownie przedstawić. No, ale co jak co — pieniądze każdy, powiedzmy — prawie — lubimy liczyć. Więc liczmy.

Pod koniec roku 1970 pieniężne dochody ludności naszego kraju wynosiły 525,4 miliarda złotych. Bardzo bym nie chciał, by wielkość tej kwoty wprowadziła kogokolwiek w błąd. W okresie, do którego się ona odnosi, kategoria ekonomiczna, jaką jest płaca nie była traktowana jako jeden z najistotniejszych czynników dynamizujących gospodarkę, ważny instrument polityki socjalnej. Bardzo wyraźnie występowały tendencje do ograniczania wzrostu płac, a więc i dochodów ludności, bez uwzględnienia skutków jakie to mogło i wywoływało zarówno w sferze produkcji jak i w klimacie polityczno-społecznym. Propozycje zmian w tej dziedzinie były niestety przecinane arbitralnie, bez ekonomicznego i społecznego uzasadnienia. Mówiono po prostu — nie można.

Okazało się jednak, że taka ocena jest głęboko błędna. Postanowienia **VIII Plenum KC PZPR z lutego 1971 roku** i w tej dziedzinie dokonały przewartościowania niegdyś żelaznych zasad bądź też lansowanych dopiero tendencji. Okazało się — że powtórzmy — iż szybki wzrost dochodów pieniężnych ludności jest możliwy, a co więcej stanowi to potężny czynnik dynamizujący całą gospodarkę. W cztery lata później — bierzemy za punkt wyjściowy rok 1970 — dochody pieniężne ludności naszego kraju wzrosły do 847 miliardów złotych, a przewiduje się, że na koniec roku bieżącego, w wyniku decyzji partii i rządu, zwiększą się o dalszych 10,2 proc osiągając w ten sposób poziom około 980 miliardów.

Proponuję zestawić te dwie liczby: **525,4 miliarda i 980 miliardów złotych.** Krótko mówiąc prawie — prawie podwojenie dochodów.

Nie będę jednak chyba daleki od prawdy jeżeli uprzedzę ewentualnych czytelników w ich wątpliwościach jako że i ja uważam, iż globalne kwoty, które tutaj przytoczyliśmy, nie ukazują w pełnym świetle całego zjawiska jakim jest kształtowanie się dochodów naszego społeczeństwa w mijającym właśnie pięcioleciu. Trzeba więc to koniecznie naprawić przyjmując dla jasności jedno jeszcze założenie, a mianowicie to, że płace są podstawowym czynnikiem kształtowania się dochodów pieniężnych naszego społeczeństwa. Tak zresztą jest.

Zajmijmy się więc płacami.

Uchwała VI Zjazdu PZPR przewidywała, że w latach 1971—1975 nastąpi wzrost płac realnych w całej gospodarce uspołecznionej o — średnio biorąc — jakieś 17, 18 procent. To było założeniem. W praktyce jednak decyzje socjalne partii mające u swoich podstaw rezultaty osiągane przez dynamicznie rozwijającą się i modernizującą gospodarkę kraju, przede wszystkim w sferze produkcji przemysłowej, przyniosły w całym pięcioleciu wzrost płac realnych zbliżony do poziomu 40 proc. Tutaj znowu pewne porównanie: warto pamiętać że w całym poprzednim dziesięcioleciu płace realne w gospodarce uspołecznionej wzrosły o 19,1 proc., a w latach które szczególnie mamy dobrze w pamięci — 1965 — 1970 podskoczyły tylko o 10,5 proc.

No, a teraz jeszcze bardziej konkretne liczby:

– gospodarka uspołeczniona ogółem	— 3 427 zł
przemysł	— 3 590 „
budownictwo	— 4 210 „
handel	— 2 910 „
nauka	— 3 910 „
oświata	— 3 080 „
ochrona zdrowia	— 2 850 „

Tak prezentowała się przeciętna płaca netto w niektórych tylko przykładowo wybranych dziedzinach, pod koniec roku 1975.

Niewątpliwie za tymi pozornie tylko suchymi liczbami kryją się ogromnie złożone decyzje, ale także procesy społeczne i gospodarcze.

Ów przedstawiony Czytelnikom i łatwy do skonfrontowania z własnym portfelem skok w dziedzinie płac nie „spadł" nam oczywiście jak przysłowiowa manna z nieba, musiał mieć i miał materialne przesłanki we wzroście produkcji, w podaży odpowiednich towarów, co nie znaczy, iż nie wywoływał dość specyficznych napięć, trudności, tyle że jakościowo zupełnie różnych od tych jakie wystąpiły u schyłku roku 1970.

Mechanizm tego wzrostu też jest bardzo łatwy do ukazania, bowiem u podstaw leżały polityczne, ale i społeczno-ekonomiczne decyzje o wiele wyższego aniżeli w poprzednich okresach opłacania przyrostu wydajności pracy, podwyżek płac wynikających zarówno z korekt systemu wynagradzania, centralnie przeprowadzanych podwyżek płac w tym również najniżej do tej pory wynagradzanych, których płaca nie przekraczała pułapu 850 zł. Nietrudno jest odgadnąć, iż za takimi posunięciami znajdowała się określona socjalna polityka, wykorzystywanie kategorii płacy dla wzrostu wydajności z jednej, a likwidowaniu nadmiernych dysproporcji w samym poziomie zarobków w poszczególnych dziedzinach — z drugiej strony.

NIE TYLKO PŁACE

Byłoby jednak dalekim uproszczeniem sprowadzić cały problem wzrostu dochodów naszego społeczeństwa do wzrostu płac. Równałoby się to z pozbawieniem naszego ustroju socjalistycznego jego niezmiernie istotnych, humanitarnych funkcji. Stąd też wypada koniecznie uzupełnić ten rachunek o tak niebagatelną pozycję jak świadczenia w naturze, różnego rodzaju wydatki i nakłady o charakterze socjalnym. W ostatnich czterech latach powiększały się one o ponad 60 proc.

Przybliżmy jednak ten wskaźnik, nadajmy mu bardziej — chciałoby się powiedzieć — humanitarne kształty. Co w tych 60 proc. w roku do przodu się zawiera?

Ano nic innego jak decyzje tyle samo oczekiwane co akceptowane społecznie. Wymienię tylko niektóre z nich, choć „rejestr" może być o wiele zasobniejszy: zrównanie uprawnień pracowników fizycznych z umysłowymi, podwyższenie zasiłków, rent inwalidzkich oraz rodzinnych rent dla osób zasłużonych w walce o wolność i niepodległość naszego kraju na frontach II wojny światowej.

I powiedzmy sobie otwarcie: łatwo się to tak jakoś wylicza, a przecież „gra" dotyczy ogromnych kwot, jeśli się tylko zważy, iż liczba osób uprawnionych do pobierania świadczeń emerytalnych, rent wzrosła w latach 1970—1975 o 600 tysięcy.

Inne fakty dla uzupełnienia tego „rejestru":

— w roku 1974 zwiększono liczbę stypendystów o 15 proc.

— podniesiono najniższe stypendia z 400 do 600 zł

— wydłużono okres płatnego urlopu macierzyńskiego z 12 do 16 tygodni przy pierwszym dziecku i 18 tygodni przy drugim

I tak dalej, i tak dalej — bo nie jest to pełna lista decyzji socjalnych, mających wpływ na kształtowanie się sytuacji materialnej naszego społeczeństwa w mijającym właśnie 5-leciu, za którymi stoi oczywiście również odpowiedni „wyraz" finansowy.

KTO I NA CO

Myślę, że przedstawienie tylko jednej strony stanu naszych „kies" w latach 1971 — 1975, a więc po stronie wpływów, też byłoby sporym uproszczeniem, jeśli w całym tym wywodzie mamy na uwadze nadrzędny cel społeczno-ekonomicznego działania partii i rządu, a mianowicie stały wzrost poziomu życia ludności naszego kraju. Warto więc „porozmawiać", nieco o drugiej stronie tego rachunku, a mianowicie — wydatkach. Myślę, że takie potraktowanie całej tej kwestii będzie pożyteczne z jeszcze innego względu, a mianowicie pozwoli ono przedstawić dosyć znamienne procesy socjologiczne, wywodzące się z omawianej tutaj sfery działania ekonomicznego.

Na co i jak wydawaliśmy zarobione w zakładach pracy złotówki?

Może zaczniemy od spraw najbardziej charakterystycznych pokazujących zachodzące w naszym społeczeństwie procesy w niezmiernie ciekawym świetle.

Między rokiem 1973 a 1974 we wszystkich grupach społeczno-zawodowych nastąpiło zmniejszenie w ogólnych wydatkach udziału środków przeznaczanych na żywność z:
w gospodarstwach osób utrzymujących się z pracy w przedsiębiorstwach uspołecznionych — z 40,2 proc. do 38 proc.; rodzinach robotniczo-chłopskich z 46,9 proc. do 43,7 proc. i chłopskich z 52 do 47 proc.
Liczba gospodarstw osiągających przychody najwyższe — 36 tys. złotych na osobę i więcej, podniosła się w 1974 roku z 6,4 proc. do 9,5 proc. przy czym w rodzinach osób zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej — z 8,2 proc. do 12,8 proc., robotniczo-chłopskich — z 3,2 proc. do 4,9 proc. chłopskich — z 7,3 proc. do 8,6 proc.

Wzrost dochodów dał o sobie znać zwiększonym popytem na rozmaite towary o wyższym standardzie, przy czym w dużym stopniu te zakupy miały charakter restytucyjny, to znaczy — mówiąc prościej — było to zastępowanie urządzeń, przedmiotów przestarzałych niemodnych, gorszących pod względem użytkowym czy estetycznym, na nowe, lepiej zaspokajające potrzeby, nasze wymagania.

— W czterech gospodarstwach na sto pojawiły się nowe telewizory;
— W trzech na sto — pralki, w tym również z automatycznym „programem";
— W pięciu na sto — lodówki i to pomniejsze;
— liczba gospodarstw domowych posiadających samochody zwiększyła się z 5,4 do 6,1 znowu licząc na 100 gospodarstw.

Namnożyłem tutaj liczb i faktów, ale chyba przyznacie, że wiele z nich nie jest jeszcze w pełni uświadamianych, jako że i apetyt rośnie w miarę jedzenia — czego wcale nie uważam za rzecz zdrożną, bo w takim razie czemu ma służyć cały nasz wysiłek w rozwoju gospodarki? Przecież — nie w samej... idei rozwoju. W tym też kryje się element ciągle niezaspokojonych potrzeb, co chyba też jest zjawiskiem naturalnym. No, a poza tym wszystkim: czy nie warto od czasu do czasu porozmawiać w towarzystwie o pieniądzach?

Fot. Włodzimierz Parys

SPOSÓB ŻYCIA

Dalszy ciąg z str. 1

podstawowe cechy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego:

„Będzie to społeczeństwo w pełni socjalistycznych stosunków produkcji w mieście i na wsi, społeczeństwo żyjące dostatnio i kulturalnie, korzystające ze wszystkich walorów ustroju socjalistycznego, dysponujące nowoczesną nauką, przodującą techniką wytwarzania, a także coraz bogatszymi środkami i sposobami zaspokajania potrzeb. Będzie to społeczeństwo wydajnej pracy, wysokiej organizacji i świadomej dyscypliny, pełnego rozkwitu twórczych możliwości każdej jednostki".

Rozwój sił wytwórczych zawsze wyprzedza rozwój stosunków produkcji. Stosunki produkcji muszą zatem zmieniać się w zależności od poziomu sił wytwórczych i odpowiednio do tego poziomu, inaczej występować będą zahamowania, które prowadzić mogą do konfliktów. W społeczeństwie socjalistycznym procesy te nie odbywają się żywiołowo, ale są kierowane. Partia nieustannie troszczy się o to, aby w miarę rozwoju sił wytwórczych zmieniały się też stosunki społeczne, aby odpowiadały one swoim poziomem poziomowi sił wytwórczych. Działanie na rzecz takiej zgodności zakładają też **„Wytyczne KC na VII Zjazd PZPR".**

Ważnym jednakże czynnikiem w kształtowaniu stosunków produkcji jest świadomość społeczna. Rozwija się ona nierównomiernie. Z jednej strony rodzi koncepcje wybiegające w przyszłość, sprzyjające dalszemu rozwojowi sił wytwórczych. Z drugiej — działa hamująco, gdyż w świadomości społecznej funkcjonują też poglądy, systemy i nawyki ukształtowane na poprzednim poziomie sił wytwórczych.

RELIKTY

W okresie budowania podstaw socjalizmu w Polsce dominowały ekstensywne czynniki rozwoju. Przyrost produkcji w tym okresie pochodził z przyrostu zatrudnienia. Do nowych fabryk przychodzili ludzie, którzy zmieniali sposób życia, którzy z rolników stawali się robotnikami. W tym to czasie wytworzył się socjologiczny dziwoląg — chłopo-robotnicy.

W ostatnim pięcioleciu przeszliśmy zdecydowanie na rozwój intensywny, w tym czasie przyrost produkcji nastąpił przede wszystkim ze zwiększonej wydajności pracy i tę cechę rozwoju gospodarczego musimy utrzymać w następnych latach. Ale wzrost wydajności pracy może następować tylko wtedy, kiedy przy nowoczesnych maszynach stają nowocześnie myślący ludzie.

Rozwój naszego społeczeństwa w ostatnich latach nie odbywał się w sposób równomierny i łagodny. Przeciwnie — życie nie poskąpiło nam ostrych zakrętów, gwałtownych zmian kursów politycznych i społecznych, nagłych załamań. W tych warunkach kształtowała się też świadomość społeczna. Nie wszyscy ludzie w jednakowy sposób potrafią zrozumieć zawiłości procesu historycznego, nie wszyscy potrafią w jednakowy sposób jasno uzmysłowić sobie społeczne cele, do których zmierzamy. Ludzie nauczyli się, że dla nich sprawą najważniejszą jest troska o ich indywidualny interes i przy tej prawdzie chcą nadal trwać.

Tego typu sposób myślenia kształtuje się wtedy, kiedy jednostka czuje się z różnych powodów zagrożona i kiedy do głosu dochodzą przede wszystkim motywacje działania oparte na instynkcie samozachowawczym. W okresie, kiedy społeczeństwo stawia przed sobą ambitne cele ogólne, mające też doprowadzić w konsekwencji do zmiany losu jednostki, taki sposób myślenia staje się nieprzydatny, a co więcej — szkodliwy.

Nie ma nowych wymagań. Są tylko nowe warunki. Od dawna przecież postulowano skracanie cykli inwestycyjnych, szybsze dochodzenie do planowanych mocy produkcyjnych, wyższą wydajność, rozwój inicjatyw produkcyjnych, racjonalizacji i wynalazczości, większą wydajność pracy, lepszą jej organizację i pełniejsze wykorzystywanie pracy maszyn i czasu pracy. Te postulaty w warunkach, kiedy utrzymanie wysokiego tempa produkcji decyduje o powodzeniu w realizacji celów społecznych, nabrały po prostu **większej ostrości.**

Dalszy ciąg na str. 4

SPOSÓB ŻYCIA

Dalszy ciąg ze str. 3

— **Kiedyś** — tłumaczył mi jeden z moich rozmówców — **walczyliśmy o ośmiogodzinny dzień pracy, dziś słyszymy ciągle: pracujcie więcej. Czyż mamy zrezygnować z tego, co już zdobyliśmy? Czy nie mamy dążyć do tego, aby pracować mniej?**

Jedna z instytucji Ministerstwa Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych obliczyła, że budowlani średnio wykorzystują ośmiogodzinny dzień pracy w 91 procentach. Z pobieżnych obserwacji wynika zupełnie coś innego. Kto się zatem myli? Sami robotnicy budowlani przyznali, że swój dzień pracy wykorzystują w 70—75 procentach i to nie zawsze z własnej winy. Wpływa na to nierytmiczne zaopatrzenie w materiały, brak narzędzi elektrycznych, brak koordynacji pracy pomiędzy różnymi przedsiębiorstwami, które uczestniczą w danej budowie. Niektóre maszyny budowlane są wykorzystywane na niektórych budowach przez 50, 25 czy 30 procent ośmiogodzinnego czasu pracy. Zrozumiałe, że kiedy przychodzi ukończyć prace w terminie, a przecież terminy są też korygowane, gdyż przy takim tempie nierealne stają się te, które pierwotnie ustalono, wtedy trzeba popracować więcej niż 8 godzin.

A czy tak dzieje się tylko w budownictwie?

W jednej z łódzkich fabryk opowiadano mi o rozmowach z ludźmi, którzy próbują przychodzić do pracy. Pytają oni:

— Ile płacicie za ośmiogodzinny dzień pracy?

A usłyszawszy odpowiedź, dodają następne pytanie:

— A ile godzin na te 8 trzeba pracować? Co, pełne 8, to nie dla mnie. Poszukam sobie gdzieś indziej.

W transporcie znów charakterystyczne jest inne pytanie:

— Co to można porwać? Co wy macie w tych magazynach? Co, żelazo, części do maszyn. To nie dla mnie. Poszukam sobie gdzieś indziej.

Niektórzy ludzie przybrali taki sposób myślenia, obrali taki s p o s ó b ż y c i a, jakby byli sami na świecie, a istniejące obok nich społeczeństwo służyło tylko dla realizacji ich nadrzędnych i indywidualnych celów.

NIE TYLKO PRETENSJE

Dążenia do zmiany postaw, sposobów myślenia, ukształtowanych w innych warunkach, nie można opierać tylko na pretensjach do ludzi, że tak myślą, tak postępują. Same pretensje bowiem nie wystarczą. Trzeba tworzyć warunki, aby powstawały nowe nawyki, aby mógł kształtować się nowy sposób myślenia, aby inny sposób życia stawał się modelem poszukiwanym.

Jednym ze sposobów osiągnięcia tego celu jest popularyzacja ludzi pracujących rzetelnie, ludzi uczciwych, myślących i działających w sposób zgodny ze społecznymi potrzebami. Ale muszą to być ludzie żywi, a nie tylko ożywione ideały. W naszej propagandzie jednak sporo jeszcze takich ożywionych ideałów.

Drugim sposobem jest stawianie ludziom określonych wymagań i tworzenie warunków, aby z tych wymagań mogli się wywiązywać. A do tego potrzebna jest znakomita organizacja pracy i życia. Jeśli żąda się, aby ludzie pracowali wydajnie przez 8 godzin, to trzeba zatroszczyć się o to, aby przez 8 godzin mieli zapewnioną pracę, a nie czekali na materiały czy surowce lub na reperację maszyny. Jeśli zachęca się ludzi do podejmowania pracy społecznej, to trzeba postarać się też o to, aby widzieli sens tej pracy, aby rozumieli jej cel i nie byli przekonani, że po nich przyjdzie ktoś inny i zrobi zupełnie coś innego. Człowiek, aby dobrze pracował musi mieć przekonanie o pożyteczności i przydatności tego, co robi. Zmarnowana ludzka praca jest czynnikiem najbardziej demoralizującym.

Dokonuje się u nas szybki postęp techniki, ale ten postęp musi tworzyć warunki dla pełniejszego wykorzystania ludzkich umiejętności, wiedzy i sprzyjać realizacji ambicji każdego z nas. Ludzie wybierają sobie taki sposób życia, który im najbardziej odpowiada, dążmy więc do tego, aby tworzone przez ludzi warunki zmuszały też ludzi do wybrania sposobu życia najbardziej odpowiadającego realizacji ambitnych społecznych zamierzeń.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

WIESŁAW GARBOLIŃSKI

SZTUKA NA DZIŚ I JUTRO

W myśl ideologii socjalizmu wszystko co czynimy w sferze przeobrażeń życia i otaczającej rzeczywistości czynimy z myślą o człowieku, który jest dobrem najwyższym. Podporządkowujemy mu wszystkie działania w dziedzinie ekonomii i kultury. Z tego względu pożądane jest jak najściślejsze powiązanie sztuki ze społeczeństwem, z jego dążeniami i twórczym wysiłkiem, dostarczanie motywacji działania, mobilizującej do dalszej pracy dla postępu i doskonalenia społecznego. Aby kultura mogła spełniać wyznaczoną jej rolę w procesie wychowawczym muszą być stworzone warunki nie tylko jej rozwoju, ale i możliwości szerokiego oddziaływania na społeczeństwo. Uwarunkowane jest to wieloma czynnikami, z których najważniejsze to: z jednej strony — sztuka o wysokich wartościach ideowo-artystycznych, z drugiej zaś — stosowanie nowoczesnych form upowszechniania tej sztuki.

Z wielu problemów dotyczących spraw upowszechniania najistotniejszym, mającym wpływ na całokształt zagadnień jest **wychowanie estetyczne w szkołach.** Stanowi ono problem o olbrzymiej randze społecznej. Wiąże się z przygotowywaniem wykwalifikowanej kadry nauczycielskiej dla zreformowanego systemu oświaty. Kadry, która weźmie na siebie odpowiedzialność za ten odcinek powszechnego nauczania, jakim jest grupa przedmiotów humanistycznych, wprowadzających w krąg sztuki i twórczości. Staje się dziś pilną potrzebą współuczestniczenia wszystkich uczelni plastycznych w pracy nad reedukacją nauczycieli przedmiotu wychowania plastycznego w formie studiów zaocznych lub wieczorowych, a w przyszłości studiów stacjonarnych dla nauczycieli i pracowników upowszechniania sztuki.

Jest rzeczą konieczną, aby przedmiot ten w systemie nauczania zyskał sobie odpowiednią rangę i znaczenie, aby mógł być prowadzony na takim poziomie i w taki sposób, by dostarczał nie tylko określonej wiedzy z tej dziedziny, ale również wykształcał trwałą potrzebę obcowania ze sztuką. Sztuka w naszym ustroju musi odgrywać coraz większą rolę w procesie kształtowania i rozwoju twórczej osobowości ludzkiej inwencji nowatorstwa, swobody skojarzeń, wyobraźni, wnikliwości obserwacji i introspekcji, umiejętności relatywnego widzenia zjawisk i wreszcie wewnętrznej dyscypliny.

Również istotnym problemem mającym wpływ na poziom upowszechniania, a tym samym na zasięg oddziaływania sztuki jest budowa nowej Galerii. Łódź od lat czeka na **Galerię Sztuki**, która stałaby się Centrum Kultury Plastycznej dla miasta i województwa. Gdzie BWA mogłoby podjąć próby analizy potrzeb społecznych w tej dziedzinie i w oparciu o nie stworzyć odpowiednie formy upowszechnienia w powiązaniu z innymi dziedzinami sztuki.

Negatywnym zjawiskiem, który ujemnie wpływa na całokształt życia kulturalnego naszego miasta, jest **rozproszenie łódzkich środowisk twórczych.** Dzisiaj związek poszczególnych sztuk jest zbyt oczywisty, aby można myśleć o pełnym wszechstronnym rozwoju kultury przy hermetycznym zamknięciu się w poszczególnych profesjach **Związek Polskich Artystów Plastyków,** a w ostatnim okresie i BWA dążą, poprzez organizowanie, na terenie Klubu i „secesyjnej Willi", imprez teatralnych, muzycznych czy filmowych, do integracji poszczególnych środowisk twórczych miasta. Wydaje się jednak, że obok tego potrzebna jest aktywna, oparta na ambitnym programie działalność **Klubu Związków i Stowarzyszeń Twórczych,** a to z kolei pociąga za sobą uchwalenie poprzez miasto na ten cel odpowiedniej dotacji. Wydaje się, że również właściwą perspektywą dla realizacji współdziałania rocznych dziedzin sztuki stanowi akcja upowszechnieniowa pod hasłem **„Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką".**

Na podstawie doświadczeń wyniesionych z działania na terenie Łodzi i innych miast Polski widzimy słuszność i celowość wykorzystania takiego kanału przepływu sztuki różnych dziedzin do szerokich kręgów odbiorców. Analizując potrzeby społeczne, śledząc kierunki rozwoju naszego kraju, patrząc na dynamiczny wzrost budownictwa i przemysłu, nieodparcie nasuwa się problem uzupełnienia programu naszego działania o nowe elementy, przystosowane do formującej się struktury gospodarczo-społecznej.

W związku z dynamicznym rozwojem kraju z każdym dniem rozszerza się obszar oddziaływania kulturotwórczego, zmienia się też ilościowo i jakościowo forma współuczestnictwa plastyka w kształtowaniu produkcji, w formowaniu środowiska pracy i rekreacji. Wydaje się, że podjęcie problematyki kształtowania środowiska pracy i wypoczynku, tych tak ważnych społecznie zagadnień, jest obowiązkiem wynikającym z roli artysty w socjalistycznym społeczeństwie. Wiadomo bowiem, że estetyczne ukształtowanie przestrzeni otaczającej człowieka wpływa na powstanie więzi, łączącej go z miejscem zamieszkania, z miastem, pozwala lepiej wypocząć i szybciej regenerować swoje siły. Z kolei plastyczne zakomponowanie miejsca pracy ma ogromny wpływ na efekty ekonomiczne zakładu pracy oraz na ilość i jakość produkcji.

Te prawdy winny znaleźć praktyczne zastosowanie. Do ich urzeczywistnienia konieczne jest jednak stworzenie artystom technicznego zaplecza umożliwiającego realizację projektów plastycznych w tej dziedzinie. Powstanie pracowni specjalistycznych stworzy odpowiednie warunki na podejmowanie kompleksowych rozwiązań problemów urbanistyczno-architektonicznych oraz humanizacji miejsca pracy.

Następnym zagadnieniem o nie mniejszej randze społecznej jest tworzenie w naszym kraju warunków i atmosfery sprzyjającej rozwojowi sztuki o wysokich wartościach ideowo-artystycznych. Z wielu problemów dotyczących tego zagadnienia chciałbym podkreślić konieczność rozwoju **krytyki artystycznej,** która w sposób odpowiedzialny i kompletny mogłaby spełniać rolę reprezentanta potencjału twórczego środowiska artystycznego, rolę czynnika integrującego i pobudzającego środowisko do większej aktywności. Krytyka powinna stwarzać atmosferę zainteresowania dla powstałych dokonań artystycznych, powinna stać się czynnikiem mobilizującym do tworzenia ambitnych programów twórczych i wreszcie powinna być czynnikiem umożliwiającym partii spełnianie roli inspirującej w procesach powstawania różnych zjawisk artystycznych.

Współczesna polska krytyka artystyczna w dużym stopniu ponosi winę za tak wielką rozbieżność w stosowaniu kryteriów oceny współczesnej sztuki, a poprzez to tworzenia atmosfery podejrzeń i nieufności społeczeństwa do wszelkich poczynań artystycznych. Pozbawiło to artystę jednego z najważniejszych punktów odniesienia stanowiącego podstawę do formowania ocen wartościujących.

Specyficznym problemem środowiska łódzkiego jest problem **projektowania przemysłowego.** Okręg liczy prawie czterystu członków tej sekcji, z których część znajduje zatrudnienie w przemyśle. Z tego też względu władze naszego miasta i łódzkie środowisko plastyków ze szczególną troską odnoszą się do spraw wzornictwa przemysłowego. W procesach rozwoju gospodarki traktowanych w najszerszym ujęciu wzornictwo przemysłowe odgrywa szczególną rolę. Doświadczenia wszystkich wysoko rozwiniętych krajów potwierdzają nieodzowność jego udziału w postępie naukowo-technicznym, produkcji, jego wpływ na jakość wyrobów, na wielkość i opłacalność eksportu. W dziedzinie wzornictwa występuje wiele zaniedbań, których likwidacja i pełne uruchomienie wielkiego potencjału twórczego jest rzeczą pilną i konieczną.

Chciałbym też poruszyć problem, który może wydawać się marginesowym, a który posiada ogromne znaczenie dla prawidłowego rozwoju polskiej sztuki współczesnej. Chodzi o zabezpieczenie artystom warsztatu pracy, jakimi są pracownie, narzędzia i materiały potrzebne do twórczości. Łódź jest jednym z niewielu miast w Polsce, gdzie buduje się tak dużo pracowni. Jest to wynikiem właściwego stosunku władz miasta i zarządów spółdzielni mieszkaniowych do tego zagadnienia. Niemniej sprawa pracowni powinna być unormowana aktem prawnym, zobowiązującym spółdzielnie mieszkaniowe do ich budowy i oddawania do eksploatacji twórcom na zasadach ulgowych bez stosowania przepisów nowego prawa lokalowego, które nie przewiduje 80 proc. zniżki, przyznanej twórcom Rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 25. VII. 1958 r. (D.U. 1958) 50/245. Pracownie plastyczne, które służą powstawaniu dzieł sztuki, stanowiących dorobek kultury narodowej, nie mogą być traktowane jak lokale użytkowe, w których prowadzona jest działalność dochodowa.

Rozwiązania wymaga również problem zaopatrzenia plastyków w materiały potrzebne do twórczości. Obecna sytuacja jest alarmująca. Przemysł krajowy nie produkuje prawie żadnych materiałów, natomiast ilości, które sprowadzamy z zagranicy, nie zaspokajają wszystkich potrzeb w tym zakresie. Istnieje jeszcze szereg innych problemów i spraw, które trzeba rozwiązać i załatwić, ale wszystko to nie powinno przesłaniać nam tych wielkich dokonań, które obserwujemy w ostatnim okresie. Plenum KŁ PZPR poświęcone sprawom kultury dokonało oceny aktualnego stanu oraz określiło kierunki jej rozwoju. Daje to gwarancję rozwiązania w przyszłości wszystkich problemów, stworzenia warunków i atmosfery sprzyjającej wszechstronnemu rozwojowi kultury i sztuki w naszym mieście.

Wiesław Garboliński — artysta plastyk, rektor PWSSP, prezes łódzkiego Oddziału ZPAP, delegat na VII Zjazd PZPR.

EWA NURCZYŃSKA

WKŁAD DO „BANKU INFORMACJI"

Raport o stanie oświaty przygotowany przez Komisję Ekspertów uświadomiwszy fakty, wytyczył jednocześnie podstawowe kierunki działań, zmierzające do stworzenia takiego modelu oświaty, by jego struktura i formy realizacji odpowiadały potrzebom i perspektywom rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. By idee i zalecenia raportu zostały wcielone w życie, upłynąć musi wiele lat niezwykle intensywnych przygotowań i działań. Cieszyć nas powinno, że dyskusje o pewnych generaliach i o pewnych szczegółach modelu oświatowego wykraczają poza mury instytucji, które mocą swych uprawnień będą o nich decydować.

W dyskusjach tych i opiniach odnaleźć można wiele uwag niezwykle cennych, a odnoszących się do spraw ogólnych i szczegółowych. Wydaje się więc rzeczą niezwykle ważną, by toutes proportions gardees, oba główne resorty naszej oświaty stworzyły, znany nam skądinąd, swój „bank informacji", podobny do tego, którego skuteczność sprawdzono w dziedzinie, która też jest nauką czegoś.

Do owego „banku informacji" pragnę dziś skierować kilka uwag, które odnoszą się do tej grupy problemów edukacyjnych, które, nie wyznaczając podstawowych linii struktury, decydują jednakże o ich ciągłości. Gdy w dydaktyce mowa o procesie kształcenia, wówczas pojawia się zagadnienie efektywności, będącej funkcją wielkości form i środków. Wśród nich współczesna dydaktyka odnajduje także film i telewizję.

Problemom filmu dydaktycznego w ciągu ostatnich lat „Odgłosy" poświęcały wiele uwag, gdyż w Łodzi działa środowisko naukowe i pedagogiczne sprawami tymi bardzo zainteresowane. W Łodzi istnieje wytwórnia filmowa, w której powstaje 80 proc. filmów szkolnych w ogóle. Z inicjatywy Łódzkiego Oddziału PSFN odbywają się tu Ogólnopolskie Festiwale i Sympozja Filmu Dydaktycznego.

Przed dwoma tygodniami zakończył się VI Festiwal Filmów Dydaktycznych i Naukowo-Technicznych w Katowicach oraz towarzyszące mu sympozjum. Nawet mniej zainteresowanego tą sprawą Czytelnika może zdziwić nazwa katowickiego festiwalu łódzkiego. Istnienie w kraju dwóch jak gdyby konkurencyjnych festiwali i sympozjów tym bardziej dziwi tych, którzy są głównymi ich adresatami i uczestnikami. Ale nie o problem konkurencji tu chodzi, lecz o zdrowy rozsądek.

Festiwal katowicki organizowany jest przez Ośrodek Postępu Technicznego. Festiwal ten zrodził się z poprzedzających go przeglądów filmów technicznych. Dziś w konkursie startują, w międzynarodowej obsadzie, filmy rolnicze, medyczne i techniczne, przeznaczone zarówno dla szkół wyższych jak i średnich. Na katowickim festiwalu znalazły się też filmy, które rok wcześniej startowały w konkursie łódzkim. Prawdopodobnie za rok na łódzkim festiwalu będzie można oglądać filmy, które były pokazywane w Katowicach.

Wniosek? Może być tylko jeden — trzeba wołać o zdrowy rozsądek, o podział zakresów zainteresowań i podział kompetencji. Piszę o kompetencjach również dlatego, że na towarzyszącym festiwalowi sympozjum publicznie kwestionowano prawidłowość pracy komisji selekcyjnej, a werdykt jury budził w pewnych swych punktach zdumienie, wykraczające poza ramy zwykłej dla każdego werdyktu opozycyjnej opinii publicznej.

Nie podlega dyskusji potrzeba organizacji festiwali filmów dydaktycznych i naukowo-badawczych, są one niezwykle ważnym bodźcem rozwoju tej grupy środków dydaktycznych, które w całym świecie uważa się obecnie za nieocenione w procesie podnoszenia efektywności nauczania. Nie wolno jednak marnować inicjatyw oraz środków. I po prostu także pieniędzy. Niechaj zainteresowane resorty po szerokiej konsultacji ze środowiskami problemem zainteresowanymi, podejmą decyzje określające charakter i zakres owych festiwali, których wzajemne dublowanie się jest bezsensowne.

Warianty mogą być różne. Katowicki Ośrodek Postępu Technicznego wydaje się być, z formalnego punktu widzenia, predestynowany do organizacji festiwali filmów technicznych. Przy przyjęciu takiego wariantu w Łodzi pozostawmy wówczas filmy medyczne i rolnicze oraz filmy szkolne.

Można też przyjąć wariant inny, podział na festiwale filmów dla wyższych uczelni i filmów szkolnych. Być może wówczas same festiwale i towarzyszące im sympozja przez ukierunkowane zainteresowanie ich uczestników zyskają większą jednorodność i efektywność. Ten wariant zgłaszam jednakże pełna niepokoju, jako że dotychczasowe doświadczenia wyższych uczelni we współpracy z Zakładem Produkcji i Usług Filmowych OPT są bardzo gorzkie. Była o tym mowa na wszystkich trzech łódzkich sympozjach, a także w tym roku w Katowicach.

Rozwój i produkcja filmów dydaktycznych dla szkół podstawowych i średnich ma już swe ramy organizacyjne, obecnie trwa praca nad udoskonaleniem ich modelu. Filmy dydaktyczne dla wyższych uczelni, poza produkcja filmów medycznych, powstających w wytwórni PZWL-u to — sprawa do załatwienia. Powołany przez Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki ośrodek produkcyjny przy OPT, jak dotąd, nie daje gwarancji rozwiązania tego problemu. Dowodem mogą być również filmy przedstawione na ostatnim katowickim festiwalu. Jeśli, zgodnie z oświadczeniem, złożonym w Katowicach przez przedstawiciela Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, resort ten uznaje OPT jako jedynego koordynatora spraw filmu dla wyższych uczelni, wiele jeszcze trzeba zrobić, by decyzja ta przybrała kształt konkretny i odpowiedzialny. Pora po temu najwyższa, jako że stan filmu dydaktycznego dla wyższych uczelni jest właściwie katastrofalny.

W dniach obchodów 30-lecia kinematografii polskiej warto też tu przypomnieć, że, jak na razie, najwięcej zasług dla rozwoju filmu dydaktycznego w Polsce posiada resort kultury. On to rozwijał i finansował tę gałąź produkcji, choć przecież specyfika filmu dydaktycznego nakazywałaby szukać jego protektorów gdzie indziej. Ministerstwo Oświaty i Wychowania problemy te dostrzegło wcześniej niż Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego — niekiedy jest widać.

CZŁOWIEK – ŚWIAT – POLITYKA

20 listopada 1975 roku rozpoczyna się kolejna dekada książki społeczno-politycznej. Tradycyjnie już dekada ta odbywa się pod hasłem: CZŁOWIEK – ŚWIAT – POLITYKA

W przededniu VII Zjazdu PZPR, w okresie wzmożonej aktywności politycznej społeczeństwa, książka społeczno-polityczna cieszy się szczególnym zainteresowaniem. Wydawnictwa przygotowały na dekadę książki społeczno-politycznej sporo interesujących propozycji. Wydany w tym roku katalog książki społeczno-politycznej zawiera kilkaset pozycji, jakie ukazały się w latach 1971-1974. Na naszych łamach prezentujemy zaledwie kilka książek, które po prostu warto mieć w domowej biblioteczce.

ENCYKLOPEDIA ORGANIZACJI MIĘDZYNARODOWYCH

Wydawca: **Książka i Wiedza**

Osiemnastu autorów w 679 hasłach omówiło:

– **210** międzynarodowych organizacji państwowych

– **450** międzynarodowych organizacji niepaństwowych

– **15** agencji organizacji międzynarodowych

– **9** programów międzynarodowych

– **5** najbardziej znanych po II wojnie światowej i nie doszłych do skutku projektów organizacji międzynarodowych

– **8** najważniejszych z rozwiązanych już po II wojnie światowej organizacji międzynarodowych

Organizacje międzynarodowe odgrywają poważną rolę w rozwoju współpracy międzynarodowej. Swym zasięgiem obejmują cały świat. Nie ma państwa, które nie należałoby do co najmniej kilkunastu międzynarodowych organizacji międzypaństwowych (międzyrządowych). Natomiast międzynarodowe organizacje niepaństwowe (pozarządowe) obejmują kilkaset tysięcy osób prawnych i setki milionów osób fizycznych. Nie ma chyba dziedziny życia politycznego gospodarczego, społecznego, kulturalnego, naukowego, a także dziedziny militarnej, która nie byłaby objęta działaniem organizacji międzynarodowych. Organizacje międzynarodowe są obecnie w zasadzie podstawowym środkiem za pomocą którego współpraca międzynarodowa jest realizowana. Biorąc pod uwagę występujące powszechnie w świecie współczesnym obiektywne tendencje do zbliżenia i współpracy narodów oraz państw wydaje się że rola organizacji międzynarodowych będzie ciągle wzrastać. W Polsce nie było dotychczas — mimo bezspornie dużego zapotrzebowania — publikacji, która zawierałaby informacje na temat większej liczby istniejących organizacji międzynarodowych.

POLSKA Z LOTU PTAKA

Wydawca:
Krajowa Agencja Wydawnicza
Warszawa 1974

Tytuł tego albumu to jednocześnie najtrafniejsze określenie jego zawartości. Autor zdjęć Z. Siemiaszko przez kilka lat przygotowywał zdjęcia, które pokazują pejzaż polskich miast i miejscowości, głównie z lotu ptaka.: a więc z tej perspektywy, z której nieczęsto mamy okazję je oglądać. Zdjęcia pokazują uroki zabytkowej architektury i polskiego pejzażu, ale obok tego znajdujemy Polskę współczesną: ogromne, nowoczesne zakłady przemysłowe wkomponowane w wiejski krajobraz, nowe osiedla sąsiadujące ze starą miejską zabudową. Siemiaszko spenetrował Polskę wzdłuż i wszerz, do swojego albumu wybrał zdjęcia ze 166 miejscowości, praktycznie więc co piąte miasto ma w „Polsce z lotu ptaka" swój portret utrwalony w obiektywie fotoreportera.

Autorzy: Zdjęcia –
ZBYSZKO SIEMIASZKO
Tekst –
KAZIMIERZ KUNICKI

MARKSIZM A TEORIA OSOBOWOŚCI

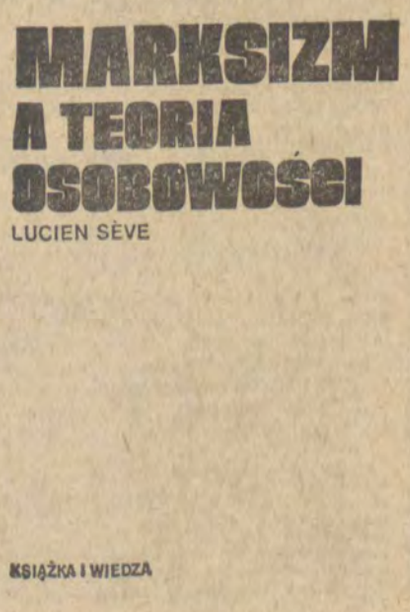

Autor: **Lucien Seve.**
Wydawca: **Książka i Wiedza.**

Lucien Seve w swojej książce **„Marksizm a teoria osobowości"** stara się pokazać związki pomiędzy psychologią, polityką i antropologią, dążąc do sprezentowania marksistowskiej koncepcji człowieka.

„Ogromną wartość tej książki — napisał w przedmowie do niej Tadeusz M. Jaroszewski — **upatruję (...) w tym głównie, że zawiera ona twórczą analizę marksistowskiej koncepcji człowieka i krytyczny przegląd różnych propozycji interpretacyjnych tej koncepcji, a przede wszystkim szereg istotnych precyzacji metodologicznych i teoriopoznawczych niezbędnych do poprawnych dociekań w naukach humanistycznych".**

Ta rekomendacja prof. T. M. Jaroszewskiego jasno pokazuje, do kogo książka jest adresowana i kogo przede wszystkim powinna zainteresować.

30 LAT GOSPODARKI POLSKI LUDOWEJ

Praca zbiorowa pod redakcją naukową **Kazimierza Secomskiego.**

Wydawca: **Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne.**

Książka jest naukową syntezą 30 lat rozwoju gospodarki w Polsce Ludowej. O poszczególnych zagadnieniach i dziedzinach naszego życia gospodarczego i społecznego piszą:

— **Mieczysław Jagielski:** Polska w 1974 roku,

— **Stanisław Kuziński:** Polska — Europa — Świat,

— **Józef Pajestka:** Dynamika i przemiany strukturalne rozwoju,

— **Andrzej Karpiński:** Rola polityki uprzemysłowienia kraju,

— **Józef Okuniewski:** Rolnictwo i wyżywienie kraju,

— **Henryk Kisiel:** Stosunki gospodarcze z zagranicą,

— **Zbigniew Wojterkiewicz:** Infrastruktura techniczno-ekonomiczna,

— **Antoni Rajkiewicz:** Warunki życiowe ludności,

— **Leszek Kasprzyk:** Nauka a rozwój gospodarczy,

— **Jan Szczepański:** Oświata i wychowanie,

— **Kazimierz Secomski:** Zarys perspektywicznego planu rozwoju społeczno-gospodarczego Polski (1971 — 1990),

— **Józef Pińkowski:** Studium planu przestrzennego zagospodarowania kraju.

ORGANIZACJA POLITYCZNA SPOŁECZEŃSTWA

Praca zbiorowa pod redakcją **Adolfa Dobieszewskiego.**

Autorzy poszczególnych rozdziałów: **Adolf Dobieszewski, Stefan Dziabała, Michał Sadowski, Juliusz Wacławek, Julian Wielgosz, Przemysław Wójcik.**

Wydawnictwo: **Państwowe Wydawnictwo Naukowe**

Na strukturę organizacji politycznej społeczeństwa składają się takie jej elementy, jak: państwo, partie polityczne oraz różnego typu inne organizacje i nieformalne grupy społeczne, poprzez które realizowane są procesy życia politycznego. Wszystkie one funkcjonują na zasadzie wzajemnych zależności, a zarazem każda z nich urzeczywistnia właściwe jej zadania.

Książka w oparciu o marksistowską teorię państwa prezentuje zakres działania organizacji i instytucji we współczesnym świecie.

Z DZIEJÓW POLSKIEGO RUCHU ROBOTNICZEGO

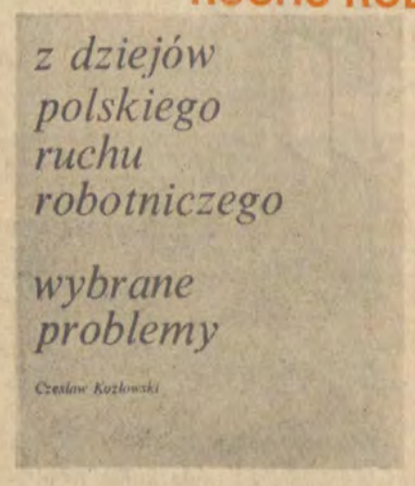

Autor: **Czesław Kozłowski**
Wydawca: **Książka i Wiedza.**

Książka i Wiedza od dłuższego już czasu wydaje cykl publikacji przeznaczonych dla uczestników szkolenia partyjnego i ideologicznego. Książki z tego cyklu mają jednakową szatę graficzną i przygotowywane są do drukuj w taki sposób, aby ułatwić czytelnikom korzystanie z tego typu publikacji.

Wybrane problemy z dziejów polskiego ruchu robotniczego są jednakże książką przeznaczoną nie tylko dla uczestników szkolenia partyjnego. Jest to w gruncie rzeczy zarys historii polskiego ruchu robotniczego. Każdy rozdział tej książki zakończony jest „Kroniką ważniejszych wydarzeń". Otóż pierwsza data, jaką rozpoczyna kronikę ważniejszych wydarzeń omówionych w rozdziale pierwszym, to rok 1794 — wybuch i upadek powstania kościuszkowskiego. Ostatnia zamykająca książkę — 15 luty 1974, data obrad XIII plenarnego posiedzenia KC PZPR poświęconego ocenie trzydziestolecia Polski Ludowej. Już zestawienie tych dwu dat pokazuje, jak ogromny materiał zawarł autor w książce liczącej 508 stron i choć zastrzega się, że koncentruje się tylko na „wybranych zagadnieniach", to w istocie daje krótki zarys dotychczasowych dziejów polskiego ruchu robotniczego, ukazując go na tle ważniejszych wydarzeń międzynarodowych i krajowych.

POLSKA 1971–1975

Autorzy: **Bolesław Przywara i Ryszard Zabrzewski.**
Wydawca: **Książka i Wiedza**

W najnowszej histori Polski lata 1971 — 1975 mają szczególne znaczenie, a to dlatego, że w tych latach kraj podjął się realizacji ambitnych zadań, zwiększając nie tylko tempo swego rozwoju, ale dążąc jednocześnie do szybszej poprawy warunków pracy i życia. Mogliśmy dokonać tego, dzięki takiej polityce społeczno-gospodarczej partii, która pozwoliła na wyzwolenie wielkich zasobów energii społecznej i w oparciu o dotychczasowy rozwój gospodarki i społeczeństwa Polski przystąpić do dalszego nadrabiania występujących jeszcze zaległości.

Niewielka książeczka Bolesława Przywary i Ryszarda Zabrzewskiego daje syntetyczny, poparty danymi i ilustrowany barwnymi wykresami obraz naszego dorobku tych lat. Jej ukazanie się w okresie przygotowań do VII Zjazdu PZPR stanowi cenny materiał nie tylko dla propagandzistów, ale i tych wszystkich, którzy interesując się współczesnością, myślą o najbliższej przyszłości, o sprawach, które trzeba będzie rozwiązać w najbliższym pięcioleciu, a dla rozwiązania których stworzyliśmy warunki w latach 1971 — 1975.

NIGDY NIE POWIEDZIANE

Szczególny to rodzaj publicystyki, czy „żurnalistyki", jak zwie ją Zygmunt Broniarek. Pisarstwo Jean – Raymond Tournoux ma niewiele wspólnego z uganiającym się za sensacją dziennikarstwem, skutecznie wypełniającym dziś szpalty tygodników, chociaż dotyczy właśnie spraw sensacyjnych. Różni się od niego nie tyle tematyką, co metodą. J. — R. Tornoux nie ściga sensacji za wszelką cenę i nie przyprawia jej wedle dobrze znanych, amerykańskich wzorów. Poszukuje prawdy o mało znanych i nie znanych wydarzeniach, nie zaś plotek o ich aktorach. Nie komplikuje swej narracji z zasłyszeń i pogłosek, choćby najefektowniejszych, z niepewnych materiałów z drugiej ręki, chociażby nie wiem jak barwnych. Kostruuje ją z odszukanych dokumentów i sprawdzonych, najczęściej autoryzowanych (a więc do sprawdzenia) relacji osób, które otarły się o interesujące go wydarzenia. Czyni to doprawdy znakomicie, więc nie dziwimy się słowom Charles de Gaulle'a, który napisał do J. — R. Tournoux 1 stycznia 1959 r.:

„Nigdy nie było dla Pana tajemnic, a dziś — dzięki Panu — nie ma ich również dla publiczności".

Czy generał powtórzyłby to raz jeszcze, po przeczytaniu nowej książki francuskiego publicysty, poświęconej jego osobie? Czytał przecież chyba inne prace autora, w których nieraz mógł spotkać się z tym, co miał on o nim do powiedzenia. Oprócz takich książek, jak „Tajny notatnik polityki" (1958), „Tajemnice państwowe" (1960) czy Tajna historia" (1962) jest bowiem J. — R. Tournoux autorem tomów, które już swymi tytułami odnoszą się do generała: „Pétain i de Gaulle" (1964), „Tragedia generała" (1967), „Maj generała" (1969). Ostatnia z nich, opublikowana w oryginale w 1971 r. pt.: „Nigdy nie powiedziane", doczekała się polskiego tłumaczenia i pod zmienionym tytułem „Po raz pierwszy ujawnione", z przedmową Z. Broniarka, ukazała się właśnie nakładem „Książki i Wiedzy" (1975). Jej bohaterem jest Ch. de Gaulle, ów człowiek — jak powiada o nim Z. Broniarek — „niezwykłego formatu we współdziałaniu lub konflikcie albo we współdziałaniu i konflikcie z największymi ludźmi naszej epoki".

Można tę książkę czytać różnie. Można śledzić przede wszystkim bieg nie znanych najczęściej wydarzeń politycznych, odnajdywać w niej nowe fakty z politycznych dziejów międzywojennego dwudziestolecia, czasów II Wojny Światowej i powojennej historii Europy, można dowiadywać się szczegółów dramatu algierskiego i wielu innych. Ale można ją też czytać inaczej: można postępując tropem autorskiej narracji starać się poznawać osobowość bohatera, antynomie jego światopoglądu, sens dokonywanych przez Ch. de Gaulle'a wyborów, można starać się zrozumieć realistyczny sens decyzji, które nie tylko na pierwszy rzut oka zdają się być nierealistyczne. Dla tych wszystkich, którzy czytali pamiętniki, pozostawione przez Ch. de Gaulle'a, pisane z pełną świadomością dla Historii przez duże H, taka lektura będzie najpewniej najbardziej wartościowa.

„Nazajutrz po Monachium jednostki pułku powracają z wioski Foville nad Mozelą, gdzie zajmowały pozycje. Alarm się skończył i wszyscy odetchnęli z ulgą. Po opuszczeniu wioski odbyła się uroczystość: żegna nas mer i błogosławi proboszcz, wręczając każdemu medalik z wizerunkiem Matki Boskiej, a mieszkańcy zarzucają kwiatami — zwłaszcza dalami — cały sprzęt bojowy: wieżyczki, armaty, karabiny maszynowe, przyczepy motocyklowe. Kolumna rusza, bierze kierunek na drogę nr 55". To ze wspomnień francuskiego pułkownika, przytoczonych przez J. — R. Tournoux.

„Po kilku kilometrach, niedaleko Liocourt, koło Chateau—Salins, nagle nadjeżdża wozem pułkownik de Gaulle, gwałtownie hamując: „Zjeżdżajcie na prawą stronę szosy!" Wysiada wściekły ze swego peugeota: „Kwiaty do rowu! Jeśli myślicie, że to pora na składanie kwiatów, to jesteście w błędzie, szaleńcy!".

Kto wówczas z mężów stanu w Europie, kto z dowódców wojskowych, zdawał sobie sprawę tak dobrze, jak on z tego, że układ monachijski, zawarty przez państwa zachodnie z Hitlerem, nie przyczyni się do utrzymania pokoju, a ułatwi III Rzeszy rozpętanie wojny światowej? Anegdota, jedna z wielu przytoczonych przez francuskiego publicystę, skłania do refleksji. Ale J. —R. Tournoux nie modeluje swego bohatera na politycznego wizjonera: wskazuje, że jeśli jego prognozy nieraz się sprawdzały, to dlatego, że były oparte o doskonałą znajomość realiów. Kiedy zapytywano generała, dlaczego przewiduje wybuch konfliktu niemiecko-radzieckiego, odpowiedział po prostu, że czytał „Mein Kampf". A wówczas mało kto czytywał elukubracje, składające się na tę książkę, mimo, że należało to czynić, choćby ze względu na nazwisko jej autora, jeśli chciało się zrozumieć jego postępowanie.

Wiele jest ważnych spraw niedawnej przeszłości, które poruszone w tej książce, wiele zagadnień nie straciło cechy aktualności. J. — R. Tournoux przedstawiając czytelnikowi polityczny portret Ch. de Gaulle szczególnie wiele uwagi przywiązuje do starań i wysiłków generała, aby zapewnić Francji bardziej poczesne miejsce w świecie, podnieść jej znaczenie na arenie międzynarodowej. Przytacza jego słynną wypowiedź o Europie, jako „rodzinie państw, w której — jak we wszystkich rodzinach — kłóci się o spadek, kocha się, nienawidzi, szkaluje" i o tym, że „nie ma narodu europejskiego. Są narody europejskie". Czyż koncepcja Europy ojczyzn miałaby mieć znaczenie jedynie dla Francji?

LEKTOR

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

PIERZYNA z czyściuteńkich promyczków

(DALSZY CIĄG TEGO SAMEGO DNIA)

— Niech siędą. Mleka się napiją? Moja w polu. Przyniesę.

Franek wyciągnął spod ławki dojnicę i zniknął w gdaczącej sionce.

Siedliśmy z Wawrzonkiem na pustym skrawku ławy pod piecem obok szabaśnika i komina z okapem. Po izbie spacerowała kura, turlały się i popiskiwały żółte wełniane kłębuszki. Okienko było jak zawsze szczelnie zamknięte, na parapecie pelargonii mniej niż dawniej. Malwy za oknem były też znacznie mniej dorodne niż dawniej. Na razie jednak nie zwracałem uwagi na zmiany. Otoczyły mnie dobrze mi kiedyś znane, tu i gdzie indziej — zapachy. Cebrzyków, szaflików z pomyjami, skwaśniałego mleka, śrutu i parujących kartofli dla świń, kurzego pośladu, mokrej i suchej słomy, stęchłej pościeli, wilgotnych kożuchów, wiszącego nad naszymi głowami chomąta i szlei... Wskazałem Wawrzonkowi, by go rozerwać, napis na tramie wzdłuż izby: „Święty Wawrzyńcu na Kracie pieczony, ochroń ten dom, by nie był spalony. R. P. 1929." Wtajemniczyłem go, że temu właśnie napisowi, który mnie przed wojną bardzo intrygował, a w czasie okupacji wzruszał, zawdzięcza swoje ekstraordynaryjne imię.

— Hm — przyjął do wiadomości zatykając śmiesznie palcami dziurki od nosa.

Znajome zapachy łasząc się do mnie zaczęły mi stopniowo przynosić różne drobne przypomnienia. Tak, jak to kotki przynoszą w zębach i kładą u stóp dobrze sobie znanego spokojnego człowieka — swoje kocięta

To były przypomnienia z różnych lat.

A więc wchodzimy tu z matką do dopiero co wyforsztowanej izby, jeszcze nie pobielonej, niezbyt obmieszkałej i przez to wyglądającej na przestronniejszą niż teraz. Tam w rogu, w prawo od okna, gdzie teraz kłóci się z izbą półeczka wnuczki Ewki z „Manifestem" Marksa, kajetami, tablicami logartymicznymi i lusterkiem z Lollobrygidą, siedzi nieco bokiem do nas Józefowa przy staciwach. Czerstwa i cała jak łuna, bo kwitnie kwiatami swej salinówki, świeci kilkoma rzędami korali i koralików... I cała na pasiasto: zielono-fioletowo-szafranowo-bordo-czarna. Nie wiem, dlaczego zastaliśmy ją przy tkaniu, a nie przy obrządku czy choćby kończeniu przenosin gratów i statków ze starej chałupy do tej nowej, przestronnej i godnej. Wstała, by powitać: twarz gościnnie rozjaśniona i tamto charakterystyczne półpochylenie i ruch jakby podejmowania (widać, jakiś ślad pańszczyźnianych tradycji sprzed dwóch pokoleń). Ale matka uprasza ją gorąco, by dalej tkała samodzieł, bo bardzo jest ciekawa, jak to się robi. Więc Józefowa przybija jeszcze przez jakiś czas napięte nici deseczki z dziurkami i czyni fokusowate dookolne ruchy czółnikiem. A także śpiewa na prośbę matki:

Pasła dziewczyna
Wołki na łące...
. . . . . .
Przyjechał do nij
Kawaler młody:
Chodźwa, dziewczyno,
W gęste jagody.

A może (bo przecież plączą mi się jej śpiewanki z różnych lat) tamtą drugą:

Choćbym wziął chłopównę
Nie mojego stanu,
Będę wieczór sobie,
Bez dzień rabiał panu.

Bodajże właśnie w czasie tamtej naszej bytności strzygła wycinanki, by ponalepiać na nowe ściany, a matka zachęcała ją, żeby wystrzygała według wzorów dla fantazyjnych haftów w piśmie kobiecym „Bluszcz", którego kilka numerów właśnie przywiozła z sobą, ale Józefowa ręce rozłożyła, że nie umie, bo „zwyczajna jest tylko takich tam swoich".

Przypomnienie — jak Józefowa pokazywała mi — byłem bodaj już w pierwszej klasie — szare gniazda jaskółcze między krokwiami a oczapami strzechy na stodole. Tłumaczyła, jakie to z tych ptaszysk z rozdwojonymi ogonami mądrale: wszystko wiedzą — i kiedy deszcz lunie, i gdzie są teraz jakie polityki i kłótnie w świecie i kiedy będzie wojna i rabowanie. Pouczają o tym ludzi szczególniejszym popiskiwaniem i sposobami latania. Jeszcze nieboszczka matka Józefowej dobrze się na ichnich naukach rozumiała, ale ona, Józefowa już tylko na tym, kiedy będzie deszcz. „Dawniej na wsi mądrzejsze były ludzie, a tera uczeńsze" — zauważała filozoficznie, a i to, że czasem to nie na jedno wyjdzie: być mądrym czy uczonym. I opowiadała również — a może to było wcześniej? — uśmiechając się przy tym do stojącej obok matki w kapeluszu-toczku (bez ronda, ale za to z fiszbinową klamrą z przodu) — porozumiewawczo: że to nie jest szczera prawda, tylko durne stare gadanie, że to jaskółki zimują pod lodem w Świdrze wedle Darzboru.

I przypomnienie — jak Józefowej pytałem, dlaczego na wsi mają w takiej estymie i przybijają do progów podkowy. Opowiadała mi wtedy, że kiedyś tam chłopi z jaśniepanem Zamoyskim — święty pan, bardzo ludzki — chcieli pospędzać diabłów z Łysej Góry — tej, co jest między Głupianką a Podgórzem, ale nie mogli się tam do diabłów dostać, bo konie ześlizgiwały się z gliny na stromiźnie i tylko sobie brzuchy obijały i nogi łamały. Wtedy to święty Wawrzyniec — uśmiechnąłem się przypomniawszy to sobie do Wawrzonka, który kontemplował chmurnie i trochę sennie półkę ze statkami nad podwojem i nie pochwycił mojego uśmiechu — ściągnął tam z chmury kowadło i wyuczył kowali, jak wygniatać podkowy i przybijać je koniom. I za to właśnie, że to z jego przyczyny chłopi na Łysą Górę wjechali i podziabali diabłom — słowo niełądne, ale nie ja je wymyśliłem, a Józefowa dokładnie tak właśnie powiedziała — dupy, diabli właśnie świętego Wawrzyńca naszli na osobności i związawszy ogonami upiekli żywcem na kracie.

— Ale ogony też sobie na nic upiekli — zauważyłem rezolutnie, ponieważ kiedyś byłem śmieszkiem.

— Ja tam przy tym nie byłam. Nie wiem, to nie powiem — wykręciła się Józefowa sianem.

I — czort i Freud wie dlaczego — w ślad za tym wspomnieniem przybiegło drugie grubo późniejsze — z Władką. Moje do niej zaloty z nudów na samym początku okupacji, kiedy próbowałem — kto nie próbował wtedy? — handlować. Filcem do damskich kapeluszy i skórą na damskie przedwojenne pantofle. Taki sam jednak byłem do handlu wtedy, co i do zalotów. Dziewczyna była, jak widzę to dzisiaj, dość chętna do bardzo zdecydowanych uczynków, mimo to jednak nie postąpiłem dalej niż cmokanie jej w okolicach ucha, jako że zręcznie wykręcała twarz, bo tak kazał zapomniany dziś zwyczaj panieński — i po kołnierzyku nad dekoltem. Ale Józefowa — jej ciotka — wściekle skręcała oczami, i wnet naskarżyła matce, że się jako młody pan nie szanuję, bo bałamucę nieuczoną dziewczynę... nie mając w dodatku morgów.

Na to powiedzenie Józefowej powołała się później, po latach, matka, kiedy jej wymawiałem, że mając hopla na punkcie „ukochanej, zacnej Józefowej, najwierniejszej przyjaciółki", wyrzuca Jadźce, że się machnęła za Anzelma.

Natychmiast oddaliłem z myśli następne wspomnienie, jak zwaliliśmy się do Józefowej pólsekcją na nocleg. Późno w noc i umordowani jak psi, bo po akcji, a Józefowa nasze pistolety nazywała „harmatami" i przez resztę nocy z przerażenia nie spała, nie dlatego, żeby się bała „Niemców", co deptali nam po piętach, tylko — żebyśmy nie zaprószyli ognia w stodole machorką. Całą noc nas pilnowała i przez to nie mogliśmy leżąc na skraju z Ireną... Ale szybko oddaliłem tamto wspomnienie i przywołałem to sprzed kilku zaledwie lat: wesele Celki od Laborków, Władczynej córki. Celka była w białej sukni z wchodzącego właśnie pod strzechy nylonu i cały czas sztywno trzymała bukiet w dłoni obciągniętej białą rękawiczką. Rzewnie zapłakała. Ale nie dlatego, że opuszcza dom Władki i jej męża, ale że Józefowa, niejako sekretarz całej rodziny czy rodu, i strażniczka dawnego obyczaju, w końcu wyegzekwowała od młodej, że ta musiała odłożyć na ławkę miejski bukiet z wiejskimi begoniami, wziąć od Józefowej nie wyrabiany już w normalny czas wiejski szabaśnikowy chleb i przy słowach Józefowej „z chlebem, solą i dobrą wolą" całować — „jak durna jakaś" klękając po kolei, cztery rogi stołu". Józefowa — źle już chodząca, ale barwna jak łuna i w gorsecie, cała w paski zielono-buraczkowo-czarne — rozchmurzyła się na serio dopiero wtedy, gdy po tangach zagrano oberka i pan młody wyśpiewał o młodej poetycką improwizację:

Malutka moja żonka
I majątek mały,
Ale mi się jej cycki
Bardzo spodobały.

Wszystkie te przypomnienia, i pojedynczo, i w pomieszaniu, przybiegły do mnie, jak to się mówiło za moich czasów, w podskokach, z przysiadami i każde rozwijało się niewiele dłużej, niż w przeciągu miary czasu określanej jako okamgnienie, bo wspomnienia długo.

Podniosłem oczy i uważniej rozejrzałem się po izbie. Przybyło tu sporo nowego i sporo starego ubyło. Nie dojrzałem warsztatu. Zresztą za poprzedniej bytności też już go chyba nie było. Obok „szafy" (na potrzeby gospodarcze), stała błyszcząca garderoba. Jedyną już tylko zakurzoną wycinankę Józefowej, trzymającą się ściany jednym rożkiem, spostrzegłem nad krawędzią lustra z półeczką, na której stał puder i jakieś panieńskie kremy. Spojrzałem na małżeńskie łóżko Franków — miejscowej roboty i, jak wszystkie wiejskie łóżka, niepojęcie małe w stosunku do liczby osób, które w nim śpią. Było ono i teraz postumentem pod wieżę Babel, ciężkich, jak głazy poduszek, ale pierzyny na nim nie okrywał już pasiak, lecz prywaciarski gobelin made in Łódź z utkaną scenką parodiującą znany obraz Watteau: rokokowa pasterka na huśtawce.

Oderwawszy wzrok od cywilizacyjnych przejawów Nowego, zacząłem Wawrzonkowi z niepojętym pośpiechem objaśniać — jakbym się bał, że mogę się spóźnić — że kulka na tramie służy do wieszania zaszlachtowanego prosiaka, a święte obrazy pochodzą od obraźników z Karczewa. I do czego służą faski, okap i że czeluść w piecu wychodzi na sień od tamtej strony a zapiecek przeznaczony jest na legowisko dla ludzi starych i czcigodnych. I dopiero w tamtej chwili uświadomiłem sobie, że przecież spodziewałem się tam zastać leżącą Józefową. A więc widocznie wyzdrowiała i pewnie teraz grabi w polu?!

— Tata — przerwał mi w pół słowa Wawrzynek — ja nie chcę tego mleka prosto od krowy... Tata, niech tata będzie tak wielkoduszny, jakoś to mleko po ichniemu zgrabnie odwoła i wiejmy na łąkę, bo tu śmierdzi... Tata! Bo mnie się może zebrać... — ostrzegł.

Udając, że nie słyszę, zagadałem z ożywieniem do Franka, który właśnie wszedł z dojnicą, wypełnioną mlekiem gęstym, jak śnieg i jeszcze po wierzchu bąblującym.

O ile Józefowa była barwna, piękna — nawet jeszcze jako staruszka — energiczna i powiedziałbym, despotyczna, to jej syn, Franek, był jak sięgam pamięcią — nijaki. Cichy, niepozorny, z kartoflanym noskiem i miną gapia, pozostawał w cieniu matki. Kiedy oboje zjawili się u nas w środę, żeby nam sprzedać po znajomości miejskie przysmaki, wymienić wiadomości, co u nich i co u nas, a także dokonać inspekcji, jak sprawuje się nasza aktualna służąca — zawsze któreś z młodych z ich rozległej rodziny — rozmawiało wyłącznie z Józefową. Nawet i wtedy, gdy uprzejme zainteresowanie matki dotyczyło „pana Franka". Mówiło się przy nim o nim, że „bardzo zmężniał", że „już kawaler całą gębą i czas mu na żeniaczkę". Wtedy Franek przestępował z nogi na nogę i patrząc w ziemię kiwał głową, co najwyżej bąkał: „juści". I ja, choć to mój równolatek, prawie nigdy do niego nie zagadywałem, nawet w czasach moich przestawań z młodzieżą w Stasikówce i przyjazdów do Władki. Toteż poczułem wyraźne zakłopotanie, kiedy przyszło mi teraz po raz pierwszy, i to nie w obecności Józefowej, zacząć rozmowę z tym już szpakowatym mężczyzną, ojcem prawie dorosłej córki, od kilku lat głową gospodarstwa.

— Pyszne mleko! — zachwalałem ze sztuczną swobodą, w konwencji wieloletniej zażyłości. — Ile to już lat, Franku, takiego nie piłem! Mój syn nie przyuczony, to grymasi. Jak u was? Jak się żyje? — postanowiłem nie od razu pytać o Józefową, żeby nie pomyślał, że nie uznaję w nim gospodarza i że nie interesuję się nimi wszystkimi. — O, widzę, że twoja Ewka, a tak niedawno toto jeszcze noskiem zawadzało o ławkę, wkrótce będzie maturzystką! Jak jej idzie nauka?

— Niech piją na zdrowie, nie szkodują sobie. Mleka jest dużo. — Zachęcał gościnnie Wawrzonka, ale nie przestępował, jak niegdyś z nogi na nogę i mówił swobodnie. Idzie jej, ale trudnowato. Musi głowy i silniejszej pilności do uczenia nie ma. Ciągiem mówi, że jest umęczona po jeździe rowerem do profesorskiej szkoły i przy robocie nie ma z niej teraz nijakiego pożytku.

— Rowerem? A czemu jej do internatu nie dacie?

— Młoda jest, to strzyma. Toć do miasta blisko, że śmiech: ośmiu kilometrów nawet nie ma, a internat wiele kosztuje, sam pan Wiesio wie. — Już dawno straciłem nadzieję, że mi powie kiedy, jak go jeszcze w wojnę upraszałem: „ty". — Matce umyślili tamtą ziemię, co jej rządowi dali, odebrać...

— A właśnie, jak matka?

— ...to i bardzo wiele pieniędzy na sąd z państwem idzie. Każdemu osobno musowo jest tera płacić w sądzie. Adwokatowi, sędziom, prokuratorom. I za jeich kolacje też płacić. Ale najwyższy prokurator już mi powiedział, że na świętą Bronisławę pora będzie wygrać...

— Prokurator? Kolacje płacić? Co za licho? — nic nie rozumiem. — Co za proces?

— Niech chłopak pije, nie szkoduje sobie, mleko zdrowe — nie przestawał Franek dopingować Wawrzonka, nie zdając sobie sprawy ze swego okrucieństwa. To pan... To Wiesio nic nie wiedzą o maminym procesie?

Nie od razu mogłem się w tych wszystkich zawiłościach połapać, ale rzecz, zdaje się, wyglądała tak: Józefowa w nagrodę za przechowanie przez czas okupacji sztandaru Stronnictwa Ludowego dostała dwie morgi gruntu z parcelacji. Ale że za dużo było wtedy do mierzenia, a za mało mierniczych, oznaczono zasięg tej nagrody tylko na oko: „o, tam do lasu". Dopiero po dobrych kilku latach wymierzono jak należy i okazało się, że do lasku jest ziemi bez mała cztery morgi, a nie dwie. Franek nie dał sobie raz darowanego i to przy świadkach — choć nie wymierzonego — odebrać i podał państwo do sądu, do Warszawy. Musiał trafić tam w Warszawie na jakiegoś podejrzanego adwokata i figlarza, który kazał sobie, wskazywanym przez siebie jegomościom, przedstawianym, jako wszechwładni sędziowie i prokuratorzy, fundować sute kolacje, a owe „decydujące osobistości" musiały go widać każdorazowo zapewniać, że zaraz na wokandzie rozstrzygną sprawę na jego korzyść, po czym dziwnym trafem skład sędziów w ostatniej chwili się zmieniał.

Tłumaczyłem mu, jak mogłem, że wpadł w ręce oszustów. Za nic nie wierzył.

Straciłem nadzieję, że go przekonam, więc dałem spokój. Także i przez wzgląd na Wawrzonka. Miał w oczach rozpacz i zrobił się zielony na twarzy.

— Słyszałem, że ci matka choruje, ale widzę, ozdrowiała, bo nie leży. Pewnie jest z twoimi niewiastami w polu. Chciałbym jej pokłonić się i pokazać syna.

— A gdzie tam! Leży już całkiem. Nic już z mamy musi nie będzie.

— No a doktor co mówi?

— Już jej czas przyszedł, doktory nic nie poradzą. Wieźć ich tu dużo pieniędzy. Jak na człowieka jego czas przyjdzie, to leczyć i nie leczyć na jedno wychodzi. W komorze ją trzymamy, ale tam nie musowo chodzić, bo mama brudna i mocno cuchną.

Postanowiłem nie zważać na to. Wawrzonkowi w tej sytuacji kazałem zaczekać na siebie w dołku na łące przy Świdrze, ale najniespodziewaniej uparł się i spoglądając na Franka z chmurną pogardą oznajmił, że czuje się całkiem dobrze i też tam wejdzie.

— Jak już tak chcą, ta niech idą. Zajmać się i czynić koło mamy nie ma komu. Zawsze jest wielkie utrapienie z robotą, jak to na wsi. Pan Wiesio to wi. Ja jak raz siedzę w chałupie, bo mają zara kosiarkę przywozić, com ją na spłat wziął. Zachodu miałem, że rety, bo niby są, a jak chcesz, ścierwo, kupić, to akuratnie nie ma, dopiero, jak dać ich starszemu prowizję. Wiesio miastowy, wie, jak to jest. Ale kupić się kalkuluje. Szkoda mamy! — westchnął. — Co robić, na każdego jednego czas przychodzi.

Wskazał na drzwi do bokówki, sam nie wszedł i nie uprzedził chorej.

Leżała na wyrku twarzą do nas pod kwadratowym, nigdy nie otwieranym okienkiem. Przed wyrkiem stała beczka z kapustą, łaska z ziarnem i kosa. Cuchnęło rzeczywiście nie do wytrzymania. Józefowa poznała i rozrzewniła się, ale nie wydawała się zdziwiona. Tylko zażenowana, a nawet zatroskana: zdawała sobie sprawę z udręk naszego powonienia.

Na dwie takie deseczki — pokazała mi je, jakby to był jakiś skarb (leżały na pierzynie blisko rąk) — na których się opiera, kiedy musi na moment wstać, a właściwie podciągnąć się na rękach, wlokąc za sobą bezwładne nogi. Chciała nawet pokazać, jak to przemyślnie robi. A nie zdziwiła się naszym przybyciem, bo akurat rozmyśliwała sobie o mnie i też o moich dzieciach. A to z powodu ostatniego snu — śniła jej się moja matka.

— Jechała mamuśka, pani nizinierowa znaczną karetą. A była ci ona calutka ze złota ciągniona i przez konie, i przez samochód. Szły w zaprzęgu równiutko, równiutko. Nie trzeba ich było poganiać. I pana Wiesia mamuśka pokiwała na mnie złotą rączką. „Moja Józefowo — powiada — t a m wszystko jest ze szczerego złota, i aniołkowie ze złota, i święci. Tylko sama jedna Matka Przenajświętsza jest ze zwyczajnego ciała, uperfumowanego fiołkową perfumą. I nic, jeno swojego Pana Jezuska trzyma wciąż na rękach i na krok od siebie nie puszcza, bo się o Niego zawsze obawia. A mój kochany zięć Anzelm i wasz świętej pamięci Józef nieboszczyk chodzą tam we frakach, jak jaśniedziedzice... Pytam panowej mamuśki, co ona tam robi. I mówi: „najwięcej to ja się modlę i raduję z przyczyny moich dzieci, wnucząt i moich kochanych przyjaciół. A najwięcej to z przyczyny waszego Franka, że z niego taki teraz galanty gospodarz, taki obrotny wedle ziemi i posłuch ma. A i z waszej wnuczki ukochanej Ewki, co uczy się na partyjną uczoną. I ja się pytam pani nizinierowej, czy mnie też do nieba zapiszą". „A zapiszą, zapiszą" — śmieje się pana mamuśka, jako, że się zawsze bardzo lubiła śmiać. — Już tam dla was, Józefowo, pierzynę gotują z samych czyściuteńkich promyczków. No, czas już na mnie, Wiee!" — zawołała. Wtedy koń pognał przed siebie, a taksówka w górę i wtedy się obudziłam... Jaki duży jest pan... Wawrzonek ma na imię, prawda? Już jest musi wyższy od swojego tatuśka...

Uniosła rękę i opuściła prostopadle w dół. Domyśliłem się, że chciała go przeżegnać, ale, albo, zapomniała, albo utrudziła za bardzo rękę. Leżała chwilę bez ruchu. Wtedy Wawrzonek zbliżył się odważnie, pochylił się ustami nad tą zwisającą ukośnie wąską ręką, oblepioną jakby pastą od podłogi.

Fragment z powieści „Dzbanek życia", wyróżnionej drugą nagrodą na konkursie Warszawskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej, Oddziału Warszawskiego [illegible] Mazowieckiego Towarzystwa Kultury oraz miesięcznika „Barwy" na powieść tematycznie związaną z regionem Mazowsza, Kurpiów i Podlasia z okazji XXX-lecia PRL.

30 LAT ŁÓDZKIEGO ODDZIAŁU ZLP

W ubiegłym tygodniu w salach Muzeum Historii Miasta odbyła się jubileuszowa uroczystość trzydziestolecia łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich.

Uroczystość zaszczycili swoją obecnością przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych miasta z pierwszym sekretarzem KŁ PZPR, przewodniczącym Rady Narodowej — **Bolesławem Koperskim** i prezydentem m. Łodzi — **Jerzym Lorensem**. W uroczystości wzięli także udział m.in.: zastępca kierownika Wydziału Kultury KC PZPR, **Edmund Makuch** i wiceprezes ZG ZLP — **Jerzy Putrament**.

Dorobek i tradycje łódzkiego środowiska literackiego, stanowiące trwały wkład w rozwój polskiej kultury przedstawił w swoim referacie prezes zarządu oddziału ZLP, **Jerzy Wawrzak**. Zapewnił on władze o głębokim zaangażowaniu łódzkich pisarzy w najżywotniejsze problemy, którymi żyje kraj i społeczeństwo miasta.

Pierwszy sekretarz KŁ PZPR, **Bolesław Koperski**, dał wyraz uznania i szacunku władz dla twórczego trudu łódzkich pisarzy oraz złożył słowa podzięki za wierność wobec spraw miasta, za czynny udział w walce o sprawiedliwość społeczną i wszechstronny rozwój kraju. Tow. Bolesław Koperski przekazał także serdeczne pozdrowienia i życzenia dla łódzkich pisarzy od członka Biura Politycznego KC PZPR, **Jana Szydlaka**.

Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski odznaczeni zostali: **Władysław Rymkiewicz i Apoloniusz Zawiliski**.

Krzyżami Kawalerskimi — **Tadeusz Chróścielewski i Jerzy Wawrzak**.

Złotymi Krzyżami Zasługi — **Eugeniusz Iwanicki, Janusz Skoszkiewicz i Jerzy Wilmański**.

Ponadto oddział łódzki ZLP odznaczono Honorową Odznaką Miasta Łodzi, którą otrzymali także — **Henryk Czarnecki, Jan Czarny, Andrzej Makowiecki, Ewa Ostrowska i Mieczysław Szargan**, a odznakę „Zasłużonego Działacza Kultury" — **Andrzej Biskupski, Konrad Frejdlich, Tadeusz Głegier, Włodzimierz Krzemiński, Karol Obidniak i Igor Sikirycki**. W imieniu odznaczonych podziękowanie składał **T. Chróścielewski**.

FOTOREPORTAŻ WŁODZIMIERZA PARYSA

BEŁCHATÓW

CUKIERNIK NA KOPARCE

Dalszy ciąg ze str. 1

Wędrowniczek. Jeden z setek trampów przemierzających szlaki łączące place wielkich budów. Romantyka, cygańska włóczęga, w życiorysach często—gęsto niejasne przerwy. Potrzebują, to wezmą, można złapać ciągłość po kilku miesiącach absencji.

Skrzypią drzwi, trzech młodych ludzi z kaskami motocyklowymi w rękach, poszturchując się wzajemnie, wypchnęło do przodu najniższego, który wejście miał wesołe i śmiałe.

— Tu są te kadry?

— Rozgośćcie się, panowie!

— E, tam my do roboty.

— Motocykliści?

— Spawacze. Z Zelowa.

— I ślusarz — dodał trzeci.

— Musicie na Rogowiec — poradził Surzyński — **Do zakładu transportowego i wykonawstwa własnego.**

— Na acetylen i elektryczny — powiedział chudy, wysoki, w okularach. — **To też?**

— Uniwersalny w transportowym potrzebny od zaraz.

— To będę spawać. Tylko te cholerne dojazdy...

— Latem na motorach. A zresztą z Zelowa dowożą autobusem.

Pojechali do Rogowca, a po chwili weszła młoda, zgrabna blondynka. Szef powiedział do niej „cześć", a ona spytała, czy jest robota, po czym oboje się roześmiali. Bo to była małżonka Surzyńskiego. Przyjechał, trafił na porządną miejscową dziewczynę i pobrali się. Nie wszyscy tacy szczęśliwi. Mieszkań brakuje. Administracja kopalni też nie siedzi na swoim.

Tylko, że nie z tej beczki trzeba zaczynać. Pokazałem scenki z działu kadr, aby rozjaśnić nieco mętne wyobrażenia o tysiącach wolnych miejsc w kopalni. Te całe płachty ogłoszeń w gazetach, nawołujące jak do raju do Bełchatowa, to nie kopalnia. To cały szereg wykonawców, jak **„Hydrobudowa", „Energoblok"**, firmy budowlane i montażowe. Oni odejdą, a kopalnia zostanie.

A więc to, co dotyczy wyłącznie kopalni.

Centralny Ośrodek Badawczo-Projektowy Górnictwa Odkrywkowego „Poltegor" opracował dla **Kopalni Węgla Brunatnego „Bełchatów"** 120-miesięczny cykl realizacji. Według założeń pierwsza maszyna górnicza ma rozpocząć pracę w początkach lipca 1977 roku, a pierwsze wydobycie rozpocznie się w drugiej połowie 1980 roku. Docelowa zdolność produkcyjna ma wynieść 38,2 — 40 milionów ton rocznie.

Aby spełniły się papierkowe wyliczenia planistów, potrzebni są przede wszystkim ludzie. Dodajmy — ludzie o nie znanych dotąd zawodach. W latach 1975/77 istnieje zapotrzebowanie głównie na kwalifikowanych robotników ogólnobudowalnych, ale od 1977 roku — potrzebni będą górnicy, górnicy-elektrycy, mechanicy-operatorzy maszyn podstawowych i pomocniczych i inni. Tylko niewielka część tych fachowców przyjdzie z istniejących już kopalni. Reszta przybędzie z innych gałęzi przemysłu oraz z najbliższej okolicy. Trzeba tych ludzi przeszkolić. Oni tu pozostaną, kiedy odejdą budowniczowie kopalni.

Wyliczono dokładnie, iż przy uzyskaniu docelowej zdolności produkcyjnej KWB musi zatrudnić 8.398 takich pracowników.

Tymczasem już na progu piętrzą się kłopoty.

2.

Kiedy trzech chłopaków z Zelowa opuszczało dział kadr, jeden zatrzymał się w drzwiach i spytał:

— Dobra, a co będzie z przeniesieniem? Bo my pracujemy...

— Inna branża i przeniesienia nie będzie.

— To nie ma co jechać do Rogowca.

— Jedźcie! Załatwimy wam przejście w ramach wzajemnego porozumienia między zakładami.

Nie każdy zakład idzie na takie porozumienie. Ba, są i takie, które kiedy tylko zaczynają robić bokami i spadają z planem, natychmiast wypisują protest-songi do władz. Że absencja stoi, bo kopalnia ludzi podbiera. Ostatnio awanturę podniosła nawet „Pioma". Uciekło jej trzech robotników. Ale czy kopalnia ich ukradła? **„Pioma"** przecież produkuje dla Bełchatowa, jakże więc kopalnia ma podcinać gałąź na której siedzi?

Sprawa zatrudnienia odbija się zgrzytem w sklepowej kolejce. Ludzie stoją, a za ladą krąży ledwie żywa jedna ekspedientka. Ktoś się wnerwia, nie wytrzymuje i krzyczy:

— Czy tu nie ma, do cholery, większej obsługi?

— Była — mówi opryskliwie znużona ekspedientka — **ale przeszła do kopalni.**

Na zebraniach załóg górnicy klną, że ciężko pracują, a po robocie muszą sterczeć godzinami w ogonku, bo jednoosobowy personel nie nadąża z obsługą, i koło zamyka się...

Przeglądając wykresy dotyczące zatrudnienia, odnotowałem, że w trzecim kwartale bieżącego roku w kopalni powinno pracować 870 pracowników wysoko kwalifikowanej kadry inżynierskiej, a było zatrudnionych 830. Zapotrzebowanie (w tym samym okresie) na robotników wykwalifikowanych i równorzędnych — 564, a pracowało 546. Czyli nie tak źle.

Na listach pracowników znajdują się nazwiska ludzi pochodzących z najbliższych okolic, nawet ze wsi, przeznaczonych do likwidacji, takiej jak choćby Piaski. Z tym, że nie są to „górnicy", lecz przeważnie robotnicy budowlani. A kopalnia musi mieć do końca roku zatrudnionych 1300 fachowców.

Dlatego nie ma się co cieszyć, kiedy w dziale kadr pojawia się nagle cała rodzina. Mężczyzna z dwojgiem dzieci pozostaje przy drzwiach, kobieta wali śmiało do biurka.

— Gdzie tu przydzielają mieszkania? — pyta.

— Pani u nas pracuje?

— Nie, ale mąż chciałby się zatrudnić.

Przyjechali aż z Koszalina. Tłukli się całą noc, teraz muszą wracać, rozczarowani.

Samotny lepiej sobie poradzi. Podniesie walizki i powie, że prześpi się w hotelu.

— Ale hotelu też nie ma.

— To pojadę prosto do huty w Katowicach. Wciąż przyjmują.

— Tam lepiej?

— Mieszkanie za trzy lata.

W Bełchatowie mogą obiecać mieszkanie za osiem lat. Bolączka na wszystkich inwestycjach. Kopalnia buduje mieszkania, inni wykonawcy nie. Płacą za prywatną kwaterę po 900 zł od łebka.

Można by przeszkolić miejscowe kobiety. Ale przepisy BHP mówią wyraźnie, że nie wolno zatrudniać kobiet na odkrywce. Mogą pracować jedynie na suwnicach, w magazynach i przy obsłudze... saturatorów z wodą sodową.

Przewidywałem w jednym z poprzednich reportaży, że z bełchatowskiej **„Bawełny"** i fabryki cukierków odejdą mężczyźni, a ich miejsce zajmą kobiety. Nie przewidziałem jednak iż **„Bawełna"** może służyć kopalni. **„Bawełnę"** rozbuduje się, aby znalazły tam pracę żony górników.

Spotkałem anonimowego faceta, operatora koparki. Zapaliliśmy po sporcie. Kiedy podawał mi ogień, zauważyłem, że dłonie ma takie jakieś niewyrobione, delikatne jeszcze.

— Pan od dawna? — zagadnąłem.

— Jakiś miesiąc. Po kursie...

— A przedtem?

— Nie uwierzy pan...

Uwierzyłem. Był cukiernikiem. Miał trzy tysiące, teraz bierze siedem.

Nie chcę rozbijać mitów. W górnictwie zarobki wyższe niż w wielu innych zawodach. Ale jak ocenić nauczyciela, który stwierdza, że po dwudziestu latach zbrzydła mu belferka, i chce do kopalni? Prędzej uwierzyłbym, że gość leci na pieniądze. No bo ranga nauczyciela wiejskiego chyba się liczy, prawda? A teraz co? Trzeba wskoczyć w drelich i słuchać górnika. „Franek, podaj no ta kista".

Trzeba zaczynać od nowa. Tak jak ten górnik, który też startował z niskiego pułapu.

Ale nie w tym rzecz. Idzie o szansę, jaką stwarzają dla pozyskania fachowców wszelkiego rodzaju kursy. Z tym, że na równych prawach przystępują do nich tak absolwenci podstawówek, jak i maturzyści. Absolwenci techników o profilu mechanicznym stoją na lepszej pozycji.

Kopalnia organizuje w bieżącym roku kursy dla operatorów sprzętu budowlanego (betoniarki, wyciągi i przenośniki budowlane); dla obsługi kotłów EW-6, elektryków do montażu sieci, kabli, obsługi stacji, remontu silników.

W następnych latach na kursach zdobywać będą kwalifikacje „hako-

Foto: Archiwum

GIGANT NAD WIDAWKĄ

Dalszy ciąg ze str. 1

WIADRO NA 4500 LITRÓW

Operator, który zawiśnie wysoko ponad wierzchołkami najwyższych sosen, będzie trzymał wiaderko w dłoni. Tak jest, wiaderko, tyle że pojemność czerpaka przekroczy 4500 litrów. Za każdym zamachem operator wyrwie z ziemi całe tony piasku, gliny i żwiru i przeniesie za naciśnięciem dźwigni na odległość 70 metrów. Na kole czerpakowym o średnicy 17 metrów pomieści się wiele takich wiaderek. To koło zacznie się obracać niczym przepotężna karuzela. Będzie pruć wnętrzności ziemi na coraz większych głębokościach.

Wpatrujemy się z **Józefem Kowalskim** w fotografię koparki. Maszyna jest już gotowa, czeka tylko na transport. Jest to kolos jaki nigdy jeszcze na polskiej ziemi nie stanął. Każdą jego rozśrubowaną cząstkę trzeba przewieźć z RFN w pobliże Bełchatowa koleją. Potem rozpocznie się przepychanie tych niewiarygodnych ciężarów drogami. Długa to będzie operacja, żmudna i skomplikowana. Pierwsze elementy koparki-giganta, uważanej za największą na tym kontynencie, dotarły już na plac montażowy we wsi Piaski.

— Jak długo potrwa montaż tej koparki?

— Myślę, że dwa lata — odpowiedział Kowalski bez chwili wahania.

— Aż tak długo?

— Ależ to przecież tak, jakby od fundamentów budowano wielki kombinat przemysłu maszynowego. Ta koparka warta jest półtora miliarda złotych, mniej więcej tyle co zakład produkcyjny dużej mocy. Może uda się nam skrócić termin montażu, nic jeszcze nie wiadomo. Marzę o tym po cichu, żeby koparka była gotowa już w maju 1977 r. Wtedy dopiero się zacznie. Naciśniemy ten pedal i cała naprzód.

— Zastanawiam się, ile ziemi zdoła wyrwać ta superkoparka w ciągu jednej doby.

— Możemy to wyliczyć w sposób poniekąd obrazowy, więc ziemią wydobytą w ciągu doby przez koło czerpakowe załadować by można 100 pociągów towarowych, z których każdy miałby po 50 wagonów.

ICH TRZECH I ONA JEDNA

Józef Kowalski to górnik. Bojowy chrzest przeszedł w kopalni „Turów" jako sztygar zmianowy. Skąd wziąć ludzi, którzy nie stracą głowy i z całym spokojem będą manipulować przy stalowym smoku wartości półtora miliarda złotych? Jakie cechy muszą mieć operatorzy? Najlepszą i najpewniejszą jest twardy i nieugięty charakter. I nade wszystko zimna krew.

Największe koparki pracują w ciągłym rytmie, na trzy zmiany. Ktoś „nie śpi, aby ktoś mógł spać". Obieg jest zamknięty. Od koparki do zwałowiska piasku i gliny z odkrywki jest kilkanaście kilometrów. Przez te kilometry do zwałowiska biegną niestrudzenie i z głuchym dudnieniem szybkie przenośniki. Gdyby koparka stanęła na jedną krótką minutę, czekać by przyszło cały kwadrans, zanim by ponownie zadygotał najpierwszy z przenośników i zaczęły swój opętańczy bieg jego rolki i łańcuchy. Blokada działa automatycznie. Starczy że taśmociąg nawali przy zwałowisku, a w tejże sekundzie wyłączona jest z ruchu także koparka. Ogłuszający łoskot wszystkich przenośników nagle zamiera.

Są u nas ludzie, którzy z zimną krwią potrafią kierować superkoparkami na dnie stromej przepaści w kopalni odkrywkowej. Wiedziałem o tym, Kowalski też wiedział... Józef, Staś, Mieczysław Piechocki, obaj oczywiście z Turowa... Będzie im czasem huczeć w głowie od napięcia, jakby kto tłukł młotkiem w skronie, a jednak nie zawiodą. Twardzi i nieustępliwi, świadomi ciążącej na nich odpowiedzialności poprowadzą koparkowego smoka ręką, która ani im drgnie. Obaj są obdarzeni silną wolą, wytrwałością i jeszcze czymś prócz tego, co Kowalski, wtrącając jakby mimochodem, nazwał intuicją.

INTUICJA POMAGA

Intuicja? Cóż może mieć wspólnego intuicja z pracą gigantycznej koparki? Czyżby człowiek bez szóstego niejako zmysłu miał z góry przegrane wszystkie karty i był bez szans na wielkiej karuzeli czerpakowego koła? Kowalski, wciąż jeszcze młody, mimo turowskiego stażu, zawahał się.

— Może to zabrzmieć śmiesznie i niewiarygodnie, a jednak tak było naprawdę. Zdarzyło się to w dzień Barbórki, rozszalała się wtedy śnieżyca i pozawiewało drogi. U naczelnego szła akurat odprawa robocza. W pewnej chwili coś mnie tknęło, żeby rzucić naradę i popędzić na siódmy pokład. Zerwałem się pod jakimś pretekstem i w drogę. Rano był mróz, po południu nastała odwilż, ale śnieg padał dalej, tworzyło się lepkie grzęzawisko i wszędzie stały kałuże wody. Jechałem prosto do ściany, popychany przemożną siłą. Rzeczywiście, stało się. Raptem skarpa na siódemce obsunęła się. Runęła z takim impetem, że wielką koparkę odrzuciło na kilka metrów. Znalazłem się tam w samą porę, żeby zapobiec katastrofie. Koparkę pogięło, ale nie zniszczyło. Nagroda nawet za to poleciała. Co to jednak znaczy intuicja.

Przypomniało mi się starochińskie powiedzenie, które głosi, że spośród 37 możliwości uniknięcia niebezpieczeństwa, najlepszą jest ucieczka.

Kowalski zastanawiał się.

— Zależy kiedy. Na cały dzień byłoby opowiadania o pracy w odkrywce. Intuicja jest potrzebna, właśnie po to, żeby umknąć w porę ze sprzętem. Pewnego dnia, w psią, deszczową pogodę. Staś zaczął się denerwować. Właściwie bez powodu, bo wyrąb szedł gładko i bez przeszkód. Staś rzucał okiem na ścianę, coś mu podpowiadało, że dzień może się źle dla niego skończyć. Rzeczywiście, kiedy się dobrze przyjrzał, zauważył, że z środka ściany zaczyna się lekko sypać drobniutki piasek. Taka strużka, nic na pozór groźnego. Staś podjął decyzję od razu. Odsunął koparkę po rozmiękłym gruncie na bezpieczną odległość. Operator z intuicją zna takie ścieżki. I wtedy gruchnęło. Na wyrobisko zwaliło się tysiące ton piasku. Sprzęt uratowaliśmy, nikt też nie doznał najmniejszego szwanku. Najgorzej pracuje się w odkrywce podczas długotrwałych albo ulewnych deszczów. Odkrywka tonie w wodzie i błocie, wszystko wtedy może się zdarzyć. W zeszłym roku podczas pamiętnych jesiennych deszczów stanęły kopalnie odkrywkowe w NRD. A „Turów" szedł pełną parą. Przyjeżdżali wtedy do nas inżynierowie z drugiej strony Odry i pytali: jak wy to robicie?

Kowalski na moment przerwał:

— Trochę mi żal osiedla w Bogatyni. Cóż to były za domki, w ogródkach, piętrowe, cacka. Piękne to było osiedle, koło Wzgórz Izerskich, przy czystym powietrzu z okien widziałem Sudety.

— Czego się pan najbardziej obawia w podbełchatowskiej odkrywce, która ma być przecież dwa razy większa od Turowa?

— Braku obowiązkowości i zdyscyplinowania. Ten teren nie ma przemysłowych tradycji. A w górnictwie dyscyplina musi być jak w wojsku. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, ale też każdy swoje,

BEŁCHATÓW

wi", konserwatorzy tras taśmociągów, maszyniści lokomotyw, ślusarze koparek i zwałowarek, wiertacze.

W ubiegłym roku w okolicznych wsiach i miasteczkach pojawili się górnicy w galowych mundurach, którzy na spotkaniach z młodzieżą szkół podstawowych mówili o pracy w kopalni. W sukurs przyszli im uczniowie Zasadniczej Szkoły Górniczej w Koninie, ale urodzeni w Bełchatowie i okolicy. Akcja werbunkowa przeszła pomyślnie i w trzech filiach ZSG w Koninie rozpoczęło naukę stu pięćdziesięciu uczniów.

— **Dzisiaj filie już nie istnieją** — mówi specjalista do spraw szkolenia zawodowego, inż. Teresa Skopicz-Radkiewicz. — **W naszych własnych szkołach, tzn. Zasadniczej Szkole Górniczej w Bełchatowie i Kamieńsku oraz w Technikum Górniczym w Kamieńsku pobiera naukę czterystu pięćdziesięciu uczniów. Rekrutują się z najbliższych okolic, w internatach mieszka około osiemdziesięciu.**

— Wolą dojeżdżać?

— **Tak, ponieważ wówczas stypendium otrzymują na rękę i nie muszą płacić za wyżywienie.**

— Co otrzymują od kopalni?

— **W pierwszej klasie wynagrodzenie miesięczne w wysokości 400 zł, w drugiej i trzeciej — po 500 zł, plus deputat węglowy w wysokości 110 zł, miesięcznie. Ponadto umundurowanie, koszulę, krawat, beret, ubranie i buty robocze, podręczniki i przybory szkolne.**

To dużo. I wszystko byłoby cacy, gdyby nie fakt, że uczniów szkoli się w obcych warsztatach: dwa miejsca w Piotrkowie, trzecie w Zelowie, a czwarte w Pabianicach. Dodatkowo więc przyszli górnicy tłuką się autobusami, ile dusza zapragnie. Zresztą wykładowców też trzeba dowozić do Kamieńska, ponieważ każdy woli mieszkać w Bełchatowie.

Szkoły mieszczą się w cudzych budynkach, a funkcje dyrektorów pełnią w czynie społecznym dyrektorzy liceów. Jak powstaną szkolne zakłady zbiorcze — orzekło Kuratorium — to się ich mianuje i zatwierdzi.

Dyrekcja kopalni robi wszystko, aby szkolnictwo górnicze mogło jak najszybciej rozwinąć normalną działalność. Kopalnia czeka na własnych fachowców. A póki co, otrzymuje podania od uciekinierów. Od tych, co z lichych lasków i piasków wiali na Śląsk. Zdobyli zawód górniczy i teraz piszą, że chcieliby wrócić, bo żre ich tęsknota za rodzinnymi stronami.

Nie wiedzieli, że kopalnia sama przyjdzie do ich wsi.

RYSZARD BINKOWSKI

na swoim stanowisku. Inaczej zaczniemy się szarpać jak ryby w sieci i do niczego się nie dojdzie. Co do operatorów to ich znajdziemy. Wśród młodych są wspaniali ludzie. Dla nich Bełchatów będzie życiową szansą. Przyjadą. Nie ma obawy. Romantyzm wielkiej budowy, to nie puste słowa, niech pan mi wierzy.

DWA PYTANIA

...jakie miejsce zajmie bełchatowska odkrywka na kopalnianej mapie Europy?

W szczytowej fazie „Bełchatów" ma wydobywać 40 mln ton węgla brunatnego rocznie. Największa obecnie tego typu kopalnia „Fortuna—Garsdorf" w RFN dostarczy w niedalekiej przyszłości 50 mln ton węgla. „Frommersdorf" i nasz „Turów" mieszczą się w granicach 22—24 mln ton rocznie. Tak więc „Bełchatów" ustąpi wielkością wydobycia tylko jednej jedynej kopalni na tym kontynencie, mianowicie „Fortunie" z Garsdorfu.

...jakie miejsce zajmą podbełchatowskie elektrownie „Rogowiec" i „Osiny" na energetycznej mapie Europy?

Obie te elektrownie posiądą moc 2880 i 2160 megawatów. Potężniejsza pod tym względem jest tylko elektrownia „Boxberg" w NRD. Jej moc sięga 3400 megawatów. Moc kolejnej co do wielkości elektrowni Niederaussem w RFN nie przekracza 2700 megawatów. Tak więc podbełchatowskie elektrownie wejdą w latach osiemdziesiątych do ścisłej światowej czołówki siłowni napędzanych węglem brunatnym.

JAN BĄBIŃSKI

HISTORIA ŁODZI

Jest w Łodzi niewielka uliczka Oskara Flatta, przytulona do torów Kolei Obwodowej, w pobliżu krańcówki tramwajowej „Kolej Obwodowa". Starzy łodzianie powiedzą:

— A to tam, gdzie Sienkiewiczówka, Łódzka Rodzina Radiowa — stare dzieje!

Ciekawi odnajdą uliczkę na planie Łodzi, a może i wybiorą się tam na niedzielny spacer. Ja też się wybrałem. Nic nadzwyczajnego — trochę małych, stareńkich domków, kilka nowych bloków, opodal wieżowce Nowego Rokicia.

Zapytałem kilkudziesięciu mieszkańców tej ulicy: — czy wiedzą, kim był Oskar Flatt?

Zaledwie trzy osoby potrafiły odpowiedzieć na to pytanie. Inni próbowali, ale były to próby nieudane. Mówili: lekarz, działacz ruchu robotniczego, ekonomista, malarz, poeta a nawet — „niewątpliwie Azjata".

1.

„OSKAR FLATT ur. 6 listopada 1822 r. w Siedlcach, zmarł 3 września 1872 roku w Warszawie, pochowany na cmentarzu ewangelicko-augsburskim przy ul. Młynarskiej. Gimnazjum kończył w Piotrkowie Trybunalskim, był zresztą synem długoletniego nauczyciela tegoż Gimnazjum Wojewódzkiego — Bogumiła Flatta a synowcem znanego agronoma Jerzego Beniamina Flatta — dyrektora Marymonckiego Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego pod Warszawą. Z zawodu urzędnik, z zamiłowania dziennikarz, literat, krytyk i przede wszystkim krajoznawca. Był urzędnikiem rządu gubernialnego w Warszawie, potem urzędnikiem i wreszcie dyrektorem Kancelarii Kolei Żelaznej Libawskiej (jednej z najdłuższych wówczas w Rosji). Był też od 1849 roku pracownikiem a następnie współredaktorem wychodzącej w Warszawie „Gazety Codziennej" przekształconej później (rok 1862) w „Gazetę Polską". Zamieszczane tam liczne korespondencje podpisywał literą „F". Człowiek szerokich zainteresowań i upodobań, pełen temperamentu, znawca kraju rodzinnego. Autor wielu opracowań i książek z zakresu historii, geografii, statystyki itp.".

2.

Obowiązki swoje traktował nadzwyczaj sumiennie, a ulubionym zajęciom oddawał się z pełnym zaangażowaniem, wręcz pasją, tym bardziej że nie był obarczony obowiązkami głowy rodziny. Jego rozległe zainteresowania, rzutki umysł, stykający się z wieloma przejawami życia podczas podróży służbowych, stwarzał podatny grunt do dogłębnego wnikania w poznawane sprawy i prawidłowego ich rozumienia. Ruchliwy tryb życia dawał mu okazję do poznania nader wielu zjawisk i ludzi, do różnych kierunków działania. Studiował społeczne zjawiska tamtych czasów, poznawał przeszłość, interesował się współczesnymi mu zagadnieniami gospodarczymi i socjalnymi. Był zapalonym krajoznawcą, miłośnikiem i badaczem folkloru (wówczas nazywano takich „wielbicielami swojszczyzny"), pozostawał pod wpływem literatury okresu romantycznego, zwracającej się ku badaniom przeszłości historycznej jak i badaniom pieśni i zwyczajów ludu ziem polskich. Stał mocno na gruncie praktycznej działalności, był gorącym zwolennikiem postępu w technice i nauce. Badał rozwój przemysłu polskiego.

3.

W **„Gazecie Codziennej"** z 1855 r. w ciekawym utworze **„Jarmark w Łowiczu"** utrwalił zwyczaje łowickie, jarmarki „świętomichałowe" i świętojańskie" tam odbywane. Był współorganizatorem wystaw i konkursów rolniczych w tym regionie.

W dodatku do **„Gazety Codziennej"** wydawanym jako **„Gazeta Rolnicza, Przemysłowa i Handlowa"** opublikował w 1850 roku, wydany następnie w odbitce, **„Opis Piotrkowa Trybunalskiego pod względem historycznym i statystycznym"**. W 1853 r. ukazuje się drukiem następna praca Oskara Flatta **„Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym"** jako **„swojska kartka z dziejów przemysłu"**, w rok później **„popularny podręcznik podróży malowniczej"** — opis przeszłości mijanych okolic, przeplatany literackimi opowiadaniami i legendami pt. **„Brzegi Wisły od Warszawy do Ciechocinka"**.

Oskar Flatt wędrował najróżniejszymi środkami lokomocji: karetkami pocztowymi, dyliżansami, koleją żelazną, statkiem parowym po Wiśle furmankami, konno i opisywał kraj przede wszystkim Królestwo Polskie, ale i inne polskie ziemie pod zaborami. Opisywał Tatry, Lubelskie, Góry Świętokrzyskie, Mazowsze, Podlasie, Kujawy, Pomorze, brzegi Wisły od Warszawy aż do Gdańska, nawet napisał **„słowo o Łużycach i Łużycanach"**. Poznawał też kraje ościenne: Austrię, Prusy, Rosję, a nawet zapuścił się do Anglii i Francji.

MIROSŁAW WOJALSKI

KIM BYŁ OSKAR FLATT?

Foto: Archiwum

4.

Najbardziej interesował się **„fenomenem przemysłowym" — Łodzią**, najbardziej przyciągał jego uwagę wyrastający wówczas łódzki okręg przemysłowy, a szczególnie jego centrum — Łódź, kolebka krajowego przemysłu bawełnianego. Zamieścił wiele artykułów w **„Gazecie Codziennej"** na te tematy, a pierwszą w dziejach Łodzi korespondencję zamieścił w prasie warszawskiej w roku 1851 i już w roku 1852 w odcinkach zamieścił **„Opis miasta Łodzi..."** wydany następnie drukiem w całości w 1853 roku przez tę samą **„Gazetę Codzienną"**. **„Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym"** przyniósł mu miano pierwszego kronikarza Łodzi przemysłowej.

Oskar Flatt w przedmowie **„Opisu Łodzi..."** pisze:

„Oddając niniejszą monografię sądowi ogółu jedno mam tylko na widoku życzenie, aby stała się zachętą do innych prac w tym rodzaju, które by zarazem w łączności swojej przygotowały materiał do historii przemysłu krajowego(...) Wobec tak wydatnie określa się i cały rozwój i wszystkie zmienne koleje, jakie odznaczały przemysłowe życie nasze od zaczątków jego przez całe ubiegłe trzydziestolecie..."

Oskar Flatt był doskonałym obserwatorem. Na kartach swojej książki zawarł wiele celnych obrazków z życia łodzian, ich pracy, rozrywek, warunków życia w różnych dziedzinach. Tak np. pisał o ówczesnych obrzeżach Łodzi:

„...w prostym ciągle kierunku wybiega dalej ulica Zgierska traktem bitym ku Zgierzowi, na Ozorków i Łęczycę. Na przecznicach, bliższych środkowego punktu miasta, większy jeszcze niekiedy ruch dostrzec można, ale za to wcielone do miasta obszerne dzielnice po obu stronach fabrycznej osady przedstawiają jeszcze sielski widok. Mieszkańcy tamecznych okolic doświadczają połączonych przyjemności miejskiego i wiejskiego życia: tuż za domami roztaczają się ogrody, a dalej złotym kłosem bogate łany..."

Skądinąd wiemy, że nie był to tak sielski żywot, bo już miasto dawało znać o sobie ściekami, dymiącymi kominami, błotem na nie brukowanych ulicach, ciemnościach w nocy itp.

Nie ustrzegł się niestety Flatt naiwności, błędów, stronniczych poglądów czy nie sprawdzonych legend. M. in. podobnie jak w ówczesnych wzmiankach prasowych i ówczesnej korespondencji urzędowej tak i Oskar Flatt kilkakrotnie nazywa Łódź miastem niemieckim, chociaż Niemcy w tym mieście byli zawsze w mniejszości. Flatt wierzył w rychłe spolonizowanie się przybyłych osadników niemieckich i pochwalał wszelkie przejawy polskości.

5.

Była to nie tylko pierwsza książka o Łodzi, pierwszy przewodnik po Łodzi, ale umieszczono tam pierwsze widoki Łodzi — litografie „z natury" **W. Walkiewicza.**

Litografii tych było osiem, wykonanych w formacie 8 x 13 cm i przedstawiały: ratusz i kościół ewangelicki, park miejski czyli „spacerowy ogród Angielski" lub „Quela" (obecny park Źródliska), drewniany kościółek katolicki (ten sam, który przeniesiony z placu Kościelnego, obecnie od 1888 roku stoi przy ul. Ogrodowej) i 5 budynków fabrycznych: Geyera, Grohmanna, Feslera, Moessa, Petersa.

„Opis miasta Łodzi...", jak na przyzwoity przewodnik przystało, zawiera również plan miasta, przez **Seweryna Oleszczyńskiego** dokładnie litografowany, a nie było to takie proste, gdyż Łódź mająca już wówczas status miasta gubernialnego liczyła 2.740 ha powierzchni (w tym jeszcze 600 ha lasów). Ilość mieszkańców przekroczyła 16 tysięcy, a przecież **Rajmund Rembieliński** planował tę osadę fabryczną na ok. 5 tysięcy mieszkańców.

Na tym nie kończą się związki Oskara Flatta z Łodzią. Oto 19 listopada 1866 roku jako naczelnik Kancelarii Prezesa Rady Zarządzającej Towarzystwa Drogi Żelaznej Fabryczno-Łódzkiej redaguje odpowiedź do Magistratu m. Łodzi w sprawie niemożliwości wykonania dla ruchu drogowego przejazdów nad czy pod torami kolei fabrycznej na ulicach Targowej i Widzewskiej (obecnie Kilińskiego) — początkowo tereny kolejowe sięgały do obecnej ulicy Sienkiewicza. Treść pisma wykazuje doskonałą znajomość Łodzi i wszystkich perturbacji poprzedzających wybudowanie Dworca Fabrycznego oraz torów Kolei Żelaznej Fabryczno-Łódzkiej.

Wierny też swym zainteresowaniom, zamieścił w prasie warszawskiej ciekawe literacko sprawozdanie z pierwszej podróży, jaką odbył nowo otwartą, niespełna 30-kilometrową linią kolejową z Koluszek do Łodzi.

6.

Oskar Flatt interesuje nas przede wszystkim jako autor znakomitej publikacji, będącej przyczynkiem do dziejów myśli ekonomicznej i praktyki gospodarczej władz Królestwa Polskiego, a także jednym z najważniejszych źródeł do dziejów przemysłowej Łodzi.

Jego **„Opis Łodzi..."** bywał wykorzystywany w bardzo dziwnych okolicznościach. Carski Prezydent m. Łodzi, Władysław Pieńkowski w raporcie do gubernatora piotrkowskiego zgłasza 26 czerwca 1895 r., niezgodnie z prawdą, że „Łódź żadnego herbu nie posiada i nie posiadała", wobec tego przedkłada do zatwierdzenia projekt ad hoc wymyślonego herbu, dołączając do projektu krótki zarys historii Łodzi oparty nie na źródłach archiwalnych, lecz na opisie Oskara Flatta z dołączeniem danych statystycznych o ludności i rozwoju przemysłu i handlu od 1860 do 1894 roku. Na szczęście niefortunnie zaprojektowany herb Łodzi nie otrzymał sankcji państwowych.

Szkoda, że **„Opis Łodzi..."** Oskara Flatta jest „białym krukiem" i w Łodzi jest zaledwie kilka tych książeczek, a nie wszystkie są dostępne dla przeciętnego czytelnika nawet w bibliotekach.

Jest w Łodzi niewielka uliczka Oskara Flatta, przytulona do torów Kolei Obwodowej, w pobliżu krańcówki tramwajowej „Kolej Obwodowa". Starzy łodzianie powiedzą:

— A to tam, gdzie Sienkiewiczówka, Łódzka Rodzina Radiowa — stare dzieje!

Ciekawi odnajdą uliczkę na planie Łodzi, a może i wybiorą się tam na niedzielny spacer. Ja też się wybrałem. Nic nadzwyczajnego — trochę małych, stareńkich domków, kilka nowych bloków, opodal wieżowce Nowego Rokicia.

ANDRZEJ BLAJER

WÓDZ REBELII

(część I)

Wydarzenia ostatnich tygodni spowodowały, iż Hiszpania znów znalazła się w centrum uwagi światowej opinii publicznej, dodajmy, z rosnącym niepokojem obserwującej to, co dzieje się obecnie na Półwyspie Iberyjskim.

Przyczyn tego stanu jest kilka. Przede wszystkim okres minionych miesięcy cechowało nasilenie się fali terroru politycznego, prześladowań i opozycji politycznej przez władze frankistowskie, wyroki śmierci na działaczy baskijskiej organizacji ETA. Fakty te wywołały zdecydowane potępienie w Europie i świecie, co bynajmniej nie ułatwia i tak już skomplikowanej sytuacji reżimu. Skomplikowanej, gdyż dla nikogo dziś nie ulega wątpliwości, że wraz ze zniknięciem ze sceny politycznej Hiszpanii osoby gen. Franco, dobiegnie także kresu epoka, której był żywym symbolem — epoka rządów autokratycznych w imię interesów wielkiej burżuazji, oligarchii przemysłowej i ziemskiej. A jak na to wskazują ostatnie dni, zniknięcie to wydaje się być już sprawą tylko bardzo krótkiego czasu.

Nagłe pogorszenie się stanu zdrowia caudilla i fakt wyznaczenia (na razie tymczasowo) głową państwa Juana Carlosa, zwróciły uwagę wszystkich na zasadniczy obecnie problem: jaka będzie najbliższa przyszłość polityczna Hiszpanii? Odejście dyktatora na pewno spotęguje kryzys władzy, jaki ogarnął już wszystkie szczeble istniejącego systemu politycznego, lecz czy od razu spowoduje radykalne zmiany? Zanim jednak czas przyniesie odpowiedź na pytania: **„kto po Franco?"**, spójrzmy dziś na główną osobę dramatu, jaki od blisko 40 lat przeżywa Hiszpania.

Kim był w rzeczywistości ów człowiek zwany caudillem? Co stanowiło sekret jego tak długiego panowania? Osobę Franco otaczał zawsze pewien mit wielkiego, charyzmatycznego przywódcy, spróbujmy więc ukazać jego prawdziwy portret. Portret człowieka, który wywarł tak wielki wpływ na oblicze współczesnej Hiszpanii pozwoli zarazem zrozumieć przyczyny tragedii tego kraju i narodu, trwającej nieprzerwanie od 160 lat.

W tym ostatnim stwierdzeniu nie ma bynajmniej przesady, bowiem od początku XIX wieku Hiszpania była areną wojen domowych i rewolucji, ciągłych wzlotów i upadków, których jedynym efektem było wykrwawienie się narodu, utrzymanie się feudalizmu i absolutyzmu, marazm i stagnacja. Charakter rządów w przeciągu tego okresu wciąż ulegał zmianie, będąc na przemian rewolucyjnym i kontrrewolucyjnym. Na początku lat 30 bieżącego stulecia Hiszpania była jednym z najbardziej zacofanych krajów Europy, krajem o anachronicznej strukturze gospodarczej i społecznej, w utrzymaniu której ogromną rolę odgrywał Kościół i armia. Nic zatem dziwnego, że nie można było liczyć na dokonanie się jakichkolwiek zmian politycznych i społecznych, póki te dwa filary dysponowały prawie pełnią władzy, a ogólny poziom świadomości społecznej był niezwykle niski.

„Pokój śmierci", jak nazwał filozof hiszpański **Jose Ortega y Gasset** ów okres stagnacji i marazmu, utrzymywany w interesie pełnej wszechwładzy klas posiadających, został jednak w końcu XIX wieku dotknięty wstrząsem katastrofalnej klęski Hiszpanii w wojnie ze Stanami Zjednoczonymi. Klęska 1898 roku stała się zarazem kompromitacją monarchii i armii w oczach społeczeństwa hiszpańskiego, spowodowała dyskwalifikację istniejącego systemu wartości, w rezultacie zaś — zradykalizowała nastroje społeczne. Dlatego często przy omawianiu tego okresu historii Hiszpanii w odniesieniu do powstałego wówczas potężnego ruchu intelektualnej odnowy, używa się określenia **„pokolenie 98"**. Ludzie je reprezentujący (m. in. **Ortega y Gasset, Miguel Unamuno, Angel Ganivet, Joaquin Costa i inni)** wysuwają hasła stworzenia nowego narodu, który ostatecznie przezwycięży fatalistyczną tradycję i wprowadzi Hiszpanię na nowe tory rozwoju społecznego i gospodarczego, przybliżając ją do Europy.

Wraz z ewolucją tych dążeń **„pokolenia 98"** dokonuje się coraz wyraźniejsza radykalizacja społeczeństwa, zwłaszcza wśród klas wyzyskiwanych. Coraz liczniejsze stają się wystąpienia robotników i chłopów w obronie swych praw. Zasięgiem swym ogarniają z upływem czasu coraz szersze kręgi społeczeństwa, tym bardziej iż wystąpienia te potęgowane są jeszcze skutkami I wojny światowej oraz reperkusjami powojennej recesji ekonomicznej, mającej tak fatalne następstwa dla Hiszpanii. W rezultacie głębokiego wewnętrznego kryzysu władzy dochodzi w 1931 roku do obalenia monarchii i utworzenia rządu republikańskiego.

Powstanie republiki nie rozwiązało jednak zasadniczych problemów społecznych i gospodarczych kraju. Brak jedności w obozie rządzącej państwem umiarkowanej lewicy oraz przybierający na sile jej konflikt z prawicą, osłabiał pozycję władz republikańskich, uniemożliwiając im przeprowadzenie zasadniczych reform socjalno-ekonomicznych. Sytuację pogarszały skutki ogólnoświatowego kryzysu gospodarczego, które szczególnie dotkliwie ugodziły w zacofaną ekonomicznie Hiszpanię. Rezultatem był wzrost powszechnego niezadowolenia, umiejętnie podsycanego przez klasy posiadające, Kościół i armię, obawiających się o swoją dotychczasową, dominującą pozycję w państwie. Mimo to wybory do Kortezów (parlamentu hiszpańskiego), w lutym 1936 roku, przynoszą zwycięstwo partiom Frontu Ludowego. Teraz republikański rząd mógł wreszcie wstąpić na drogę reform, których realizacja miała wyprowadzić kraj z wielowiekowego zacofania. Tak się jednak nie stało. Prawica była zdecydowana za wszelką cenę bronić swych pozycji. **18 lipca 1936 roku** wybuchł pucz wojskowy, początkowo w Hiszpańskim Maroku i na Wyspach Kanaryjskich, rychło jednak ogarnął swym zasięgiem wiele garnizonów metropolii. Tak rozpoczęła się krwawa, trwająca blisko trzy lata, wojna domowa między siłami Republiki Hiszpańskiej a rebeliantami, których wodzem był gen. Franco.

Kim właściwie był ów generał, który 1 października 1936 roku, w Burgos, głównej kwaterze rebelii, ogłosił się „caudillem Hiszpanii"?

FRANCISCO FRANCO BAHAMONDE urodził się w 1892 roku w El Ferrol jako syn wyższego oficera armii hiszpańskiej. Młody Francisco był z natury bojaźliwy i odczuwał zawsze uczucie pewnej niższości wobec swoich braci, Nicolasa i Ramona. (Ten ostatni był słynnym lotnikiem, który jako pierwszy przeleciał nad południowym Atlantykiem). Wygląd też miał raczej niepozorny (1.64 m wzrostu), co tylko potęgowało jego kompleks niższości. Podczas gdy Nicolasowi udało się dostać do marynarki, młodego Francisco posłano do akademii piechoty w Toledo.

W wieku 18 lat zostaje podporucznikiem. W 1951 roku, w walkach przeciwko zbuntowanym plemionom marokańskich Rifenów, Franco, już jako kapitan, zyskuje pierwszą sławę bojową. Na początku lat 20 powierzono mu dowództwo całości oddziału walczącej tam hiszpańskiej Legii Cudzoziemskiej. Później jego biografowie pisali, iż walki w Maroku były dlań cenną szkołą manewrowania politycznego. Tam nauczył się wygrywać jednych przeciw drugim, nauczył się praktycznego zastosowania zasady „divide et impera", którą tak skutecznie posługiwał się w swej późniejszej działalności, już jako wódz i szef państwa. Osobista odwaga i wykazana w Maroku zręczność manewrowania poważnie wpłynęły na przyśpieszenie jego kariery wojskowej. Kolejno staje się najmłodszym majorem, pułkownikiem, a w wieku 34 lat najmłodszym generałem armii hiszpańskiej.

Bezwzględność Franco demonstrowana niejednokrotnie, jak choćby podczas tłumienia powstania górników w Asturii, gdzie nakazał rozstrzelać około 2.000 ludzi, zyskiwała mu popularność „twardego człowieka" wśród szerokich kręgów prawicy. Był więc człowiekiem, na którego mogła liczyć w godzinie próby. W 1935 roku Franco, już wówczas generał dywizji, otrzymał nominację na szefa sztabu armii.

Rząd republikański, wyłoniony w wyniku zwycięstwa wyborczego Frontu Ludowego w 1936 roku, pozbawił go tego stanowiska i mianował tylko wojskowym gubernatorem Wysp Kanaryjskich. Wówczas Franco włącza się czynnie do działalności spiskowej wśród wyższych dowódców armii. Ujawnia przy tym całą swą zręczność polityczną, umiejętność wyczekiwania na odpowiedni moment, eliminując kolejno swych potencjalnych rywali, by stanąć w chwili wybuchu rebelii na jej czele. W tym ostatnim pomógł mu także przypadek, bowiem przewidywany na dowódcę powstania przeciw republice gen. Jose Sanjurjo poniósł śmierć w katastrofie lotniczej, gdy leciał do Burgos, aby objąć swą funkcję. Franco zajął wówczas jego miejsce, wkrótce zaś okazało się, że został sam na placu, bowiem jego główni konkurenci: generałowie Goded i Mola zginęli jeszcze w pierwszej fazie rabelii. Zginął również przywódca Falangi, twórca faszyzmu hiszpańskiego, **Jose Antonio Primo de Rivera**, czczony później przez reżim jako **„El Fondador"**.

Zazwyczaj przewrót wojskowy z 1936 roku określany jest przez historyków mianem faszystowskiego. Odnosi się więc wrażenie, jakoby spisek wyrosły na gruncie ideologii faszystowskiej był dziełem samych faszystów, którzy zdobyli władzę drogą zamachu stanu. Można by sądzić, iż **Falanga** (powstała zresztą dopiero w 1934 roku z połączenia dwóch partii faszystowskich naśladujących wzory włoskie i niemieckie) zdominowała swoją ideologią trzon armii, aby posłużyć się nią następnie jako narzędziem do realizacji zasadniczego celu — przejęcia przez partię władzy w państwie. Tytuł **„El Caudillo"** (wódz), jaki Franco przyjął tuż po wybuchu rebelii, mógł przy tym sugerować, że występuje on również w charakterze wodza partii faszystowskiej w imieniu i interesie której działa.

Tymczasem rzeczywistość była zupełnie inna. Franco bowiem w momencie przygotowywania przewrotu nie miał nic wspólnego z **„Falange Espanola"**, której polityczne credo, oparte notabene na słynnych „25 punktach" (program NSDAP), wyrażało zdecydowane przekonanie, iż rewolucji może dokonać tylko partia faszystowska i jej wódz (oczywiście Primo de Rivera).

Dlaczego zatem w okresie wojny domowej i później posłużono się jej programem? Odpowiedzi na to pytanie udzielił długoletni minister spraw zagranicznych Hiszpanii, rzecznik współpracy z państwami Osi i szwagier gen. Franco — **Ramon Serrano Suner**. W swej książce o polityce hiszpańskiej („Entre les Pyrenees et Gibraltar") Suner stwierdził, iż w porównaniu z programem tradycjonalizmu karlistowskiego, program Falangi po prostu **„lepiej odpowiadał koncepcji proletariackiej, socjalnej, jednym słowem rewolucyjnej, która mogła dopomóc narodowej Hiszpanii do wchłonięcia pod względem ideologicznym Hiszpanii czerwonej. Na tym polegała w rzeczywistości nasza naczelna ambicja, nasz podstawowy obowiązek. Socjalizm postawił wszędzie problem tak realny, że nie dawało się go ominąć i trzeba go było rozwiązać za wszelką cenę".**

Foto: Archiwum

Dlatego właśnie rola Falangi, po zwycięstwie Franco, była zupełnie inna niż pozycja podobnych partii we Włoszech, Niemczech czy Portugalii. Generał, który zdobył władzę w wyniku zamachu stanu, nie miał zamiaru po zwycięstwie dzielić się nią, a tym bardziej przekazać jej przywódcy partii faszystowskiej. Sam mianował się „wodzem" wykorzystując partię i jej ideologię jedynie jako narzędzie w ugruntowywaniu swej władzy państwowej. Śmierć w początkowej fazie wojny domowej przywódcy Falangi i jej głównych ideologów: Ibessimo Redondo oraz Ledesmy Ramosa ułatwiła dodatkowo zadanie Franco w uchwyceniu ścisłej kontroli nad pozbawioną przywództwa partią. Jego własna pozycja była odtąd przez niego nie zagrożona. Teraz był faktycznym „wodzem".

KARIERA MADAME CIANG CING

Lu An jest niezwykłą postacią w chińskim życiu politycznym. Ta starsza, 60-letnia kobieta o dobrotliwym uśmiechu, skupia w swym ręku ogromną władzę i ma wielkie wpływy w kierownictwie Komunistycznej Partii Chin. Nic dziwnego jeżeli się doda, że jest to ostatnia żona Mao Tse-tunga, słynna Ciang Cing, bo tak obecnie ją nazywa. Od IX Zjazdu KPCh w 1969 r. jest członkiem Biura Politycznego KC KPCh.

1.

Od dziecka pociągał ją wielki świat a nade wszystko kariera artystyczna. Aczkolwiek jej oficjalna biografia ani słowem o tym nie wspomina, to jednak faktem jest, jak pisała o tym „Literaturnaja Gazieta", że kiedy miała 15 lat została porwana przez handlarzy żywym towarem. Sprzedano ją do trupy teatralnej, która była jednocześnie domem publicznym. W tym czasie uwagę jej zwraca młody, inteligentny o nienagannych manierach bywalec tej niezwykłej „świątyni sztuki" Kank Szeng. Kilkanaście lat później odegra on ważną rolę w życiu Ciang Cing — pomoże jej zdobyć pierwsze znajomości w kręgach związanych z kierownictwem KPCh.

Mniej więcej po upływie dwóch lat rodzina wykupuje dziewczynę. Ciang Cing odzyskuje wolność, rozpoczyna naukę w szkole teatralnej w Tsiananie, gdzie daje się poznać jako ambitna lecz mierna i pozbawiona talentu słuchaczka. W 18 roku życia wychodzi po raz pierwszy za mąż za artystę o nazwisku Pej. Jej pierwsze oficjalne małżeństwo nie trwało długo. Po upływie kilku miesięcy rzuciła męża, uczelnię i pojechała do Tsindao, gdzie podjęła pracę jako bibliotekarka na uniwersytecie. Rektorem uniwersytetu był Czao Tej-mu, który przedtem kierował uczelnią teatralną w Tsiananie.

Ciang Cing bywała częstym gościem w domu Czao Tej-muna. Tam zawarła bliższą znajomość z bratem gospodyni, młodym człowiekiem imieniem Huang Cing, który był zaręczony. Wybuchł skandal i Ciang Cing zmuszona była na żądanie narzeczonej wyjechać z Tsindao do Szanghaju. Dokładnie 33 lata później Ciang Cing zemściła się okrutnie. Dawna rywalka, która w 1966 r. była naczelnym redaktorem gazety „Pejcing zypao", została w okresie „rewolucji kulturalnej" znieważona przez hunwejbinów, zaliczona do „czarnej bandy" rewizjonistów i wygnana z Pekinu.

2.

Z obszernego życiorysu Ciang Cing opublikowanego na łamach „Literaturnej Gaziety" dowiadujemy się, że w Szanghaju pojawia się pod pseudonimem Lan Ping. Postanawia za wszelką cenę zrobić karierę artystyczną. Celowi temu ma służyć nowe małżeństwo (warto zwrócić uwagę na fakt, że z pierwszym mężem nie posiadała rozwodu) z dość znanym szanghajskim reżyserem, scenarzystą i aktorem w jednej osobie Tang Na. Dzięki jego interwencji otrzymuje maleńkie role w studio „Linhua", subsydiowanym przez rząd kuomintangowski. W latach 1936—1937 zagrała w trzech filmach, z których tylko jeden „Wang Piąty" był filmem fabularnym. Ten niezbyt udany film według recenzentów był jedynym i największym sukcesem artystycznym Ciang Cing. Ambitna, żądna władzy aktorka nie znajduje uznania w świecie filmu.

Postanawia raz jeszcze próbować szczęścia, tym razem w Jenanie — kolebce rewolucji chińskiej, gdzie przyjeżdża w końcu 1938 roku. Tam właśnie spotyka przyjaciela z dawnych lat Kang Szenga, którego poznała na początku swojej kariery w „teatralnej trupie". Kang Szeng jest niezwykle cenny, posiada znajomości i przyjaciół w kręgach partyjnych. Dzięki jego protekcji Ciang Cing dostaje się do Akademii Sztuki im. Lu Sina, gdzie pragnie uzupełnić swoje skromne wykształcenie. Ambicje Ciang Cing są coraz większe. Postanawia przyśpieszyć swoją karierę artystyczną przy pomocy partii. Prawdopodobnie na początku 1940 r. zostaje członkiem Komunistycznej Partii Chin. Rzecz oczywista dzięki rekomendacji Kang Szenga i jego przyjaciół. W końcu 1940 r. wychodzi po raz trzeci za mąż za prorektora Akademii, Siu I-sina. Doskonale zdaje sobie sprawę, że dopiero teraz ma życiową szansę dla realizacji swoich ambitnych planów, tym bardziej że jednym z wykładowców w Akademii Sztuki jest Mao Tse-tung.

Ma Ding-ling, autor wspomnianego już życiorysu madame Ciang Cing opublikowanego w „Literaturnej Gazietie" na podstawie licznych i wiarygodnych dokumentów, które ostatnio udało się zdobyć, stwierdza, że ta niezwykle sprytna i bezkompromisowa kobieta wykorzystała wszelkie możliwe sposoby, aby zwrócić na siebie uwagę przywódcy KPCh. Cel ten w pełni osiągnęła. Już za kilka tygodni plotka w Jenanie głosi, że artystka jest kochanką Mao Tse-tunga. Romans ten stał się przedmiotem specjalnego dochodzenia partyjnego ponieważ Mao Tse-tung był żonaty.

Według szwajcarskiego tygodnika „Die Weltwoche", jeden z wygnanych przez Mao Chińczyków, który dobrze znał Ciang Cing z okresu kiedy mieszkała w Jenanie powiedział przedstawicielom gazety:

„Lang Ping owładnięta była niesłychaną wprost chęcią imponowania. Pragnęła bezwzględnie zwracać na siebie uwagę... We wrześniu 1945 roku pojawiła się pewnego dnia nie zaproszona w sali konferencyjnej w trakcie posiedzenia kierownictwa partii. Zademonstrowała wysokiemu gremium swoją zdeformowaną figurę i oświadczyła: Przyszłam, by zakomunikować wam radosną wiadomość. Przewodniczący i ja postanowiliśmy wspólnie dzielić przyszłość i mieć dużo dzieci. Mao poczerwieniał z zakłopotania..."

W połowie września 1945 r. w kuomintangowskiej stolicy Chin odbyło się wspaniałe wesele; Mao Tse-tung nie mając rozwodu z poprzednią małżonką zawarł nowy związek małżeński z Ciang Cing. Madame Czang Kaj-szejk podarowała „pannie młodej", która była o 20 lat młodsza od swego czwartego męża, drogocenny pierścień z pięciokaratowym brylantem.

Mao Tse-tung zwraca się z prośbą do KC KPCh o uznanie nowego małżeństwa. Zgodę taką uzyskuje pod warunkiem, że Ciang Cing nie będzie oficjalnie występować jako jego małżonka, jak również nie będzie w przyszłości zajmowała żadnych stanowisk partyjnych ani nie będzie też uczestniczyć w życiu politycznym Chin...

3.

Dwadzieścia lat czekała cierpliwie i potulnie Ciang Cing na sprzyjającą okazję. Dorwawszy się do władzy na początku „rewolucji kulturalnej" rozprawiła się z niewygodną dla niej elitą intelektualną, działaczami kultury i nauki. Dziś wydaje rozkazy ministrom i dowódcom wojskowym w Chinach. Nie zapomniała jednak o swoich przyjaciołach, np. Kang Szeng został doradcą „grupy do spraw rewolucji kulturalnej" i otrzymał następnie wysokie stanowisko państwowe.

Żądając „odrąbania psich głów" większości członków KC KPCh, Ciang Cing mściła się między innymi na tych wszystkich, którzy występowali w 1945 r. przeciwko jej małżeństwu z Mao Tse-tungiem i nie dopuszczali jej do władzy w późniejszym okresie.

Dziś Ciang Cing nie tylko jest odpowiedzialna za rozrywkę ale i również za polityczne oddziaływanie na masy chińskie. Skontrolowała ponad 1000 sztuk teatralnych pod względem ich treści ideologicznych. Ostatecznie zaakceptowała tylko siedem tak zwanych „modeli teatru rewolucyjnego", które od 1966 r. nieprzerwanie nie schodzą z afiszy. Ich tematyka dotyczy głównie militarnego przygotowania społeczeństwa chińskiego do ewentualnej wojny.

Prasa szwajcarska podała, że Ciang Cing nie mieszka obecnie z Mao Tse-tungiem w jego tajnej rezydencji pod Pekinem. Podobno odwiedza męża raz w tygodniu i odbiera od niego instrukcje. Stara się, aby władza stopniowo przechodziła w ręce ludzi, którzy będą kontynuowali linię polityczną Mao Tse-tunga.

Oprac:. A R.

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

U PRZYJACIÓŁ

Przed kilku dniami w Belgradzie obradował VIII Kongres Związku Literatów Jugosławii, w którym uczestniczyło około 200 pisarzy. Najbardziej interesującym tematem, dyskutowanym na zjeździe była pozycja pisarza w społeczeństwie.

Na kongresie uchwalono nowy statut związku. Stwierdza on, że związek jest organizacją społeczną, której założenia programowe opierają się na programie Socjalistycznego Związku Ludu Pracującego Jugosławii, do którego ZLJ należy jako organizacja społeczna.

* ✦ *

Jednym z tegorocznych laureatów Nagród Państwowych ZSRR jest Aleksandra Pachmutowa, autorka ponad 100 pieśni, cieszących się wielką popularnością wśród melomanów różnych pokoleń. To zaszczytne wyróżnienie uzyskała kompozytorka za utwory pochodzące z lat 1972—1974.

* ✦ *

W wieku 78 lat zmarła badaczka literatury — Nina Czernyszewska, wnuczka wielkiego rosyjskiego rewolucjonisty — demokraty i pisarza, Mikołaja Czernyszewskiego. Najważniejszym jej dziełem jest „Kronika życia i działalności M. G. Czernyszewskiego", tworzona przez dziesiątki lat. N. Czernyszewska wchodziła również w skład zespołu naukowego, przygotowującego pełne krytyczne wydanie prac jej dziadka. Od 1941 roku N. Czernyszewska była dyrektorem domu — muzeum wielkiego pisarza w Saratowie. Pod jej kierownictwem placówka ta stała się znana nie tylko w ZSRR, ale i za granicami kraju.

* ✦ *

Pierwsze milionowe miasto na Syberii, to Nowosybirsk — wielkie centrum naukowe i kulturalne. Znajduje się tu, sławny już w całym Związku Radzieckim, Teatr Opery i Baletu. Żeby się doń dostać, trzeba czekać na bilet około trzech miesięcy. Teatr dysponuje dwoma tysiącami miejsc i wypełniony jest każdego wieczoru po brzegi. Przybywają tu widzowie z odległych o setki kilometrów osiedli w tajdze, z Krasnojarska i Irkucka. Aby wyjść widzom naprzeciw, teatr organizuje wyjazdy zespołu do syberyjskich ośrodków urbanistycznych i na wielkie budowy.

* ✦ *

Krystyna Szostak-Radkowa, mezzosopranistka Teatru Wielkiego w Warszawie, odniosła wielki sukces w głównej roli „Diabłów z Loudun" Krzysztofa Pendereckiego, wystawionych ostatnio przez berlińską Staatsoper.

* ✦ *

Tematem nowej opery, której prapremiera odbędzie się w Praskim Teatrze Narodowym na wiosnę przyszłego roku, jest zatonięcie „Titanica". Podstawą libretta napisanego w języku czeskim przez Jirziego Schwarza, jest znana powieść faktu pióra Josefa Pelza von Felinau, a muzykę skomponował prof. Rudolf Macudziński.

* ✦ *

Przed kilku dniami otwarto w berlińskiej Galerii Narodowej wystawę, prezentującą dorobek niemieckich artystek — plastyczek na przestrzeni ostatnich dwustu lat. Na ekspozycję składa się 170 prac malarskich, graficznych i rzeźbiarskich. Wystawa jest wkładem muzeów NRD w obchody Międzynarodowego Roku Kobiet. Znajdują się na niej dzieła od XVIII-wiecznych prac Angeliki Kaufmann i Anny Dorothei Therbusch, do prac plastyczek z Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

* ✦ *

W ub. miesiącu otwarto w Budapeszcie Galerię Narodową, która znalazła wspaniałe pomieszczenie w pałacu na Wzgórzu Zamkowym. W nowej siedzibie galerii czynne są cztery wystawy. Na wystawie „Stara sztuka węgierska" podziwiać można eksponaty po raz pierwszy pokazane szerokiej publiczności lub udostępniane bardzo rzadko. Na drugiej pokazano rzeźby, prace malarskie, grafikę oraz zbiory numizmatyczne. W trzeciej — przedstawiono prace współczesnych plastyków węgierskich. Czwarta ekspozycja prezentuje najcenniejsze dzieła szkoły malarskiej z Szolnok.

Po długotrwałej wojnie, bohaterskiej i pełnej niesłychanych ofiar, naród wietnamski wywalczył wolność i niezawisłość. Dziś mieszkańcy obu części kraju — Północy i Południa — nie szczędzą sił odbudowując zniszczoną gospodarkę.

O pokojowej odbudowie kraju pisze znany francuski pisarz Vercors (Jean Bruller), który wraz z delegacją francuską przebywał w Demokratycznej Republice Wietnamu z okazji 30 rocznicy proklamowania DRW. Oto fragmenty jego reportażu.

WIETNAM

KARTKI Z PODRÓŻY DO HANOI I SAJGONU

„Piszę w tym reportażu tylko o tym, co widziałem i co słyszałem, nie pretendując do wyciągania daleko idących wniosków. Poza tym poświęcę nieco więcej uwagi Sajgonowi niż Hanoi, chociaż w Hanoi spędziłem więcej czasu, rzecz jednak w tym, że o życiu w Sajgonie niewiele jeszcze wiadomo.

Centrum Hanoi — co było dla mnie przyjemnym zaskoczeniem — prawie wcale nie nosi śladów ciężkich bombardowań czasów wojny. Ulice, wytyczone jeszcze przez Francuzów, szerokie i obsadzone drzewami są przepiękne. Wszędzie panuje ożywienie. Na wielkim, krytym rynku, przesiąkniętym zapachem korzennych przypraw, mnóstwo towarów, zatrzęsienie warzyw i owoców, które sprzedają sędziwe wieśniaczki.

Wieśniaczki... Któregoś dnia wstawszy o świcie, żeby się trochę powałęsać, spotkałem idące do miasta wieśniaczki. Szły dźwigając na barkach nosidła obciążone z obu stron dużymi koszami. Wiem z własnego doświadczenia: kiedyś, było to jeszcze w Chinach, spróbowałem unieść takie kosze; kosztowało mnie to wiele wysiłku, żeby je ruszyć z miejsca. A kobiety swobodnie niosą je z pół do miasta.

Rowerzyści. Nigdzie i nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Ani w Pekinie, ani w Amsterdamie. Tłum rowerzystów zajmuje całą szerokość ulicy. W absolutnym nieładzie. W cudownym nastroju. Każdy jedzie, jak mu się żywnie podoba, nie zważając na samochody (jest tu ich niewiele), skręcając wedle własnego uznania to na prawo, to na lewo, bez względu na sygnały. Ta niesłychana krzątanina ani trochę nie przeraża dzieci usadzonych po dwoje, a nawet po troje za plecami swoich mam i tatusiów. Uśmechają się tutaj wszyscy, ludzie zachowują się zdumiewająco naturalnie. Przyjemnie na nich patrzeć, choć ubrani są biednie. Tak, jeszcze biednie, ale jest to bieda nie mająca nic wspólnego z nędzą. Jak skromne słomiane chaty nie mają nic wspólnego z norami w dzielnicach nędzy. Jest to dostojna bieda, z uśmiechem znosząca niedostatek.

Przypominam sobie ruiny Hanoweru, upiornego Berlina ze ślepymi oczodołami ocalałych fasad... Podobne, ale jeszcze potworniejsze zniszczenie widzieliśmy później, z samolotu, przelatując nad rejonami Da Nang, Hue, Kuangczi. Ale odnosi się wrażenie, że Hanoi cudem uniknęło ruin. Jego nietknięte piękno tai w sobie zagadkowy urok.

Szczególne ożywienie panowało w mieście podczas potężnej demonstracji. Ruch autobusowy został sparaliżowany. W zamian darzono nas serdecznymi uśmiechami. Najbardziej szczęśliwe były dzieci. Każdy nasz gest powitania pobudzał je do burzliwej akcji.

Jest to pierwsza demonstracja od dnia zwycięstwa. A nawet w ogóle pierwsza. Opowiadają nam ze śmiechem, jak trudno było nauczyć żołnierzy maszerowania; w walkach nie równano do prawego. Trzeba było całych tygodni ćwiczeń, jeśli nie miesięcy.

Poruszenie narasta, kiedy przechodzą bataliony kobiet — żołnierzy. A osiąga szczyt — kiedy idą weterani, starzy wieśniacy z białymi brodami, które upodabniają ich do Ho Chi Minha. Ich wiek jest świadectwem prawdziwie narodowego charakteru minionej wojny...

Bardzo niedawno bohatersko walczyli i doświadczali bombardowań, jakich nie zna cała historia ludzkości: w ciągu kilku tygodni zrzucono na ich ziemię trzy razy więcej bomb niż na całą Europę w okresie II wojny światowej.

— — — — — — — —

Sajgon. To była niespodzianka, przygotowana dla francuskiej delegacji, nie było go w naszym programie podróży. Wylecieliśmy starym zdobycznym samolotem. Leciał nisko i wolno, nie odrywaliśmy oczu od iluminatorów. Widzieliśmy wielkie rany zadane temu krajowi. W strefie 17 równoleżnika są one potworne. Powierzchnia ziemi przypomina krajobraz księżycowy, kratery są tak blisko siebie, że wyrzucone pokłady gruntu — ciemne, jasne, żółtawe — leżą jedne na drugich. Tylko gdzieniegdzie skrawki ocalałej ziemi. Wstrząsający widok.

Ale oto jesteśmy już w Sajgonie. Jego wygląd mówi sam za siebie. Nie ma już słomianych chatek przycupniętych nad brzegami rzeczek i jezior tonących w bujnej zieleni. Na nagiej ziemi rozrzucone nędzne lepianki kryte dyktą lub papą. To już nie bieda, to już nędza. Centralne ulice, jeśli nawet i przyciągają uwagę, to tylko dzięki starym drzewom kryjącym zabudowania. Pozostałe jednak są ustawione jak pod sznurek, a większość gmachów miejskich wydała mi się szara, bezkształtna, pozbawiona jakiegokolwiek stylu. Jest to prawdziwie kolonialne miasto.

Na ulicach ruch. Podobnie jak w Hanoi, mnóstwo rowerzystów. Bardzo mało samochodów — trudności z benzyną. Za to dużo młodzieży na motocyklach. Spotyka się małe ciężarówki na trzech kołach, mieszczące sześć osób, ale najczęściej tłoczy się w nich, jak śledzie w beczce, po ośmiu, a nawet po dziesięciu pasażerów. Są także autobusy taksówki, ale bardzo nieliczne.

Wiele sklepów jest zamkniętych. Należy przypuszczać, że ich właściciele uciekli; zamknięte są bary i kafejki, w których kwitły — spekulacja, narkomania i prostytucja. Czynne są natomiast zakłady fotograficzne, sklepiki z kwiatami i sklepy jubilerskie. Naprzeciwko hotelu „Continental" mnóstwo kramików z książkami, na kontuarach zarzęsienie książek w języku francuskim. Na głównej ulicy — Katina, obecnie — Wolności, otwarto kilka, tradycyjnie francuskich, małych barów — winiarni chętnie uczęszczanych. Dużo młodzieży w dżinsach, rozszerzonych spodniach i skórzanych kurtkach, wszyscy zachowują się swobodnie. Większość kobiet nosi barwne, tradycyjne tuniki rozcięte po bokach. Na ulicach mało żołnierzy. Policji znacznie mniej niż w Paryżu. Bardzo dużo bawiących się dzieci.

— — — — — — — —

Szybki rozpad armii reżimu Thieu pozwolił wojskom wyzwoleńczym zająć Sajgon bez jednego wystrzału, bez zniszczeń i przelewu krwi. W mieście transport funkcjonował bez przerwy. Poczta nie pracowała zaledwie jeden dzień. Radio i telewizja — jedną godzinę. Zgodnie z rozkazami, żeby uniknąć podejrzeń, oficjalne informacje nadawano do ostatniej minuty, później oficer armii wyzwoleńczej, odpowiedzialny za całą operację, wyjął z kieszeni zaświadczenie Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego, zebrał pracowników i wydał im odpowiednie polecenia. Tak więc przekaz dalszych informacji spływał normalnie, tyle tylko, że innym strumieniem...

Nie było prawie wypadków sabotażu. Ludność, nękana grabieżami, które wybuchły po odejściu Amerykanów, blisko współpracowała z armią wyzwoleńczą. Zapewniono bezpieczeństwo w mieście. Mimo otwarcia więzień i ucieczki przestępców kryminalnych (mówi się, że bandytów uwolniono z rozkazu Thieu, żeby wywołać w mieście zamęt i rzeź), większość z nich udało się zatrzymać i znów umieścić za kratkami.

Stary reżim pozostawił w spuściźnie szereg problemów trudnych do rozwiązania. Oto niektóre z nich: tylko w samym Sajgonie było 200 tysięcy prostytutek, 150 tysięcy narkomanów, 200 tysięcy policjantów. I wszystkich ich, jak się tutaj mówi, trzeba wychować w nowym duchu. Ponad 500 tysięcy żołnierzy rozgromionej armi, z którymi nie wiadomo, co robić. 300 tysięcy sierot. I mnóstwo chłopów, których przesiedlił Thieu. Liczby te trzeba znać, bo chodząc po mieście tego wszystkiego nie widać. Nie spotkałem wprawdzie żebraków, z wyjątkiem chłopca, który nazwał mnie „tatą" i któremu nie miałem co dać, i młodej dziewczyny, która ciągnęła mnie za rękaw, mrucząc po francusku: „Co słychać? Dokąd idziesz?" Ale nie natrętnie.

Wszyscy ci ludzie żyli na rachunek Amerykanów. A jak ich nakarmić teraz, gdy Amerykanie odeszli? Miasto liczyło około miliona mieszkańców. Teraz jest ich trzykrotnie więcej. Na szczęście zostało kilka składów z ryżem, który rozdziela się bezpłatnie. Czy na długo go starczy? Pierwsze zbiory ryżu odbędą się dopiero za pół roku. Odpowiedź jest prosta: Południu pomoże Północ.

Mówiono nam:

— Nie było ani represji, ani kar. I nie będzie. Wyjątek stanowią wielcy przestępcy wojenni i uczestnicy antyrewolucyjnych spisków, jeśli by takie miały miejsce. Chodzi tu nie tylko o miłosierdzie. Jest to jedyne rozumne rozwiązanie. Można by nawet powiedzieć, że jest to nasz kredyt. Po 30 latach wojny każda rodzina ma żołnierzy z obu obozów. Zabijać lub wsadzać do więzienia każdego, kto popełnił błąd oznaczałoby jednocześnie usunąć grunt spod nóg jej siedmiu lub ośmiu krewnym. A z nich składają się miliony.

— — — — — — — —

Plany — ekonomiczne, przemysłowe, gospodarki rolnej — opracowuje się już w skali całego kraju. Jednakże przeobrażenia wymagają czasu i nie można bagatelizować ani jednego szczebelka w ich urzeczywistnieniu. Wiele lat życia w różnych ustrojach społecznych zrodziło bardzo głębokie różnice we wszystkim, także w świadomości ludzkiej. Nie można liczyć na przezwyciężenie tych kontrowersji jednym ruchem czarodziejskiej pałeczki. Antykomunistyczną propagandę prowadzono w fantastycznej skali. Wykorzenić przesądy, wzajemne niezrozumienie i nienawiść to niełatwe zadanie. Wietnam jeszcze przez wiele lat będzie odczuwał ostrą potrzebę pomocy z zewnątrz. Nie oczekuje on od Francji więcej niż może ona ofiarować (kogo by nie spytać, co teraz potrzebne jest krajowi, odpowiada: „Wszystko, a przede wszystkim książki! Książki!")

Przełożył:

JERZY CZECH

■ SYJONIZM – FORMĄ RASIZMU
■ WIETNAM –JESZCZE BLIŻSZY
■ ANGOLA NIEPODLEGŁYM PAŃSTWEM

Wydarzenia, jak na taśmie filmowej, przesuwają się szybko. Komentator może nawiązać tylko do niektórych, świadom, że jego wybór jest subiektywny. Skoncentrujmy więc uwagę Czytelników tylko na tych, które wydają się nam szczególnie godne odnotowania.

Nie przestrzegając hierarchii wydarzeń, zacznijmy **od rezolucji XXX sesji Zgromadzenia Ogólnego, która większością głosów ustaliła, że syjonizm jest „formą rasizmu i rasowej dyskryminacji".** W niektórych kołach Zachodu próbuje się przedstawić tę rezolucję jako zaskakującą i sensacyjną. W istocie jest to potwierdzenie, iż również ta doktryna rasistowska wyrządza ogólnoświatową szkodę. Czymże bowiem innym jest nieustające wypędzanie Palestyńczyków z ich domostw, ponieważ są ludźmi „drugiej kategorii"? Syjonizm wyrasta z reakcyjnej ideologii burżuazji i nie ma nic wspólnego z interesami żydowskiego proletariatu. Dawała temu wielokrotnie wyraz Komunistyczna Partia Izraela, która opowiada się za pokojowym rozwiązaniem problemu bliskowschodniego i uznaniem słusznych praw narodu Palestyny. Jednakże koła rządzące Izraelem stoją na innym stanowisku. Wymowny przecież jest fakt, że w dniu uchwalenia omawianej rezolucji, główna ulica Jerozolimy demonstracyjnie przemianowana została na „drogę syjonizmu". W tym drobnym fakcie ujawnia się ideologia Tel-Awiwu z wszystkimi jej następstwami dla rozwiązania problemu bliskowschodniego.

„Zaaprobowana przez Narody Zjednoczone rezolucja — pisze agencja TASS — to prawidłowe i słuszne potępienie wojowniczej, syjonistycznej doktryny rasowej wyższości, ideologii, która znajduje swój konkretny wyraz w agresywnej, ekspansjonistycznej polityce izraelskich kół rządzących, w sprzęganiu się Tel-Awiwu na arenie międzynarodowej z najreakcyjniejszymi siłami imperializmu, w negowaniu i deptaniu słusznych praw arabskiego narodu Palestyny".

Zmieńmy teraz temat, aby **nawiązać do wizyty w Polsce oficjalnej delegacji partyjno-rządowej Demokratycznej Republiki Wietnamu z I sekretarzem KC Partii Pracujących Wietnamu — Le Duanem.** Opublikowane po wizycie wspólne oświadczenie pozwala szczegółowo zorientować się w tematyce rozmów warszawskich i wspólnych ustaleniach. **Z tego dokumentu wynika, że obie strony poinformowały się o przebiegu budownictwa socjalistycznego, ustaliły rozwinięcie wzajemnych braterskich kontaktów, które na polu gospodarczym sprowadzą się do współpracy w dziedzinie niektórych gałęzi przemysłu chemicznego, wydobycia węgla, przemysłu cukrowniczego i przetwórczego oraz niektórych dziedzin przemysłu włókienniczego i drzewnego. W trakcie rozmów podpisano m. in. porozumienie o głównych kierunkach współpracy gospodarczej i wymiany towarowej w latach 1976—1980 oraz protokół o wymianie towarowej w roku przyszłym.**

Wiele jednak miejsca w rozmowach obu stron zajęły problemy międzynarodowe. Stwierdzono, że europejskie kraje socjalistyczne osiągnęły duże sukcesy w umacnianiu pokoju i bezpieczeństwa, o czym świadczy końcowy akt konferencji w Helsinkach.

Wyrażono wspólne poparcie dla dążeń narodów Azji Południowo-Wschodniej w ich walce o pokój i niepodległość oraz prawdziwą neutralność, a także pokojowego i demokratycznego zjednoczenia Korei.

Zajęto zbieżne stanowisko na temat dróg rozwiązania problemu bliskowschodniego, a więc wycofania wojsk izraelskich z zagarniętych przemocą terytoriów arabskich, zagwarantowania podstawowych praw arabskiego narodu palestyńskiego oraz poszanowania praw wszystkich państw tego regionu.

Opowiedziano się za ostateczną likwidacją wszystkich pozostałości kolonializmu, wyrażono solidarność z wszystkimi postępowymi siłami Portugalii oraz walką narodu chilijskiego przeciwko reakcyjnej juncie wojskowej w Chile.

Wizyta oficjalnej delegacji DRW odświeżyła w naszej pamięci etapy walki bohaterskiego narodu wietnamskiego o prawo decydowania o swoim losie. Wiosna bieżącego roku — jak wszyscy pamiętamy — przyniosła finalne zwycięstwo temu narodowi i zapoczątkowała etap pokojowej odbudowy kraju. Jesteśmy pełni podziwu dla mrówczej pracy, zmierzającej do szybkiego zatarcia ran wojennych. **Wietnam,** odległy przecież geograficznie, **jest nam bliski uczuciowo i ideologicznie,** a wizyta przywódcy DRW naszym tradycyjnie dobrym stosunkom, dodała nowego impulsu.

I wydarzenie trzecie — **proklamowanie Angoli niepodległym państwem.** Przewodniczący MPLA — Agosthino Neto w swej proklamacji zapowiedział, że Ludowa Republika Angoli „przekształcać się będzie stopniowo w państwo demokracji ludowej, którego fundamentem jest sojusz robotniczo-chłopski".

Dzień 11 listopada — nie przyniósł jednak pokoju Angoli. Nadal trwają walki przeciwko oddziałom rozłamowym oraz siłom obcych wojsk interwencyjnych.

WITOLD SŁAWIŃSKI

LISTY

WSZYSCY WIEDZIELI, ALE NIKT SIĘ NIE SPODZIEWAŁ...

Przeczytałam artykuł w „Odgłosach", pióra Konrada Turowskiego pt. „Wszyscy wiedzieli, ale nikt się nie spodziewał". Mimo zmienionych nazwisk wiem o kogo chodzi, bo przecież tam mieszkam, w tej samej klatce, tylko na dole. Jest mi trochę przykro, że autor nie napisał prawdy o nas, sąsiadach. Przez prawie piętnaście lat ciągnie się ta sprawa. Piętnaście lat. Czy można sobie wyobrazić, ile to nocy nie przespanych przez ludzi pracy i tylko przez jedną jedyną rodzinę, która nie splamiła sobie rąk pracą dla dobra ogółu. Pisaliśmy dwa listy z podpisami lokatorów do milicji. Ten drugi list przyniósł tylko to, że tych nocy nie przespanych było mniej. Ale niewiele się zmieniło. Bo przecież obywatelowi wolno w swoim domu pić, bawić się i przyjmować kogo się chce. Czy komuś wolno się wtrącić do sąsiada, że źle się bawi, że źle wychowuje dzieci?

Jeszcze dzisiaj, wychodząc, bardzo często zamykam drzwi i czekam jak przejdzie paczka pijaków, od których nigdy nie wiem, czego się mogę spodziewać. Czy możecie sobie wyobrazić, ileż to razy musiałam zmywać porzygane okna i parapety, albo poplute, bo przecież to było normalne. Butelki od wina wyrzucało się za okno.

Piętnaście lat, przez jedną rodzinę, na którą rzekomo nie ma rady. Kiedy te dzieci były małe, ileż to razy jadły dzięki tylko sąsiadce mieszkającej niżej.

Wódka prowadzi do wszystkiego i właśnie do morderstwa. Ale dokąd tego najgorszego nie ma, to słyszy się często takie słowa: „Przecież jeszcze nikogo nie zamordowali". Często dzwoniłam w nocy, że banda pijaków zrobiła sobie poczekalnię w korytarzu i proszę o interwencję milicji. Najpierw pytali, kto dzwoni? A przecież wystarczyło tylko wyjść i zobaczyć. Milicja jest naprzeciwko. Odkładałam słuchawkę bez słowa. Co mogę jeszcze napisać? Tylko to, że żal mi tych dzieci. Ale sąsiedzi nie są temu winni, tylko matka, bo lepiej żeby jej nie było.

SĄSIADKA

SŁOWNIK PISARZY ŁODZKICH

W 44 numerze „Odgłosów", znajduje się nota biograficzna na mój temat, za co oczywiście redakcji bardzo dziękuję. Jednakże zaraz na początku noty wkradło się sformułowanie, którego w żadnym razie nie mogę przyjąć do wiadomości, a tym bardziej nie mogę się zgodzić, by je przyjęli Czytelnicy.

Autor noty, Konrad Frejdlich (którego pióro wysoko cenię) pisze: „Internowany (niby ja) przez Niemców w szpitalu uzyskał zwolnienie od pobytu w oflagu". Pragnę wyjaśnić, że po raz pierwszy uniknąłem oflagu ze względu na to, iż byłem ciężko ranny i wywieziono mnie ze szpitala na noszach. Po raz drugi kiedy zgłosiłem się do szpitala po otwarciu się ran, otrzymałem tylko przepustkę, ale też i nie wróciłem już z tej przepustki tj. po prostu uciekłem. Dlatego też uważam, że forma „uzyskał zwolnienie" jest w moim przypadku niewłaściwa.

Druga uwaga dotyczy „epizodu bełchatowskiego" jako rzekomo nieistotnego wtrętu w moją twórczość. Pragnę w tym miejscu wyjaśnić, że ten „epizod" rozrasta się w tej chwili w obszerny reportaż o Kopalni Węgla Brunatnego „Bełchatów".

I jeszcze jedna uwaga formalna. Takie wzmianki biograficzne dobrze jest uzgadniać z osobą, o której się pisze. Unika się wtedy nieporozumień.

APOLONIUSZ ZAWILSKI

JJ—75

46 numer ODGŁOSÓW z 13 listopada br. przynosi relację Krzysztofa Drzewieckiego z łódzkiej edycji festiwalu „Jazz Jamboree — 75". Nie wnikając w to, czy K. Drzewiecki zna się na muzyce, czy też nie — sam nie jestem muzykologiem i traktuję jazz jedynie jako hobby — przyjdzie mi się w kilku sprawach z nim nie zgodzić.

Przeczytajmy fragment jego artykułu:

„Wieczór trzeci. Pierwszą część koncertu wypełnił wrocławski big band, złożony — jak powiedziano — z absolwentów i studentów Wyższej Szkoły Muzycznej. Zespół (w tradycyjnie szerokim składzie) powstał niedawno, ale już poczyna sobie zupełnie nieźle: gra poprawnie i z werwą. Nieco gorzej wypadło jednak „małżeństwo" tego zespołu z duńskim wokalistą — Erlingiem Kronerem. Bodaj trzy utwory, śpiewane przez tego ostatniego, brzmiały niezbyt przekonywająco".

Każdy, kto był 29 października na koncercie w filharmonii a potem przeczytał relację w „Odgłosach" doszedł chyba do wniosku, że K. Drzewiecki zastosował w niej nienową, ale i chyba niepopłacającą metodę dziennikarską, polegającą, ogólnie rzecz ujmując, na recenzowaniu czegoś, czego się wcale nie widziało. Gdyby bowiem był on owego wieczoru w filharmonii, zobaczyłby na własne oczy, że Erling Kroner wcale nie jest wokalistą, lecz — puzonistą (!) i to wcale dobrym.

W takiej sytuacji ostatnie z wyżej zacytowanych przeze mnie zdań. K. Drzewieckiego podważa automatycznie wszystkie oceny zespołów i solistów zawarte w całym jego artykule. I tak np. dziwią mnie zastrzeżenia dotyczące „estetyki wyglądu członków tria SBB", gdyż łatwo było zauważyć, że muzycy ci nie wyróżniali się niczym szczególnym spośród wielu innych, którzy wystąpili w łódzkiej edycji „JJ—75". Dlaczego więc tylko ich wygląd podziałał na K. Drzewieckiego?

Nie mogę również zgodzić się z sumaryczną oceną trzech jazzowych wieczorów łódzkiej edycji „JJ—75". Z relacji K. Drzewieckiego można wynieść wrażenie, że była to impreza słaba, niezbyt dobrze przygotowana i że brakowało jej „swoistej atmosfery, jaka towarzyszy warszawskim koncertom". Rzeczywiście, wielu z anonsowanych wcześniej muzyków nie przyjechało do Łodzi, ale musimy wziąć pod uwagę, że wynikło to nie z winy bezpośredniego organizatora — Studenckiego Stowarzyszenia Jazzowego, gdyż niektórzy wykonawcy zagraniczni — o czym zresztą informował na pierwszym koncercie Andrzej Klossowicz — przybyli do Polski na krócej niż to poprzednio zapowiadali. Stąd przesunięcia w programie. Mimo to — jak sądzę, można uznać łódzką edycję „JJ—75" za pewien sukces Studenckiego Stowarzyszenia Jazzowego, które istnieje przecież dopiero od lutego br., a już pokusiło się o zorganizowanie tak dużej imprezy jazzowej, co nabiera szczególnego znaczenia przez fakt, że nie gościliśmy dotychczas w Łodzi tylu świetnych jazzmanów, i to naraz.

Nie możemy zapominać, czego zdaje się K. Drzewiecki nie wziął wcale pod uwagę, że Studenckie Stowarzyszenie Jazzowe nie ma ani jednego pracownika etatowego, a jego działaczami są jedynie studenci-amatorzy. A przecież istnieją u nas instytucje państwowe współtworzące tzw. przemysł rozrywkowy — nie wpadły one jednak na pomysł przeniesienia części warszawskiego festiwalu do Łodzi. Myślę, że po tych wyjaśnieniach spojrzymy nieco inaczej na trzy jazzowe wieczory w Łódzkiej Filharmonii.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

ROZMOWA

Z zastępcą dyrektora do spraw produkcyjno-handlowych Przedsiębiorstw Przemysłu Gastronomicznego w Łodzi — mrg WŁODZIMIERZEM MICHALSKIM rozmawia Bogda Madej

JEŚĆ W RESTAURACJI — PRZYJEMNOŚĆ CZY UDRĘKA?

— Z obserwacji pracy gastronomii rodzi się pytanie: co jest ważniejsze dla was, zbiorowe żywienie, obsługa turystów czy wesela i bankiety? Czy też może motorem działania gastronomii jest po prostu plan?

— Te wszystkie sprawy są z sobą ściśle związane. Tego nie da się rozgraniczyć. Podstawą działalności gastronomii jest żywienie ludzi, zaspokajanie potrzeb społeczeństwa. A więc dla tych, którym się śpieszy są bary szybkiej obsługi, dla innych są restauracje czy jadłodajnie, a jeszcze dla innych organizujemy wesela, imieniny. Żywimy też turystów, uczestników różnych zjazdów czy spotkań naukowych.

— To oczywiste, ale wydaje mi się — i chyba moje zdanie podziela wiele osób korzystających z usług gastronomii — że ta różnorodność form nie powinna być nawzajem sprzeczna. Tymczasem najczęściej cierpi na tym konsument indywidualny, który przychodzi do restauracji zjeść obiad i zastaje na drzwiach kartkę, że dziś restauracja nieczynna od godziny 15, bo wieczorem jest organizowane wesele. Albo wchodzi do restauracji i widzi pustą salę z napisem: „zarezerwowane dla wycieczki". Po kilku takich doświadczeniach ma prawo dojść do przekonania, że restauracjom wygodniej jest organizować wesela, obsługiwać wycieczki niż czekać aż komuś tam zechce się zjeść obiad firmowy.

— Nasze dyspozycje są wyraźne. Na pół godziny przed przybyciem wycieczki należy zamknąć salę, aby móc ją przygotować, nakryć stoły, sprzątnąć itp. W 20—30 minut po wyjściu wycieczki sala powinna być przygotowana do dalszej pracy. W przypadku imprez całonocnych czas na przygotowanie lokalu nie powinien być dłuższy niż 3 godziny.

— Czy jesteście absolutnie pewni, że kierownicy restauracji przestrzegają tych zaleceń?

— Nasze zalecenia realizują ludzie, a ludzie są różni. Nie mogę wykluczyć, że któryś z kierowników zamknie wcześniej lokal. Jednak w wypadku stwierdzenia tego przez naszą kontrolę nie będziemy wyrozumiali.

— Łódź nie dysponuje ciągle odpowiednią ilością miejsc w restauracjach, barach, kawiarniach.

— Tak, jesteśmy grubo poniżej średniej krajowej, jeśli chodzi o ilość miejsc przypadających na tysiąc mieszkańców. W godzinach szczególnie nasilonego ruchu daje się to wyraźnie odczuć.

— I sytuacja nie poprawia się mimo budowy nowych restauracji.

— W niewielkim tylko stopniu, gdyż z jednej strony przybywa nowych miejsc, a z drugiej — tracimy je w wyniku burzenia starych lokali.

— Jest to nieuchronne w mieście, które przechodzi proces modernizacji. Ale czy nie sądzi Pan, że struktura gastronomii w Łodzi jest — jakby to określić umownie — skrzywiona? Buduje się nowe wielkie lokale, a brakuje jadłodajni, małych lokali typu bistro. W rezultacie znów będzie preferowany konsument zbiorowy, a niejako na boku znajdą się potrzeby konsumenta indywidualnego?

— Budowa dużych lokali jest niezbędna. Jest to odpowiedź na potrzeby miasta. Poza tym dążymy do tego, aby pod względem ilości miejsc w lokalach gastronomicznych przypadających na tysiąc mieszkańców znaleźć się na poziomie średniej krajowej.

— A to łatwiej osiągnąć poprzez budowę dużych lokali gastronomicznych typu kombinaty.

— Nie tylko dlatego budujemy wielkie lokale. Po prostu są one potrzebne miastu. Ale dostrzegamy brak lokali małych, a w tym jadłodajni. Możemy pochwalić się tym, że posiadamy dwie typowo dietetyczne jadłodajnie, tylko że to jest mało w stosunku do potrzeb miasta. Planujemy wybudowanie dużej jadłodajni dietetycznej w rejonie ulicy Świerczewskiego — Czerwonej.

Brak jest lokali małych, gdzie można byłoby wpaść na herbatę, zjeść kilka kanapek, czy jedno ciepłe danie. Myślimy i o tym, ale rozbudowa gastronomii wiąże się z całym programem rozbudowy miasta. A to wymaga czasu.

— Skoro przez jakiś jeszcze czas musimy poprzestać na tym co mamy, to zajmijmy się przynajmniej stanem gastronomii. Chodzi mi głównie o restauracje, o styl ich pracy. Spożywanie obiadu powinno się odbywać w możliwie spokojnej i przyjemnej atmosferze, a niektóre łódzkie restauracje bardziej przypominają poczekalnie dworcowe niż lokale gastronomiczne. Dlaczego? Czyż nie można postarać się o wytworzenie tam przyjemnej, bardziej intymnej atmosfery?

— Odpowiedziałbym na to w taki sposób. Mamy właściwie w Łodzi wszystko to, czym powinna dysponować gastronomia. Mamy lokale specjalistyczne, z kuchnią węgierską, staropolską, sieradzką, z daniami tylko rybnymi, mamy lokale, które stwarzają poczucie intymności, ale tego wszystkiego mamy jeszcze mało.

Jednakże ta świadomość stanu posiadania nie może nas uspokajać. I dlatego staramy się wprowadzić różne usprawnienia. Na przykład: podzieliliśmy dużą salę „Europy" estetycznymi „przepierzeniami", stwarzając tym wrażenie przytulności w poszczególnych „boksach". I to się podobało, zostało dobrze przyjęte. Można postąpić podobnie i w innych lokalach gastronomicznych. Potrzebna tu jest inwencja kierowników, pomysłowość. Ale jak już powiedziałem wiele zależy od ludzi, którzy pracują w tych lokalach, od tego, w jaki sposób realizują nasze zalecenia, wskazane przez dyrekcję kierunki działania.

Myślę, że trzeba też zdawać sobie sprawę i z tego, że Łódź nie ma takich tradycji restauracyjno-kawiarnianych jakie ma na przykład Kraków, Warszawa czy inne jeszcze miasta. Ale to nas nie usprawiedliwia.

— Swego czasu zmienione zostały kategorie lokali gastronomicznych. Nie mamy wprawdzie w Łodzi lokalu kategorii „lux", ale mamy kilka kategorii „I", „II" i tak dalej. Czasem jednak trudno zorientować się, w jakiej kategorii lokalu gastronomicznego człowiek przebywa, jeśli u wejścia nie spojrzał na tabliczkę. Z karty menu też nie zawsze można się w tym zorientować. Dlaczego?

— Wymagania określone są precyzyjnie. Lokal pierwszej kategorii powinien mieć oryginalny, niepowtarzalny charakter. Ma się to wyrażać w sposobie urządzenia wnętrza, w zastawie, kwalifikacjach obsługi. Kierownikiem takiego lokalu powinien być człowiek co najmniej z wykształceniem średnim i dłuższą praktyką, a personel, oprócz wysokich umiejętności, powinien również znać obce języki.

Podstawowe wymagania są w zasadzie takie same dla wszystkich typów restauracji. Wszędzie powinno gotować się smacznie, potrawy powinny być urozmaicone.

— I wszędzie powinno być czysto.

— Oczywiście. Są podstawowe kanony, które muszą być zachowane w każdym lokalu gastronomicznym niezależnie od kategorii. Pierwszym takim kanonem jest czystość. Drugim — najwyższa jakość przygotowywanych posiłków. Trzecim — uczciwość personelu.

— Ale to są wymagania, które nie wszędzie są przestrzegane.

— To prawda. I dlatego muszę powtórzyć to, co już chyba dwukrotnie powiedziałem w naszej rozmowie: wszystkie te zalecenia, wskazania i wymagania realizują ludzie. A ludzie są różni.

— Łatwo się o tym przekonać, jeśli człowiek zmuszony jest do częstego korzystania z restauracji. Niektórzy kelnerzy na przykład — przeważnie starsi — potrafią wytworzyć sympatyczną atmosferę, doradzić konsumentowi, niemal się o niego zatroszczyć. I choć człowiek wie, że to jest nawyk zawodowy, odbiera to z zadowoleniem.

— Znamy takie wypadki, że kiedy przenieśliśmy kelnera czy kelnerkę do innego lokalu, to również przechodzili tam konsumenci, którzy się do tych kelnerów przyzwyczaili.

Tłumaczymy kelnerom, że ich zawód w jednym przypadku podobny jest do zawodu aktora. Kiedy aktor wychodzi na scenę, widz na sali teatralnej nie ma prawa domyślić się, że aktor ten miał dziś kłopoty, pokłócił się z żoną czy zachorowało mu dziecko. Podobnie kelner, kiedy wychodzi na salę musi zapomnieć o wszystkich swoich sprawach osobistych.

Tłumaczymy też kelnerom, że skoro są płatni od obrotu, to powinno im zależeć na tym, aby jak najwięcej konsumentów chciało u nich jadać. Przecież dla nikogo nie jest tajemnicą, że jak gość wychodzi z restauracji zadowolony, to zawsze dołoży do rachunku parę złotych. I choć są to bodźce ekonomiczne, nie wszyscy jakoś pojmują, nie wszyscy potrafią zabiegać o konsumenta.

Tłumaczymy kelnerom, że ich zadaniem jest umilić konsumentowi czas oczekiwania na posiłek. Podejść, powiedzieć, że już się smaży, gotuje, już się dekoruje i za chwilę państwo otrzymacie zamówione danie.

Foto: Archiwum

— Rzadko spotyka się takich kelnerów. Czasem odnosi się wrażenie, że w gastronomii pracują ludzie, którzy w tym zawodzie znaleźli się przypadkowo i bardzo go nie lubią. Przed kilku dniami wpadła mi w ręce fantastyczna książka o gastronomii. Trzecie wydanie „Kucharza gastronoma" z 1968 roku. Jest to pasjonująca lektura. Dowiedziałam się, że kiedy wchodzę do restauracji powinien powitać mnie kierownik sali i znaleźć mi miejsce. Dowiedziałam się też rzeczy niemal rewelacyjnej, że na każdym stole powinna być obowiązkowo sól, a kelner czy kelnerka powinni mi rachunek podawać na talerzyku, nie rzucać sztućców na papierową serwetkę tylko normalnie nakryć mi do stołu. Jak daleko sięgam pamięcią nigdy nikt nie szukał mi miejsca w restauracji, zdarzało mi się już otrzymywać rachunki na serwetce papierowej, a sztućce podają mi zazwyczaj albo na talerzyku, albo też na serwetce.

Czy tych prostych rzeczy nie uczy się w szkołach gastronomicznych, czy też absolwenci tych szkół zetknąwszy się z praktyką szybko zapominają o tym, czego się nauczyli?

— To nie jest literatura fantastyczna i mimo, że jak pani wspomniała, książka ukazała się w 1968 roku zawarte w niej zalecenia są nadal aktualne. Tego też uczą w szkole, tego uczymy obecnie na kursach, na których dokształcamy kelnerów i kierowników zakładów gastronomicznych.

Może się zdarzyć taka sytuacja, kiedy w zakładzie panuje duży ruch, kelner nie ma czasu, aby przyzwoicie nakryć do stołu. Wtedy może podać sztućce na talerzyku. Ale to powinno być wyjątkiem, a nie regułą.

Nie mamy jeszcze dostatecznej liczby kierowników sal. Jednakże w lokalu pierwszej kategorii nie wolno dopuszczać do takiej sytuacji, aby konsument sam szukał wolnego miejsca, aby podchodził do stolika i pytał, czy może się dosiąść. Tym powinien zająć się kelner lub kierownik sali. I my o tym nieustannie przypominamy i kierownikom i kelnerom.

— W tym samym „Kucharzu gastronomie" znalazłam 55 potraw z drobiu, nie mówiąc już o bogactwie innych potraw. Z doświadczeń gastronomicznych moich i innych konsumentów można odnieść wrażenie, że łódzka gastronomia nie zna choćby tylko tego podręcznika, nie mówiąc już o wielu innych książkach kucharskich. Jadłospisy są ubogie, podobne do siebie, choć znajdują się w różnych restauracjach.

— Myśmy rozesłali do zakładów gastronomicznych przeszło 120 przepisów na potrawy z drobiu. Mamy kilku znakomitych kucharzy, którzy potrafią wspaniale przyrządzić posiłek i u nich zawsze jest coś smacznego do zjedzenia. Ale mamy też takich kucharzy, którzy trzymają się ściśle receptury, nie wykażą własnej inwencji, nie potrafią zatroszczyć się o smak tego, co przygotowują.

— Można zastanawiać się, czy powinni pracować w gastronomii?

— Można, ale ktoś przecież musi gotować. Nie możemy dopuścić do sytuacji, aby lokal gastronomiczny był zamknięty.

— Spotkałam niedawno w jednej z restauracji jabłka na talerzyku, wyłożone na każdym stoliku. Teraz już tych jabłek nie ma. A przecież zastępowały one desery, których zresztą w większości restauracji nie ma. O takie jabłka na stolikach walczy od dawna prof. Szczepan Pieniążek z Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach. Dlaczego te jabłka zniknęły?

— Powrócą na stół. Sprawiają trochę kłopotu personelowi, bo niektórzy konsumenci rozumieli, że skoro są wyłożone na stole, to można je jeść i nie płacić.

Udało się nam przełamać niechęć do urozmaicenia dodatków do drugich dań. Nie ma już tylko fasolki czy konserwowanego groszku, ale są różne surówki.

— Istotnie poprawiło się pod tym względem. Natomiast nadal fatalnie jest z przystawkami.

— Gastronomia jest — trzeba to przyznać samokrytycznie — tradycjonalistyczna. W poszczególnych zespołach panuje niechęć do wszelkich „nowinek". Od dawna walczymy ze „schaboszczakiem", ale — jak już mówiłem — wiele zależy od inwencji kucharza, od pomysłowości szefa kuchni. A ludzie wolą robić to, co tradycyjne, co łatwe, niezupełnie są świadomi tego, że mają w swoich rękach decyzje w sprawie swojej sytuacji. Wzrost obrotów zakładu warunkuje przecież i ich uposażenie. Popularność zakładu gastronomicznego przyczynia się do wzrostu ich zarobków.

— Istnieje przekonanie, że ajenci lepiej radzą sobie z problemami naszej gastronomii. Czy ma Pan też takie odczucie?

— Nie. W skali kraju dochodzi się do przekonania, że ajenci nie spełnili pokładanych w nich nadziei. Ale tu też trzeba powtórzyć to, co już mówiłem kilka razy. Ludzie. Ich sposób myślenia, działania, pomysłowość, inwencja decydują o powodzeniu każdego przedsięwzięcia. Oni realizują każde najsłuszniejsze nawet założenie. Musimy się starać, aby w naszej gastronomii było coraz więcej ludzi dobrze przygotowanych do pracy.

AFRYKA

„Fama Dumbuya, najprawdziwszy Dumbuya na białym koniu" — to jedyna, jak dotąd, powieść Ahmadou Kouroumy. Ukazała się ona w Paryżu w roku 1970 i od razu zdobyła sobie uznanie krytyki francuskiej. Ahmadou Kourouma urodził się w 1927 roku w kraju Malinkejów, leżącym na terenie ówczesnego Złotego Wybrzeża, dzisiejszej Republiki Ghany. Kourouma studiował najpierw w Bamako, a po kilkuletniej przerwie w Paryżu i Lyonie. W czasie owej przerwy służył we francuskiej armii kolonialnej, najpierw na Wybrzeżu Kości Słoniowej, potem, kiedy odmówił tam udziału w tłumieniu rozruchów, został wcielony do garnizonu w Sajgonie. Zdołał się jednak stamtąd wydostać i wrócił do Francji, gdzie podjął studia. Później przez jakiś czas pracował jako agent ubezpieczeniowy we Francji i Algierii, wreszcie powrócił na Wybrzeże Kości Słoniowej.

Kazimierz Dziewanowski, autor przedmowy do „Famy Dumbuya" tak pisze o tej powieści:

„To bardzo interesująca i wybitna książka. Dlaczego? Tego się już nie da wyjaśnić. Po prostu — talent".

Znajdziemy w niej obraz Afryki współczesnej, wyzwolonej spod władz kolonialnych, niepodległej, ale przecież ciągle silnie związanej ze starymi tradycjami i wierzeniami. Fama Dumbuya to ostatni z rodu malinkejskich władców. Fama jest przedstawicielem zupełnie innej, starej epoki i nie potrafi zrozumieć, ani znaleźć swojego miejsca w nowym porządku społecznym, w którym widzi wiele słabości.

Aby lepiej zrozumieć powieść Kouroumy należy przed rozpoczęciem lektury koniecznie przeczytać wstęp Kazimierza Dziewanowskiego. Wiele wyjaśnia i pozwala książkę uchodzącą dziś za arcydzieło literatury afrykańskiej należycie ocenić.

Ahmadou Kourouma „Fama Dumbuya najprawdziwszy Dumbuya na białym koniu". PIW, W-wa 1975, str. 184, cena 25 zł.

„MARE NOSTRUM"

Vincento Blasco Ibanez, hiszpański pisarz, którego burzliwe życie było nie mniej fascynujące niż przygody jego książkowych bohaterów, w dwudziestych latach naszego wieku cieszył się wielką międzynarodową sławą i poczytnością. Dość powiedzieć, że jego najbardziej popularna powieść pt.: „Czterech jeźdźców Apokalipsy" osiągnęła dwa miliony łącznego nakładu w języku angielskim. Sława pisarza okazała się jednak krótkotrwała.

Po jego śmierci w 1928 roku krytyka hiszpańska zapomniała niemal o jego twórczości, wywołującej zresztą wiele kontrowersji i zastrzeżeń. Starsi Czytelnicy pamiętają, być może, pierwszy przekład powieści Ibaneza „Mare nostrum", wydany w 1925 roku w nie najlepszym tłumaczeniu S. Koźmińskiego-Poraja i powtórzony w dwa lata później w Bibliotece Nowości firmy wydawniczej S. Cukrowskiego. Owo drugie wydanie wprowadziło nieco zamieszania, bo sprytny wydawca rozbił powieść na dwie części. Pierwsza nosiła tytuł identyczny jak oryginał, drugą zaś część opatrzono sensacyjnym tytułem „Tancerka Szpieg". Nie tylko czytelnicy sądzili, że mają do czynienia z dwiema różnymi powieściami pomylili się też niektórzy krytycy i historycy literatury.

„Mare nostrum", podobnie jak „Czterech jeźdźców Apokalipsy" poświęcone jest tematyce związanej z pierwszą wojną światową. Ibanez, który nigdy nie ukrywał swych pacyfistycznych poglądów, w obu tych powieściach oskarżał pruskich militarystów za wszystkie okrucieństwa wojny, jakby przewidując, że to samo państwo w dwadzieścia lat od zakończenia I wojny światowej rozpęta drugą, o wiele straszniejszą i jeszcze bardziej tragiczną w skutkach — wojnę światową. W odróżnieniu jednak od „Czterech jeźdźców Apokalipsy", „Mare nostrum" jest powieścią bardziej kameralną. Na pierwszy plan wysuwa się tu wątek miłosny z kobietą fatalną w roli głównej. Prototypem Frei bohaterki „Mare nostrum" była słynna Mata Hari. Jednakże ani wątek miłosny, ani tematyka związana z wojną nie zaważyły na wysokiej ocenie powieści, jaką zyskała u wielu krytyków. Podkreślano bowiem przede wszystkim piękno opisów Morza Śródziemnego, tytułowego Mare nostrum.

Vincento Blasco Ibanez „Mare nostrum" przełożył L. Katra, Wyd. Literackie, Kraków 1975, str. 476, cena 35 zł.

SZTUKA INDIAN I ESKIMOSÓW

W cieszącej się popularnością serii „Kultury starożytne i cywilizacje pozaeuropejskie", której patronują Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, ukazała się praca Fredericka J. Dockstadera „Sztuka Ameryki", poświecona analizie twórczości Indian północnoamerykańskich i Eskimosów. Autor przez wiele lat pracował w Carnegie Foundation jako doradca do spraw sztuki Indian amerykańskich. Obecnie zaś jest dyrektorem Museum of the American Indian w Nowym Jorku.

„Nigdzie w świecie, w żadnej innej kulturze nie występuje w tak wykształconej formie, jak u północnoamerykańskich Indian, zespolenie prostego życia wśród przyrody, łowiectwa z siłą i prostotą twórczości artystycznej i kultu religijnego. Objawia się ona nie tylko w sztukach plastycznych Indian, ale również w zachowanych urywkach twórczości poetyckiej" — czytamy we wstępie do „Sztuki Ameryki" Książka F. J. Dockstadera odpowiada na szereg pytań. Objaśnia przede wszystkim, co to jest sztuka indiańska i eskimoska. Autor sięga aż do czasów prehistorycznych, aby tym lepiej wyjaśnić czytelnikowi charakterystyczne cechy tej kultury, jej regionalne odrębności, funkcje sztuki, jej styl, wreszcie rolę artysty. Książka „Sztuka Ameryki" pomoże na pewno przeciętnemu europejskiemu czytelnikowi, wychowanemu na powieściach Karola Maya i filmach przygodowych nie tylko zrozumieć, ale bliżej poznać sztukę, a poprzez to i życie północnoamerykańskich Indian.

Frederick J. Dockstader — Sztuka Ameryki I, przełożył z niemieckiego P. Kuryluk, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, W-wa 1975, str. 163, cena 30 zł.

„KOT W WORKU..."

Ani płeć, ani wiek, ani wykształcenie nie ma tu znaczenia. Jeśli ktoś się boi, żeby czegoś nie zapeszyć, natychmiast szuka nie malowanego drewna i „odpukuje". Ten nieszkodliwy przesąd jest szalenie popularny nie tylko w Polsce. „Odpukuje się" bowiem na całym świecie, niezależnie od kraju i kultury. Ankieta przeprowadzona wśród profesorów jednego z najpoważniejszych uniwersytetów świata przyniosła zaskakujące wyniki. Okazało się, że nie ulega absolutnie żadnym przesądom zaledwie czwarta część pedagogów. Jeden z profesorów powiedział: „Jedyny przesąd, jakiemu ulegam, to pukanie w drewno w chwili, gdy mówię, że zdrowie mi dopisuje, albo, że szczęście mi sprzyja". Ale skąd się wzięło owo „odstukiwanie" w drewno? Albo skąd się wywodzi popularne powiedzenie: czas to pieniądz? W naszych skojarzeniach zrosło się z postacią finansisty, człowieka interesów. W tej chwili znane jest jako przysłowie angielskie, ale przecież nie w Anglii i nie we współczesnych czasach się narodziło. Więc gdzie? Wszystkich ciekawych odpowiedzi na te pytania, jak również na wiele innych, odsyłam do interesującej książeczki znanego warszawskiego felietonisty, Władysława Kopalińskiego. Książeczka owa nosi tytuł „Kot w worku czyli z dziejów powiedzeń i nazw"; zawiera osiemdziesiąt osiem (przypadek czy szczęśliwa liczba?) niewielkich rozdziałów, stanowiących komentarze do wyrazu, nazwy, wyrażenia czy przysłowia. Mówiąc krócej, do tych powiedzeń, których często używamy na co dzień, ale nie zawsze zastanawiamy się dlaczego i skąd się one w ogóle wzięły.

A co z kupowaniem kota w worku? Tak naprawdę, to trudno stwierdzić, skąd kot się tam wziął. Ale komentarz Kopalińskiego sporo rzeczy nam wyjaśni, a zabawny rysunek Szymona Kobylińskiego, który „Kota w worku..." ilustrował, ubawi. Spokojnie więc można wróżyć powodzenie książce Władysława Kopalińskiego. Choć w tym miejscu pewnie należałoby „odpukać".

B. M.

Władysław Kopaliński „Kot w worku...", Krajowa Agencja Wydawnicza, W-wa 1975, str. 183, cena 20 zł.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

BEZ KOMENTARZA

Film jest sztuką bardzo sugestywną i każdy fałsz na celuloidowej taśmie mocniej zapada w świadomość odbiorcy niż w wypadku innych rodzajów sztuki. Film jest poza tym sztuką masową, zwłaszcza film wyświetlany w największym kinie Polski, czyli w sobotni wieczór na telewizyjnym ekranie.

W sobotni wieczór miliony Polaków obejrzały film Karola Reisza „Isadora". Ludzie biegli w sprawach filmowych twierdzą, że Karol Reisz jest dobrym reżyserem. Pewno tak jest, nie oceniam zresztą filmu, ale zirytował mnie i oburzył fragment dotyczący radzieckiego epizodu w życiorysie Isadory Duncan i jej miłości do Sergiusza Jesienina. Tak piramidalnej bzdury dawno nie widziałem na ekranie polskiej telewizji.

I rzecz ciekawa. Telewizja bardzo chętnie opatruje emitowane filmy uczonymi komentarzami. Tę bzdurę puszczono bez komentarza, choć właśnie dzieło Reisza (zwłaszcza jego radziecki epizod) takiego komentarza wymagało. Natomiast tygodnik „Radio i Telewizja" był łaskaw napisać, że „film w sposób sugestywny i maksymalnie wierny prawdzie" oddaje dzieje osobistych przeżyć wielkiej tancerki.

Co do sugestywności — zgoda. Kłamstwem i bzdurą jest natomiast twierdzenie o „maksymalnej wierności prawdzie". Jakie mogę mieć zaufania do owej „prawdy", skoro przez pół godziny oglądam szopkę i cyrk, bujdę i parodie dotyczące związku Isadory z Jesieninem. Skoro Karol Reisz nakręcił szopkę na temat radzieckiego epizodu w życiu tancerki — jak mam wierzyć, że szopką nie jest cały film?

Obrazy Moskwy roku 1921 są tego rodzaju, jak mały Kazio wyobraża sobie Rosję. Oczywiście śnieg i zadymka — szkoda że po ulicach nie chodzą niedźwiedzie. A przecież Isadora przybyła do Moskwy... latem. To zresztą drobiazg. Ale ta scena z matką błagającą tancerkę o przyjęcie córeczki do szkoły baletowej? Głupie i sztuczne.

No i wreszcie Jesienin. Wiadomo, że był to człowiek trudny i konfliktowy, wiadomo, że już wówczas nękał go alkoholizm, ale nietaktem i fałszem jest przedstawienie go tak, jak to zrobił Reisz.

Angielski reżyser zapewne niewiele rozumiał z tragedii Jesienina — te nietakty można nawet zrozumieć. Trudniej natomiast zrozumieć nietakt Telewizji Polskiej, która tę szopkę puściła bez słowa komentarza. Właśnie w pięćdziesiątą rocznicę śmierci Jesienina.

Jesienin, w wersji Reisza, to błazen, pajac i megaloman. No cóż — megalomanem Jesienin chyba był — błaznem na pewno nie. Ale wizja reżysera to — jak powiedziałem — wizja małego Kazia. Każe mówić aktorowi po rosyjsku (okropnie zresztą), potem każe mu mówić po angielsku, choć — jak wiadomo — Jesienin nie znał tego języka. To Isadora dla niego uczyła się rosyjskiego. Ubiera Reisz filmowego Jesienina w rubaszkę, kożuch i okrągłą czapkę... Tak go przedstawia w Ameryce.

A przecież mógł reżyser obejrzeć znane zdjęcia poety z Isadorą, gdzie widać Jesienina ubranego w wytworne garnitury. Takiego widziała go Ameryka.

Inaczej także wyglądało poznanie się Jesienina z Isadorą w pracowni malarza Jakułowa. Ale to drobiazgi w końcu choć nas zapewnia tygodnik „Radio i Telewizja", że film zrealizowano z dbałością o „maksymalną prawdę".

Największym fałszem jest bowiem przerysowanie postaci Jesienina w kierunku parodii, prymitywizmu umysłowego i obyczajowego. Reżyser zrobił z poety oswojonego niedźwiedzia, prymitywnego kmiotka, nie wiadomo dlaczego petającego się obok pięknej tancerki.

I znów warto obejrzeć fotografie. Isadora była wówczas mocno otyłą starszą panią. Jesienin zaś eleganckim, nienagannie ubranym młodym mężczyzną. Oczywiście — nosił kiedyś rubaszkę i wysokie buty, ale było to przed laty (jeszcze przed rewolucją), kiedy po raz pierwszy przyjechał „na podbój" Piotrogrodu.

Miłość do Jesienina — ostatnia tragiczna (dla niego i dla niej) miłość sławnej tancerki do nie mniej sławnego poety, jest osobnym tematem na głęboki, mądry film. Reisz z tej miłości zrobił płaską szopkę. I rzecz charakterystyczna — tak płasko i głupio nie pokazał poprzednich przyjaciół Isadory, ani Gordona Craiga, ani przemysłowca Singera. Tylko Jesienin zasłużył w oczach angielskiego reżysera na taką krzywdzącą, fałszywą ocenę. Dlaczego? Można się domyślać.

Nie można tylko zrozumieć, że w największym kinie Polski zgodzono się z tą płaską, głupią i fałszywą wizją — nie przeciwstawiając jej paru słów wyjaśniającego komentarza.

WIDOK

LEWYM OKIEM

BŁĘDY MAŁE I DUŻE

Ostatnią wojenną jesień przepracowałem jako jeniec w cukrowni niedaleko Halle. Wielka Rzesza mocno była poturbowana alianckimi nalotami, samoloty nękały ją w dzień i w nocy, środków transportowych na cele cywilne wciąż brakowało. Olbrzymi procent robotników we wszystkich zakładach pracy stanowili obcokrajowcy: jeńcy, więźniowie, deportowani i ci z łapanek na ulicach polskich miast. Wszyscy ci ludzie oczywiście pracowali źle, jak najgorzej, byle nie podpaść i przeżyć. Mimo to — w przeddzień zbliżającej się generalnej klapy, wagony i samochody z burakami podjeżdżały pod cukrownię dniem i nocą, rozładunek leciał na bieżąco, nie czuło się żadnych zakłóceń w dostawach.

Przypomniałem to sobie jadąc niedawno koło naszej wielkiej cukrowni w Dobrzelinie. Trwała właśnie zwózka buraków. Na dojazdowej szosie stało (policzyłem!) dziewięćdziesiąt ciężarówek, czekających na rozładunek. Dziewięćdziesiąt! Kolejka kilometrowej długości zimno, kierowcy śpią w swych szoferkach, ich pomocnicy rozgrzewają się odbijaniem ćwiartek. Będą tu stać wiele, wiele godzin. Każda z tych ciężarówek obróci jeden jedyny raz w ciągu doby i przywiezie około 3 ton buraków. Te trzy tony zaangażują na całą dobę cały jeden samochód i jednego lub nawet dwóch pracowników. Co tam się dzieje przy rozładunku, co to jest? Przecież nie trzeba buraków liczyć ani znosić ich pieczołowicie jak porcelanę, otwiera się klapę i leci — z niewielką pomocą wideł.

Mamy w Łodzi przy ulicy Brukowej sklep z meblami. To jest coś horendalnego co się tam dzieje. Stos krzeseł nasypanych na siebie dosłownie jak porąbane drwa. Na tapczanie stoi sobie fotel na żelaznych nogach i dziurawi pokrycie — tapczan jest już z całą pewnością nie do sprzedania. Połamane wersalki, zwalone na kupę różne części na wysoki połysk, pokaleczone, połupane, z podartymi obiciami. Wszystko tonie w brudzie, dwa czy trzy komplety kuchenne ustawione jako wzorce zdążyły się już pokryć grubą warstwą kurzu, okleiny z nich odłażą, drzwiczki pospadały z zawiasów. Robotnicy wybierając dla klienta krzesło wchodzą nogami na leżące hałdy i niszczą to, co jeszcze jako tako wyglądało. Trudno spokojnie patrzeć na ów „sklep" pamiętając jakimi to wartościami tu się obraca, jakie ceny płaci klient za meble, z jakim trudem zdobywa poszukiwane rzeczy. Piszę o stanie rzeczy, jaki istniał na Brukowej w dniu 5 listopada po południu. Wolę uczynić tutaj to zastrzeżenie, bo chcę wierzyć, że nie zawsze jest tak, że to był jakiś zły, bardzo zły dzień.

Spacerowałem niedawno po cmentarzu w pewnym niedużym miasteczku. Cmentarz — jak to się dzisiaj wszędzie widzi — wypełniony szczelnie bogatymi pomnikami z granitu i marmuru, złote napisy, alegoryczne rzeźby, ozdobne żelazne sztachetki. Miasteczko jest małe i działa w nim jeden, najwyżej dwa zakłady kamieniarskie: wszystkie te pomniki wyszły więc spod jednego czy spod pary dłut. Powtarzają się wiele razy wzory pomników i powtarzają się wykute na nich napisy: „Odeszłeś od nas w świat daleki pozostawiłeś po sobie żal na wieki". Niech te napisy będą proste i naiwne, nie uczone a szczere. Nie szkodziłoby jednak gdyby za tych dwadzieścia parę tysięcy — bo tyle kosztuje pomnik — były przynajmniej ortograficzne. Przecież pan nauczyciel z miejscowego gimnazjum czy ktokolwiek bądź — może nawet sam ksiądz probosz — mógłby się pofatygować do jednego, czy nawet do obydwóch mistrzów dłuta i powiedzieć im w żartach, że pisze się nie „odeszłeś", tylko „odszedłeś".

Na tym samym cmentarzu jest też napis: „Odeszłeś na zawsze jako wzorowy mąż i ojciec zostawiając żal i smutek". Poprawiamy ortografię, sens zostaje: odszedłeś jako wzorowy mąż, czyli odszedłeś, ponieważ byłeś wzorowym mężem. Kto chce uchodzić za wzorowego — powinien odejść. Jako ludzie delikatni, nie uśmiechamy się w tak poważnym miejscu. I nawet zgadzamy się na jeszcze parę tysięcy pomników z „odeszłeś" zamiast „odszedłeś", byleby nikt nie marnował bezmyślnie tego, co kto inny w pocie czoła wyprodukował. Byleby nikt nie skakał butorami po tapczanach. I niech obywatel przy wadze w cukrowni wymyśli coś, żeby samochody mogły jeździć, a nie stać w beznadziejnych, kilometrowych kolejkach.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

BOLEK I LOLEK PO MATURZE

Ulubieńcy nie tylko najmłodszej publiczności, bohaterowie rysunkowego serialu Bolek i Lolek zawsze będą mieli tyle samo lat, bo jest to ich cecha szczególna. Gdyby zaczęli starzeć się wraz z tymi, którzy bawią się ich przygodami, straciliby cały swój urok. Ale Bolek i Lolek nie są jedynymi bohaterami filmów rysunkowych. Jest jeszcze Reksio. Są bohaterowie innych filmów. Była kiedyś Gąska Balbinka i Kurczak. Jest Koziołek Matołek.

Kiedy wybierałem się na przegląd filmów animowanych, organizowany w ramach spotkania realizatorów tego rodzaju filmów przez „Semafor", niektórzy patrzyli na mnie z powątpiewaniem.

— Idziesz oglądać Bolka i Lolka. Mało masz tego w telewizji?

Należę do wielkiego grona miłośników filmu animowanego, a różnię się od wielu z nich tym, że nie wstydzę się włączyć telewizora, kiedy zaczyna się „Dobranoc" dla dzieci. Z przyjemnością oglądam też „Dobranoc dla dorosłych", choć z przykrością przyznaję, że realizatorzy filmów dla dzieci potrafią być znacznie bardziej dowcipni i pomysłowi. Odpowiadałem więc wszystkim, że owszem, że chętnie pooglądam sobie nowe przygody Bolka i Lolka, Reksia, a także Psa, Kota i innych.

Bolka i Lolka jednak na przeglądzie nie było. Był natomiast Pies z Kotem, a Reksio został medalistą. Nie żałuję jednak, że na ten przegląd poszedłem. Mam bowiem okazję wyjaśnić tym, którzy z tego nie zdają sobie do końca sprawy, że film animowany nie jest tylko dla dzieci. Na wspomnianym przeglądzie zobaczyłem bowiem „przygody" dorosłych Bolków i Lolków, a więc przygody współczesnych ludzi, nasze sprawy, kłopoty, i niepokoje.

Na przeglądzie filmów animowanych w Łodzi obejrzałem wraz z realizatorami tych filmów najnowszą produkcję 4 polskich wytwórni filmów animowanych: **„Semafora"**, wytwórni filmowych z **Bielska Białej, Krakowa** i **Warszawy**. I kiedy na sali projekcyjnej Biblioteki im. Ludwika Waryńskiego, która udzieliła gościny filmowcom, zapłonęły światła po ostatnim filmie, zdałem sobie sprawę z pewnej prawdy. Krótki film animowany w swoich najambitniejszych pozycjach sięgnął po wielkie tematy. Może zabrzmi to jak paradoks, ale kiedy „duży film" zajmuje się sprawami miałkimi i nie potrafi wyjść poza adaptowanie klasyków naszej literatury, „mały film" usiłuje i to z dobrym powodzeniem podejmować wielkie sprawy naszej współczesności. Dla mnie wcale nie jest przypadkiem, że wśród kilkudziesięciu pokazanych filmów była jedna, tylko adaptacja.

Byłoby oczywiście nieporozumieniem przeciwstawiać „mały film" „filmowi dużemu", ale trudno też przechodzić obojętnie wobec faktu mnożących się adaptacji, kiedy widz z niecierpliwością oczekuje filmu, który śmiało podjąłby współczesne problemy. Lista książek czekających na ekranizację jest dość długa i widz coraz bardziej traci nadzieję że zobaczy wreszcie coś interesującego o naszych czasach, chyba że w kinie radzieckim, amerykańskim, czeskim czy węgierskim...

Realizatorzy filmu animowanego z Bielska Białej, Łodzi, Krakowa i Warszawy pokazali natomiast, że wprawdzie nie zapominają o najmłodszym widzu, ale też nieobce są im sprawy świata współczesnego. Do tych spraw odwoływał się **„Impas"**, znakomita **„Strzelnica"**, **„Ich dwoje"** czy wreszcie kończący się wielojęzycznym napisem: „Szanujmy zieleń" film pod tytułem **„Si vis pacem"**.

Na ekranie sali projekcyjnej Biblioteki im. Ludwika Waryńskiego można było obejrzeć interesujące poszukiwania formalne w znakomitym **„Pożarze"**, a także dowcipną acz tragicznie kończącą się historię miłosną ułożoną ze starych pocztówek pt. **„Flirt"**. Jak zawsze w takim przeglądzie było kilka pozycji słabszych, z niektórych dość nachalnie wyłaził dydaktyzm, ale warto było chwilkę ponudzić się, aby obejrzeć przy tym to wszystko, co każda z wytwórni uznała za najlepsze, czym chciała się pochwalić przed innymi.

Filmy animowane kupiła niewątpliwie Centrala Rozpowszechniania Filmów, dołączy więc je do filmów pełnometrażowych i rozejdą się one po kraju, poginą wśród innych. Dlatego zastanawiam się, czy jednak nie byłoby warto pomyśleć o takim kinie gdzie można byłoby pokazywać filmy krótkie, nie tylko animowane, gdyż mamy takich filmów sporo, a ich twórcy zgarniają nagrody, filmy te kupują od nas za granicą, tylko krajowy widz nie zawsze wie, co posiadamy. Słyszę, że takim kinem filmów krótkich staje się „Przedwiośnie", oby tak było na dłuższą metę.

Z obowiązku kronikarskiego donoszę, że w drugim dniu spotkania realizatorów filmów animowanych wręczono nagrodę za najlepsze filmy dla dzieci, fundowaną raz na trzy lata przez Urząd Miasta Łodzi i „Semafor". Laureatami nagrody im. Zenona Wasilewskiego za najlepsze filmy dla dzieci zrealizowane w latach 1972—1975 zostali: **Marian Cholerek** za „Reksia medalistę" i **Daniel Szczechura** za film „O królu Popiele". Nagrody Stowarzyszenia Filmowców Polskich za najlepsze animacje otrzymali: **K. Faber, J. Skorża** i **K. Szymczak.** Gratulacje.

Żal tylko, że następna okazja do obejrzenia filmów animowanych w Łodzi nadarzy się dopiero za 3 lata.

MARCIN RODAK

SPORT

BYLE DO WIOSNY?

Wprawdzie nasza piłkarska liga nie zakończyła jeszcze jesiennych rozgrywek, ale i tak, bez względu na ostateczną kolejność, rewelacją jesieni stała się drużyna GKS-Tychy. Po zwycięstwie 2:1 nad krakowską „Wisłą" GKS zajął pozycję lidera tabeli. A przecież jeszcze pół roku temu ta sama drużyna zagrożona była spadkiem z I ligi. Ta metamorfoza to ani cud boski, ani przypadek, tylko po prostu solidna praca. I dzięki tej samej, solidnej pracy nasz I-ligowy beniaminek — drużyna RTS-Widzew zajmuje wcale przyzwoitą dziesiątą pozycję w tabeli, poczynając sobie w kolejnych spotkaniach coraz śmielej i grając coraz lepiej. Piszę to nie bez satysfakcji, bo wszak wielu kibiców i nie tylko kibiców pytało: „I co ten „Widzew" chce robić w I lidze?". Okazało się, że chce po prostu grać.

Piszę to wszystko nie bez powodu. Bo oto nasza ukochana jedenastka ŁKS przeżywa kolejny, a może raczej ciągle ten sam, kryzys. Stara, doświadczona w pierwszoligowych bojach drużyna, zamiast ulokować się gdzieś w środku tabeli, wlecze się w ogonie, a ostatnio nawet odebrała Stali-Rzeszów „czerwoną latarnię".

Można by powiedzieć, że ŁKS sprawił swoim kibicom nieprzyjemną niespodziankę, ale niestety, jest to raczej niespodzianka, do której od dawna zdołaliśmy się już przyzwyczaić. Od paru lat łodzianie kończą jesienny sezon w takim stylu, że płakać się chce. Kiedyś, jeden z zawodników ŁKS powiedział mi, że jesienią gra mu nie wychodzi. I jak widać zaraził dokładnie tą swoją jesienną słabością cały zespół. Dawno temu ŁKS zyskał sobie piękny przydomek „rycerze wiosny". Dzisiejsza drużyna, jak widać, stara się ciągle nawiązywać do starych tradycji, bo budzi się nagle wiosną i z trudem, mozołem oraz ogromnym nakładem sił i środków stara się odrabiać jesienne manko. Ale nie czarujmy się. Żadni to rycerze. Tamtym „starym" chodziło o autentyczne sukcesy. I umieli sobie na nie zapracować.

Niedawno na łamach „Głosu Robotniczego" opublikowana została wypowiedź Jana Tomaszewskiego. Zapytany o przyczyny aktualnych niepowodzeń drużyny ŁKS, powiedział:

„Uważam, że nie dorośli oni (niektórzy koledzy z zespołu — przyp. B. M.) do pierwszego zespołu. W ich pojęciu zaszczytny awans do niczego nie zobowiązuje. Proszę przypomnieć sobie te czasy, w których debiutowali w ligowej jedenastce ŁKS Suski, Sass, Janek Lubański, Polak, Korzeniowski. Pot z nich lał się na treningu, co wiem z opowiadań, a w meczach pragnęli swym poświęceniem przerosnąć starszych kolegów. A dziś nierzadki jest pogląd, że czy się stoi, czy się leży coś od klubu się należy... Młodszy czeka, by starszy wiekiem kolega za niego „szarpał". Na takich potrzebne są rózgi. Nie perswazja, a eliminacja z pierwszego zespołu".

Nie takie to jednak proste. W ŁKS nie ma rezerw. Jan Tomaszewski mówi dalej:

„Oni to widzą i wykorzystują. Czują się pewnie w zespole, bo wiedzą, że degradacja im nie grozi. Inaczej by było, gdyby istniała w zespole rywalizacja, gdyby ten i ów wiedział, że na ławce rezerwowych czeka na jego miejsce równie dobrze zapowiadający się zawodnik. Panowałaby wówczas iście sportowa dyscyplina. Już jeden opuszczony w tygodniu trening obniża wydajność piłkarza w meczu".

Niezależnie od tego, jak dalece subiektywne są poglądy bramkarza ŁKS, coś tu nie gra. Bo to wszystko oznacza, że w zespole nie ma zrozumienia, nie ma atmosfery sprzyjającej właściwej współpracy, nie ma tej koleżeńskiej więzi, bez której każda, nawet najlepsza drużyna skazana jest na klęskę.

Stare powiedzenie głosi, że z każdej sytuacji są dwa wyjścia. Trudno jednak je dopasować do piłkarzy ŁKS. Jeśli chcą się utrzymać w I lidze, mają tylko jedno wyjście. Wziąć się uczciwie do roboty. Sezon piłkarski 75/76 jeszcze się nie kończy. Została cała runda wiosenna, ale doświadczenie uczy, że odrabianie punktów straconych jesienią nie jest takie łatwe. Po zakończeniu minionego sezonu piłkarskiego PZPN złożył specjalne oświadczenie. Warto dziś przypomnieć jego fragmenty:

„Najbardziej bulwersujący fachowców i opinię publiczną był finisz tegorocznych rozgrywek ligowych. Drużyny czołówki, zdecydowani faworyci, z reguły przegrywali z outsiderami. Zarząd PZPN, aczkolwiek przekonany o nieprawidłowościach, nie dysponuje jednak dowodami naruszenia przepisów, dowodami na to, że partykularne interesy klubów lub osobiste interesy zawodników wzięły górę nad ideą sportowego współzawodnictwa, ambicją, wolą walki i zwycięstwa oraz sportowym morale... Wyciągając wnioski na przyszłość, w nowym regulaminie dyscyplinarnym PZPN, który przygotowany jest do wprowadzenia w życie wraz z nowym sezonem piłkarskim, usankcjonowana będzie zasada, że w stosunku do klubów, które w końcowej fazie rozgrywek tolerować będą u zawodników niczym nie uzasadniony spadek formy, zostaną wyciągnięte surowe konsekwencje".

Synoptycy jeszcze nie wiedzą, jaka będzie wiosna przyszłego roku. Ale ponieważ nowy regulamin rozgrywek piłkarskich już od dawna wszedł w życie, można postawić horoskop dla piłkarzy. Powinni mieć wyjątkowo ciężką zimę.

BOGDA MADEJ

CENTRUM TAJNEGO FRONTU (VII)

FATALNA POMYŁKA

Z początkiem 1942 roku sytuacja na froncie radziecko-niemieckim ustabilizowała się. Obie strony potrzebowały pewnego okresu czasu dla dokonania niezbędnych przegrupowań, uzupełnień ludzi i sprzętu, przerzutu nowych jednostek i umocnienia zdobytych pozycji. Zarazem trudne warunki atmosferyczne uniemożliwiały wznowienie operacji wojskowych na dużą skalę przed nadejściem wiosny. Wprawdzie kontrofensywa Armii Czerwonej w grudniu 1941 roku zadała wojskom hitlerowskim poważne straty, wiadome było jednak, iż wróg jest jeszcze bardzo silny, zaś własne siły nie są jeszcze w stanie w pełni sprostać przeciwnikowi.

Od wyniku wiosennych i letnich walk miało więc zależeć bardzo wiele. Nic dziwnego, że w tej sytuacji Centrala potrzebowała dokładnych informacji o dyslokacji głównych sił armii niemieckiej, o rejonach koncentracji, o sile i wartości przerzucanych na front jednostek, o kierunkach planowanych uderzeń. Wiadomo też, jakie znaczenie miały dla naczelnego dowództwa Armii Radzieckiej wszelkie wiadomości na ten temat. Zdawał sobie z tego doskonale sprawę radziecki wywiad zagraniczny, gdyż właśnie jemu przypadło w udziale zdobycie większości potrzebnych informacji.

Grupa kierowana przez „Dorę" starała się więc wypełniać skrupulatnie wszystkie zalecenia Centrali. Działalność wywiadowczą prowadzono już w niej wówczas na szeroką skalę, dzięki czemu uzyskano wiele cennych informacji, choć nie zawsze były one dość dokładne. Niebawem ustalono najbardziej prawdopodobny termin niemieckiej ofensywy; połowa kwietnia lub początek maja 1942 roku.

Właśnie w tym, tak gorącym okresie wiosna i latem 1942 roku, nad pracującą na pełnych obrotach sekcją Rado zaczęły gromadzić się ciemne chmury. Miał miejsce cały szereg dziwnych wydarzeń, które trudno było wówczas wyjaśnić. Dopiero po zakończeniu wojny okazało się, co było ich przyczyną.

W połowie czerwca 1941 roku stacje pelengacyjne dalekiego zasięgu niemieckiego wywiadu wojskowego, znajdujące się w okolicach miasteczka Cranz na wybrzeżu Morza Bałtyckiego (północna Kurlandia) wykryły pod Moskwą silną radiostację znajdującą się w stałej łączności z analogicznymi radiostacjami na Zachodzie. Dalsze namiary pozwoliły Niemcom zorientować się, iż skoncentrowany w tym rejonie węzeł łączności jest faktycznie radiostacją centrali wywiadu radzieckiego, zaś stacje nadawczo-odbiorcze na Zachodzie znajdują się w Belgii, Holandii i samych Niemczech. Niebawem też służba radiolokacyjna Abwehry ustaliła, iż podobne stacje znajdują się także na terenie Szwajcarii. Ze zdobytych po wojnie archiwów kontrwywiadu niemieckiego wynikało, iż początkowo określono położenie stacji „Edwarda" i „Maud" w przybliżeniu, później zaś, po upływie roku, Niemcy już dokładnie wiedzieli, że nadajnik jest zlokalizowany w Genewie. Prowadząc regularny nasłuch jego audycji wykryli po pewnym czasie krótkofalówkę „Jima" w Lozannie. Nad całą sekcją zawisło więc poważne niebezpieczeństwo. Było ono tym większe, iż zarówno Rado, jak i wszyscy członkowie jego grupy całkowicie nie orientowali się, że zostali wykryci.

Tymczasem Niemcy roztoczyli ścisłą kontrolę nad pracą trzech radiostacji, które nazwali **„Czerwona Trójka"**. Wszystkie seanse łączności były dokładnie rejestrowane, mimo jednak ustawicznych wysiłków ze strony niemieckich deszyfrantów nie udało im się złamać kodu, jakim posługiwały się radiostacje grupy „Dory"

Wykrycie radiostacji spowodowało spore zamieszanie w szeregach służby specjalnej Abwehry admirała Canarisa. Zbliżał się przecież moment decydującego natarcia na froncie wschodnim, tymczasem informacje przekazywane w zakodowanych radiogramach mogły przysporzyć wojskom niemieckim ogromnych strat. W Abwehrze doskonale to rozumiano i postanowiono za wszelką cenę nie dopuścić do katastrofy. Nie mając możliwości prowadzenia jawnych poszukiwań nielegalnych radiostacji na terytorium neutralnego kraju, Niemcy zaczęli przysyłać do Szwajcarii swoich agentów.

Jeden z nich pojawił się w Genewie w końcu **kwietnia 1942 roku.** Człowiek ten, podając się za francuskiego dziennikarza Ivo Rameau, wynajął pokój u przyjaciela jednego ze współpracowników siatki. Przy najbliższej okazji zwierzył mu się, iż utworzona przezeń we Francji podziemna organizacja dysponuje niezwykle ważnymi informacjami, które z pewnością zainteresowałyby wywiad radziecki. Cały szkopuł tkwił jednak w tym, iż nie wie komu mógłby posyłać te informacje. Przy okazji dodał, iż jest znany odpowiednim radzieckim organom pod pseudonimem „Aspirant" Przyjaciel członka grupy „Dory", doświadczony konspirator, udał, iż zupełnie nie ma pojęcia o sprawach, z którymi Rameau zwraca się do niego, a zaraz po odejściu podejrzanego gościa dał znać o wszystkim „Dorze". Postanowiono maksymalnie wzmóc czujność i poinformować Centralę o tej dziwnej wizycie.

Wkrótce „Dyrektor" przysłał depeszę, w której ostrzegał przed utrzymywaniem jakichkolwiek kontaktów z Rameau. Z radiogramu wynikało, że prawdziwe nazwisko „Aspiranta" brzmi Ewald Zweig i że do wybuchu wojny współpracował z francuskim Deuxieme Bureau. Okazało się także, iż Rado również rozpoznał owego człowieka jako autora arykulików dla prasy brukowej. Tym bardziej więc należało się wystrzegać znajomości z nim, zwłaszcza że on z kolei mógł znać „Dorę" z działalności w „Inpressie".

Jakby nie dość było innych kłopotów, **wiosną 1942 roku** Sandorowi Rado kończył się termin czasowego pobytu w Szwajcarii. Dotychczas policja przedłużała mu prawo zamieszkiwania w tym kraju bez żadnych trudności. Jednak tym razem było inaczej. Inspektor policji oświadczył, iż z paszportu wynika, że Rado utracił obywatelstwo węgierskie, wskutek czego nie może mu przedłużyć pozwolenia na pobyt w Szwajcarii, przepisy zabraniały bowiem w odniesieniu do osób nie posiadających obywatelstwa wydawania im takich zezwoleń. W związku z tym Rado musiałby pojechać na Węgry i sam załatwić wszystkie niezbędne sprawy. Było to, jak wiadomo, całkowicie niemożliwe, gdyż emigrował on z Węgier w 1919 roku, a według obowiązujących wówczas przepisów ustanowionych przez władze Horthy'ego — Węgier, który przebywał poza terenem swojego kraju ponad 10 lat, tracił prawo obywatelstwa. Na dodatek powrócić do kraju w wypadku „Dory" oznaczałoby dać się aresztować za działalność w okresie Węgierskiej Republiki Rad.

Powstał więc dylemat, co robić w tej sytuacji. Jak otrzymać przedłużenie prawa pobytu w Szwajcarii i tym samym uchronić „Geopress" przed likwidacją? Zamknięcie agencji oznaczało sprowadzenie działalności wywiadowczej grupy do warunków nielegalnej pracy podziemnej, a to mogłoby poważnie utrudnić przesyłanie na czas tak potrzebnych Centrali informacji. Po długich naradach i rozważeniu wszystkich argumentów za i przeciw „Dorze" pozostała tylko jedna możliwość. W węgierskim konsulacie w Genewie pracował pewien urzędnik kancelarii, z którym Rado łączyły dość dobre stosunki. Przez niego więc przesłał pocztą dyplomatyczną list do ojca, przebywającego w kraju, w którym prosił go o załatwienie sprawy obywatelstwa. Ojciec Sandora był w tym czasie dość dobrze sytuowany i miał liczne kontakty. Znalazł więc pewnego urzędnika magistratu, który za niewielką sumę pieniędzy napisał zaświadczenie stwierdzające, iż Sandor Rado mieszkał tam w latach 1935—1936 i pracował jako geolog w rejonie miasteczka Mora. Zaświadczenie to zostało następnie przesłane do Genewy i dotarło do „Dory" znaną już drogą przez znajomego z konsulatu. Jak się okazało, papierek ów całkowicie wystarczył władzom szwajcarskim do wydania zezwolenia na przedłużenie pobytu.

Na tym jednak kłopoty grupy się nie zakończyły. W okresie czerwca — sierpnia 1942 roku nad Szwajcarią zawisło realne niebezpieczeństwo niemieckiej inwazji. Liczono, iż może ona nastąpić niebawem, tym bardziej iż coraz częściej mówiło się o otwarciu drugiego frontu w Europie. Grupa „Dory" uzyskała z Niemiec informacje, iż w wypadku stworzenia drugiego frontu okupacja Szwajcarii może nastąpić lada moment. U granic Szwajcarii pojawiły się silne ugrupowania armii niemieckiej. Czujność wywiadu szwajcarskiego nieporównanie wzrosła. Należało więc pilnie uważać, aby niczym nie zdradzić działalności siatki. Zalecenie „Dyrektora" na wypadek okupacji przewidywało natychmiastowe przejście całej grupy do podziemia. Mijały tygodnie, a napięta sytuacja wciąż się utrzymywała. Armia szwajcarska, podobnie jak w 1939 roku, zaczęła przeprowadzać mobilizację. Między innymi do wojska został powołany „Pakbo", w związku z czym urwał się kontakt z najlepszymi informatorami sekcji jak: „Long", „Salter", „Luiza", i „Agnes". Na szczęście trwało to niezbyt długo. Wkrótce „Pakbo" udało się wrócić do Berna, jako że duży kontyngent rezerwistów został zwolniony do cywila, zaś groźba niemieckiej okupacji zaczęła się z wolna rozwiewać. Sytuacja powróciła do normy. Mimo to obawy przed możliwością agresji ze strony Niemiec utrzymywały się do samego końca wojny.

Ale oto we **wrześniu 1942 roku**

Foto: Archiwum

znów miało miejsce zdarzenie, które mogło mieć bardzo poważne następstwa dla działalności sekcji Rado. Pewnego wrześniowego wieczora policja szwajcarska otoczyła dom Hamelów, przeprowadziła rewizję sklepu i ich mieszkania oraz aresztowała „Edwarda". O całej akcji policji Rado został natychmiast poinformowany przez Olgę Hamel na spotkaniu w jednym z podgenewskich miasteczek. Z jej relacji akcja przebiegła następująco:

Zbliżała się właśnie godzina 22, nadchodziła więc codzienna pora nadawania meldunków do Centrali. W chwili, gdy „Edward" podłączył antenę do radiostacji, na parterze, w sklepie, Hamelowie usłyszeli dziwny szum, a zaraz potem ciężkie uderzenie w drzwi frontowe, zamknięte na klucz i żelazną zasuwę. Małżonkowie natychmiast zrozumieli w czym rzecz. **To była policja. Pierwsza oprzytomniała „Maud".** Chwyciła leżące na stole kartki z zaszyfrowanymi meldunkami i rzuciła je do pieca w kuchni. Następnie wziąwszy aparat nadawczo-odbiorczy zbiegła po schodach przez tylne wyjście do piwnicy, gdzie ukryła go w przygotowanej zawczasu jamie, zasypując ją ziemią. Zasuwy i zamek drzwi frontowych domu wytrzymały uderzenia łomów przez tych kilka minut, w czasie których Olga usuwała dowody rzeczowe. Zdążyła wrócić do mieszkania, gdy na schodach prowadzących na górę rozległ się już tupot policyjnych butów. W chwilę później policjanci byli przy drzwiach mieszkania Hamelów. Odepchnąwszy Edmonda, który otworzył im drzwi, wpadli do pokoju. Dokładnie przeszukali cały dom, jednak aparatu schowanego przez Olgę w piwnicy nie znaleźli. Zamiast niego wykryli natomiast pod płytkami parkietu zapasową radiostację, którą wolnym czasem „Edward" składał z różnych części. Na szczęście montażu nie ukończył, a wielu istotnych elementów brakowało. Poza tym, celem zamaskowania, „Edward" wmontował krótkofalówkę w korpus aparatu do naświetlań leczniczych. Oscylator i aparat nadawczy są właściwie urządzeniami bardzo podobnymi, a ponieważ stacja nie miała klucza telegraficznego, trudno było nawet specjalistom wzajemnie je odróżnić. „Edward" twierdził, że przechodził chorobę, której leczenie wymagało naświetlań, a ponieważ nie stać go było na dokonywanie odpowiednich zabiegów u lekarza, sam zbudował sobie potrzebną aparaturę. Na dowód przedstawił zaświadczenia lekarskie o przebytej chorobie. Mimo oto policjanci aresztowali Edmonda Hamela i wraz z radiostacją zabrali na komendę. Po kilku dniach wypuszczono go, bowiem jego zeznania potwierdzili eksperci wezwani przez policję. Ich opinia przechyliła szalę na korzyść Hamela. Przy tym podczas śledztwa „Edward" zorientował się, że celem rewizji w jego domu nie było poszukiwanie radiostacji, ale zakazanej literatury. Otóż krótko przedtem policja aresztowała brata Edmonda Hamela za przewożenie do nielegalnie zajmowanego mieszkania literatury socjalistycznej. Człowiek ten nie miał zresztą żadnych powiązań z grupą Rado a „Edward" nie zajmował się zupełnie podziemną robotą partyjną. Jednak aresztowanie brata od razu pociągnęło za sobą rewizję w domu Hamelów.

Najwidoczniej do tego momentu szwajcarskie stacje pelengacyjne jeszcze nie zlokalizowały radiostacji w Genewie. Było ich zresztą mało a głównym zadaniem w tym okresie było śledzenie niemieckich samolotów, kiedy te naruszały obszar powietrzny Szwajcarii. Mimo to wypadek z „Edwardem" zwracał na niego baczniejszą uwagę policji i trzeba to było uwzględnić w dalszej pracy grupy „Dory".

Praca ta stawała się zresztą coraz trudniejsza i coraz bardziej niebezpieczna. Co najgorsze — sam Rado i jego sekcja nie zdawali sobie zupełnie z tego sprawy. Dopiero po długim czasie okazało się, co było przyczyną coraz częstszych niepowodzeń w działalności grupy. Jak pamiętamy, **jesienią 1942 roku,** do pracy przy obsłudze stacji nadawczych przybyła nowa radiotelegrafistka „Róża". Po odbyciu niezbędnego przeszkolenia rozpoczęła pracę w Genewie. Szło jej nieźle. Dziewczyna była pojętna, a w pracy dokładna, nigdy nie zauważono, żeby naruszyła zasady konspiracji. A mimo wszystko właśnie ona ściągnęła na grupę największe niebezpieczeństwo.

„Róża" zaznajomiła się bowiem u fryzjera z niejakim Hansem Petersem. Był to młody, przystojny Niemiec, od dawna mieszkający w Szwajcarii. Ów fryzjer zadał sobie niemało trudu, aby zwrócić na siebie uwagę dziewczyny. W końcu mu się to udało. Zaczęli się spotykać. Niemiec powiedział „Róży", iż jest członkiem grupy ruchu oporu, zdeklarowanym antyfaszystą, a z przekonań nawet komunistą. Spotkania stały się coraz częstsze i odbywały się zarówno u niej w domu, jak i u niego, „Róża" bowiem szybko zakochała się w przystojnym fryzjerze. O swych kontaktach z Niemcem nie poinformowała ani „Dory", ani nikogo z pozostałych osób, z którymi utrzymywała łączność. Po wojnie okazało się, że ów Niemiec był stałym współpracownikiem wywiadu niemieckiego i konfidentem gestapo. Dzięki swemu kontaktowi z „Różą", nie przeczuwającą, że ma do czynienia z agentem wywiadu, uzyskał informacje odnośnie pracy jej radiostacji, samego Rado i „Leny" a także poznał prawdziwe nazwiska „Jima".

Gdyby wówczas w porę zorientowano się, być może dałoby się jeszcze zachować bezpieczeństwo organizacji — można było przerwać kontakty z „Różą", przesunąć część członków grupy do podziemia, zmienić lokale i pory nadawania. A tak, wskutek fatalnej pomyłki „Róży" nikt nawet nie domyślał się, z której strony zbliżał się wróg. Tymczasem był on już bardzo blisko.

Opracował: A. B.

MAGAZYN

ODGŁOSY

KRYSTYNA PIETRANEK

EDYTA PIECHA i „Drużba"

Lubią ją, bo łatwo zyskuje przyjaciół, mówią o niej, bo nikogo nie pozostawia obojętnym na swoją sztukę. Koncertowała we wszystkich republikach radzieckich, występowała na wielu estradach światowych. Jeszcze od czasu do czasu ktoś wspomni o tym, jak 17 lat temu wychodziła na scenę w obszernym swetrze z grubej wełny (ten akcent stroju charakteryzował zresztą nie tylko jej teatralną, ale i codzienną garderobę) i zaczynała radośnie śpiewać niezbyt dokładnie podając przy tym rosyjskie słowa.

Wyjechała z Polski do Leningradu, aby studiować na wydziale filozoficznym tamtejszego Uniwersytetu. Nie miała wówczas najmniejszego pojęcia o estradzie, nie potrafiła czytać nut i zachować się na scenie. Nie miała nic oprócz młodzieńczego entuzjazmu i nieprawdopodobnej wręcz chęci, by pełnym głosem opowiadać całemu światu o tym, jak jest szczęśliwa. Można powiedzieć, że los Edycie sprzyjał. Od razu nawiązała współpracę ze zdolnymi muzykami, profesjonalistami, prowadzonymi przez Aleksandra Broniewickiego (męża Edyty), który kończył w tym czasie Konserwatorium jednocześnie na dwóch wydziałach: dyrygenturze chóralnej i kompozycji. Zespół „Drużba" — bo o nim to właśnie mowa — powstał w murach Konserwatorium Leningradzkiego. Pierwszy sukces zespół osiągnął w 1957 roku, kiedy został laureatem VI Wszechzwiązkowego Festiwalu Młodzieży i Studentów. Każdy z członków tej grupy jest najwyższej klasy solistą instrumentalistą i wokalistą występującym solo w programach zespołu. „Drużba" jest swojego rodzaju „laboratorium" pieśni, gdzie ciągle opracowuje się nie tylko nowe środki wyrazu, ale i sposoby teatralizacji.

Dla Edyty Piechy „Drużba" była właśnie tą szkołą, gdzie nauczyła się śpiewać i poznała złożoną specyfikę estrady. Sukcesami dzielą się sprawiedliwie. Trudno sobie dzisiaj wyobrazić zarówno „Drużbę" bez E. Piechy, jak i E. Piechę bez zespołu „Drużba".

W latach 60 wykonywali w Polsce znane nam wszystkim piosenki takie jak na przykład „Czerwony autobus" „Gitara miłości", czy „Piosenka o kasztanach". Wtedy to poznaliśmy nową Edytę Piechę; nie zadziorną, wesołą dziewczynę, a wielką artystkę, która językiem pieśni prowadzi swój dialog ze słuchaczami.

Edyta posiadła rzadką umiejętność mówienia skromnie o wielkiej miłości, powściągliwie i surowo o smutku. Zawsze starała się przekazać swoim odbiorcom coś ważnego. **„Kiedy wychodzę na scenę — mówi Edyta — chcę jak najszybciej do serc ludzi poprowadzić ścieżkę, która nazywa się wzajemnym porozumieniem. Dlatego śpiewam tylko o tym, co im bliskie, co przeżywają, co ich niepokoi. Jestem szczęśliwa, że mogę rozmawiać ze swoją publicznością nie tylko o sprawach miłych, ale także i drażliwych, bolesnych. Nie od razu znalazłam swoją piosenkę, swój obywatelski temat... Ale kiedy go odkryłam stał się dla mnie sprawą nadrzędną — moim życiem w sztuce".**

Pamiętamy jak brzmiał głos artystki kiedy wykonywała piosenkę Władysława Uspieńskiego ze słowami Leonida Paleja o matce, której faszyści zamordowali syna. Chłodno i beznamiętnie powtarza w niej: „Następny", „następny"... Pokojowi znowu grozi niebezpieczeństwo i „jeśli nie będziesz o tym pamiętał, tym następnym będziesz ty".

Takich pieśni (Edyta nazywa je „pieśniami walki i zwycięstwa") jest w jej repertuarze niemało.

Znamy „Ogromne morze" Oskara Felcmana napisane do wiersza Roberta Rożdżestwieńskiego, „Nigdy" (także Felcmana) i francuską piosenkę „Ci z Warszawy".

„Prawdziwa sztuka wyklucza wojnę, całkowicie się jej przeciwstawia — powiedziała kiedyś Edyta. Sztuka jest życiem, wojna śmiercią. W języku pieśni trzeba umieścić tych, którzy usiłują siać łzy, smutek i śmierć".

— Edyta nie chce wyłącznie bawić swoich słuchaczy, chce ich uwrażliwić na wszystko, co się wokół dzieje, a jednocześnie chce ich podnieść ponad powszednie troski. Wsłuchuje się w publiczność, ale zawsze stara się być choć odrobinę przed nimi, by nie powtarzać się, odkrywać coraz to nowe sprawy, które sama głęboko odczuła, przemyślała i przeżyła.

Oczywiście wcale nie ukrywa swojej zależności od tych, dla których śpiewa. „W tym, żeby być potrzebną ludziom, widzę wypełnienie swojego obywatelskiego długu. To, co mnie cieszy, cieszy wszystkich. Kiedy byłam dzieckiem i śpiewałam w domu, nie słyszana przez nikogo — okropnie płakałam, ponieważ wydawało mi się, że jestem nikomu na świecie niepotrzebna. Sztuka istnieje dla ludzi i nie ma większej tragedii dla artysty, niż okazać się zbędnym tym, dla których się tworzy."

Edyta nieprzerwanie szuka nowych sposobów wyrażenia tej skomplikowanej gamy uczuć, jakimi nasiąknięta jest jej interpretacja. Dlatego każda jej nowa płyta czy nagranie, każdy nowy występ niepodobny jest do poprzednich.

Edyta znakomicie rozumie, że imitować samą siebie jest tak samo niebezpiecznie, jak wzorować się na innych. Dlatego tak ważną rolę odgrywa w jej śpiewie improwizacja, która czyni każdy występ piosenkarski artystyczną niespodzianką.

Szczególną zasługą Edyty jest popularyzowanie charakterystycznej dla tego kraju pieśni-ballady.

Razem z Aleksandrem Broniewickim stworzyli kilkadziesiąt pieśni w tym stylu w oparciu o autentyczne, poetyckie teksty L. Oszanina („To znaczy miłość"), R. Rożdżestwieńskiego („Obłoki"), L. Paleja („Żegnaj"), S. Fogielsona („Ja kocham") i innych. Mimo to ciągle nie starcza jej pieśni, ciągle marzy o nowym repertuarze.

Płyta „Edyta Piecha i „Drużba", którą polecamy uwadze Czytelników, zawiera właściwie wszystkie gatunki pieśni, jakie Edyta zdążyła dotąd wyśpiewać: od lirycznej, poetyckiej ballady o urodzie „Brzozowego kraju", poprzez pieśni o romantyce bohaterskich czynów do pieśni traktującej o problemach współczesnego człowieka i światowych szlagierów takich jak: „Paryskie tango" wykonuje je w języku niemieckim), francuski przebój Marii Laforet „Viens, Viens". („Chodź, chodź") i kubańska „La patea".

Foto: Archiwum

ŚLADAMI DAWNEJ ŁODZI

„PARADYZ"

W zeszłowiecznej Łodzi niemal przy każdej restauracji znajdował się większy lub mniejszy ogródek „piwny". Urządzenie takiego ogródka było proste: kilka stolików i krzeseł ustawionych pod drzewami, kręgielnia i podłoga do tańca, a niekiedy też mała scenka, na której od czasu do czasu popisywali się wędrowni muzykanci i aktorzy.

Najstarszy i zarazem najpopularniejszy ogródek „piwny" powstał w 1827 roku przy ul. Piotrkowskiej nr 175. W owym czasie władze miejskie przydzieliły oberżyście Janowi Adamowskiemu trzy zalesione działki, sięgające aż do ulicy Wólczańskiej, na których wymieniony zobowiązał się wybudować dom zajezdny i urządzić ogród publiczny. W 1829 roku stanął przy Piotrkowskiej murowany, parterowy budynek zajazdu, który z pewnymi zmianami przetrwał do dnia dzisiejszego. Założony na tyłach posesji ogród spacerowy Adamowski nazwał „Paradyzem" (Raj).

W głębi owego „raju", liczącego ponad 1300 drzew, znajdowało się kilka sadzawek, wiele altan i innych zabudowań. W lecie „Paradyz" przyciągał publiczność łódzką barwnością kwiatów, cienistością alejek oraz perspektywą tańców. Odbywały się tu wielkie zabawy ogrodowe. Do tańca przygrywała orkiestra wojskowa. Wieczorem wśród drzew zapalano kolorowe lampiony chińskie. Strzelające w niebo ognie bengalskie wywoływały zachwyt publiczności.

W czasie zimy zabawy przenoszono do obszernej sali zajazdu. Na hucznych balach karnawałowych w „Paradyzie" spotykała się elita miejscowego społeczeństwa. W sali zajazdu odbywały się też koncerty miejscowych zespołów muzycznych.

W 1846 r. przemysłowiec łódzki, Ludwik Geyer, zbudował w ogrodzie „Paradyzu" pierwszą w mieście salę widowiskową przeznaczoną w zasadzie na popisy chóru męskiego, którego był prezesem. Salę tę wykorzystywano także na przedstawienia teatralne. Mieściła się ona w niedużym budynku, wzniesionym „z jednej strony w pruski mur, z innych — z bali". Słynny aktor murzyński, Ira Aldridge, który w 1867 r. przybył na występy do Łodzi, o pierwszej scenie łódzkiej wyraził się dość pochlebnie: „Teatr nie jest duży, ale dobrze wyposażony i czysty."

Zamieszczone obok zdjęcie przedstawia wygląd teatrzyku na początku naszego stulecia. W wyższym budynku mieściła się sala teatralna, w niższym zaś garderoby.

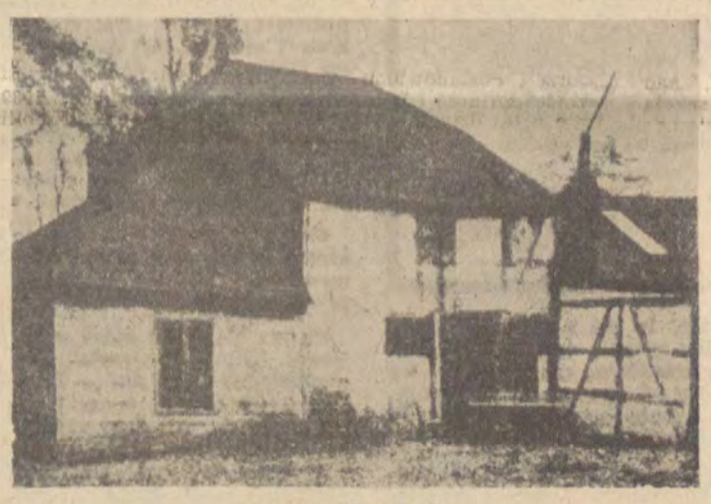

Teatrzyk „Paradyz"

W „Paradyzie" dawano przedstawienia polskie i niemieckie, początkowo amatorskie, później zaś teatrów zawodowych. W 1854 r. występowała tu trupa L. Rembeckiej, następnie zespół J. Barańskiego, J. Pfeiffra i innych.

Z długoletniej historii teatrzyku „Paradyz" warto odnotować, że w 1873 r. odbyła się tutaj prapremiera operetki J. Offenbacha „Piękna Helena", wystawionej przez zespół Anastazego Trapszy w niecodziennej obsadzie z Adolfiną Zimajer, Łucją Micińską i Rufinem Morozowiczem.

Po 1905 r. w budynku dawnego zajazdu ulokował się związek włókniarzy „Jedność", zaś mocno już podniszczony teatrzyk wzięło w swoje posiadanie istniejące przy wymienionym związku Koło Dramatyczne, które pod kierunkiem Wł. Głogiera dawało w nim przedstawienia dla robotników.

W ogrodzie „Paradyzu" odbywały się zabawy ludowe, organizowane przez „Jedność".

W „Tygodniku Ilustrowanym" z 1911 r. zamieszczono podzwonne dla scenki w „Paradyzie": „Dziś jest to rudera, zapadająca się w ziemię, zajęta na skład mebli. Na okrągłym niskim suficie znać jeszcze ślady jakichś fresków, zapewne przez malarza pokojowego robionych. Obecnie na zwaliskach pierwszego teatru polskiego powstanie gmach".

I rzeczywiście. W 1913 r. wystawiono na tym miejscu okazały budynek mieszkalny. Z dawnego ogrodu pozostały zaledwie mizerne resztki w postaci starego dębu i paru innych drzew zachowanych na zieleńcu od strony Alei Kościuszki.

WACŁAW PAWLAK

ART BUCHWALD

PONAD PRAWEM

Pewnego wieczora wracając do domu zauważyłem na swojej werandzie osobnika, który otwierał moje listy.

— Hej, co pan robi, u diaska!? — krzyknąłem oburzony.

Podsunął mi jakąś blaszkę.

— Jestem funkcjonariuszem CIA. Kontroluję, czy nie otrzymuje pan korespondencji zza „żelaznej kurtyny".

— To nie upoważnia pana do nielegalnego otwierania listów!

— W tym zawodzie, niestety, często trzeba łamać przepisy, aby ochronić prawa i demokrację — westchnął.

— Nie jest to argument, aby czytać, co do mnie pisze teściowa.

Łagodnie się uśmiechnął.

— Wszyscy agenci wroga twierdzą, że korespondują wyłącznie z teściowymi.

— Narusza pan moje konstytucyjne prawa!

— Gdyby nie nasza czujność, wszystkie prawa obywatelskie dawno byłyby brutalnie podeptane. Jak długo przetrwałaby obecna forma liberalnych rządów, gdybyśmy nie łamali praw w imię ochrony demokracji?

W tym momencie przed moim domem zatrzymał się człowiek z długą drabiną.

— Czemu pan grzebie przy mojej furtce? — zdenerwowałem się.

Natręt wydobył z portfela zaświadczenie i przedstawił się:

— Jestem funkcjonariuszem FBI.

— Jestem tu wydelegowany z misją dotarcia do pańskiego domu i stwierdzenia, czy nie zamierza pan obalić rządu.

— Czy ma pan zezwolenie na poddanie mnie inwigilacji?

Wywiadowca FBI smutno westchnął:

— Niestety, nie, i dlatego muszę to robić ukradkiem.

— A kto udzielił panu prawa, aby włamywać się do mnie? — nie ustępowałem.

— Nasz szef zadecydował, że prawo jest zbyt liberalne, wobec elementów wywrotowych.

Wspinając się po drabinie wyjaśnił z powagą:

— W tym kraju nigdy nie byłoby porządku i demokracji, gdybyśmy nie łamali prawa.

Wówczas pod moim domem zatrzymał się wojskowy samochód, z którego wyskoczył pułkownik.

— Hallo, dobrze, że zastałem pana — rzekł potrząsając moją dłonią. — Przeprowadzamy w tym rejonie mały eksperyment i chciałbym wiedzieć, czy miałby pan ochotę pomóc krajowi.

— Czego pan po mnie oczekuje, panie pułkowniku?

— Niczego nadzwyczajnego. Prosiłbym jedynie o spożycie kostki cukru, którą panu dam.

— A co w niej jest? — zaciekawiłem się.

— Tego nie mogę powiedzieć. Doświadczenie nie udałoby się. Mogę jedynie zapewnić, że wyniki tego eksperymentu pomogą ocalić naszą wspaniałą ojczyznę.

Już tak dalece miałem dosyć przeciągających się dyskusji, że sam zaproponowałem:

— Chętnie wezmę udział w pańskich badaniach, pułkowniku, jeżeli otrzymam ochronę przed agentami FBI i CIA.

Oficer uśmiechnął się:

— To nie jest wykluczone. Oczywiście, po spożyciu przez pana tej kostki cukru. Choć osobiście sądzę, że wtedy już będzie to panu obojętne.

DZIWNE, CIEKAWE.

Drzewa — matuzalemy

W krainie flory istnieją weterani, liczący wiele tysięcy lat: drzewa olbrzymy, które — mówiąc obrazowo — przeżyły wraz z człowiekiem historię jego rodu.

Za najstarsze drzewo ziemi uchodz powszechnie pewien gatunek cyprysu (Taxodium mexicanicum), wysokości 45 m., rosnące na cmentarzu Santa Maria del Thulle, w małej meksykańskiej wiosce na drodze Oaxaca do Tehuantepec. Wysokość drzewa, zwanego przez tubylców „cyprysem Montezumy" nie budzi zdumienia. Natomiast bardzo imponujące są rozmiary jego korony i owalnego pnia, który, wznosząc się na 3 m nad ziemią, posiada obwód 54 m. Niezliczone pasożytnicze rośliny wspinają się aż na sam szczyt olbrzyma i karmią się jego sokami. Tworzą one jak gdyby roślinność w roślinności. Korona drzewa zdaje się być małym lasem, jej splątane pomiędzy sobą gałęzie czynią wrażenie istnej dżungli.

W jakiej epoce olbrzym ten rozpoczął swe istnienie, trudno stwierdzić. Z rozmiarów niezwykle guzowatego pnia, przyrodnik Candell ocenił wiek jego na 6 tys. lat, natomiast znany przyrodnik, geograf i podróżnik niemiecki A. Humboldt przypisuje mu tylko 4 tys. lat. W każdym razie cyprys meksykański stał u kolebki i u schyłku wszystkich znanych nam cywilizacji. Dzieciństwo swe przeżywał w czasie powstania piramid, wiek męski w okresie upadku Rzymu. Jako pomnik zamierzchłych czasów, czczony jest przez lud meksykański i otaczany szczególną opieką.

Istnieje poza tym na ziemi sporo jeszcze drzew równego niemal wieku. Tak np. na Teneryfie, w ogrodzie Casa Franchi, znajduje się drzewo smocze (Dracaena Draco), czczone niemal jak święte, któremu legenda również przypisuje 6 tys. lat.

Pomiędzy świerkami mamutowymi (Sequoia gigantea) w Kalifornii, stwierdzono na pniach ściętych okazy, mające 3 tys. kręgów rocznych, podczas gdy największe z istniejących jeszcze drzew mamutowych „Generał Sherman" w Kings River Hain, dochodzące do 112 m wysokości i 10,5 m średnicy, oceniono na 2 tys. lat.

Europa poszczycić się może również bardzo starymi drzewami. Najstarszym z nich jest cis pod Hennersdorfem na Górnych Łużycach. Drzewo to wznosi się w zachodniej części szeroko rozłożonej wsi. Wysokie na 11 m ma objętość pnia 5-metrową. Pomimo tej stosunkowo nieznacznej grubości, wiek jego oceniany jest na przeszło 1400 lat, gdyż cis w przeciwieństwie do innych drzew wykazuje na ogół niezwykle słaby wzrost wszerz.

Na Syberii w okolicy Omska znajdują się jedyne w świecie okazy brzozy czarnej, pochodzącej rzekomo jeszcze z epoki przedlodowcowej. Wyroby z tego drzewa spotyka się bardzo często w starożytnych wykopaliskach Dalekiego Wschodu.

Za najstarsze drzewo w Polsce uważana jest lipa we wsi Piotrowin w pow. puławskim. Pochodzi ona z czasów Bolesława Śmiałego i należała wraz z okolicznymi polami i wsiami do biskupa Stanisława Szczepanowskiego. W nieznanych bliżej okolicznościach biskup wyrwał lipę jako młode drzewko i zasadził je korzeniami do góry. Istotnie pokręcone gałęzie przypominają do złudzenia rozłożyste korzenie drzewa.

F. L.

MAGAZYN

ODGŁOSY

Fot: J. Wróbel

Sto wcieleń Andrzeja Dyszaka

Sto — to może lekka przesada, ale ma Andrzej Dyszak na swoim koncie kilkadziesiąt udatnie sparodiowanych postaci. A dzięki inwencji i umiejętnościom zalicza się obecnie tego młodego, bo zaledwie dwudziestokilkuletniego, artystę do czołówki parodystów w naszym kraju.

Droga Dyszaka do uprawianego przez niego aktualnie gatunku sztuki estradowej wiodła poprzez piosenkę: w końcu lat pięćdziesiątych, jeszcze jako uczeń szkoły podstawowej, śpiewał on w chórze chłopięcym Pałacu Młodzieży w Katowicach. Później próbował swych sił jako piosenkarz-solista, biorąc udział w wielu przeglądach i konkursach dla amatorów. Wówczas to — na zasadzie eksperymentu — wprowadził do swego repertuaru kilka elementów naśladownictwa w stosunku do innych, już znanych artystów. I w ten właśnie sposób odkrył swoje zdolności parodystyczne.

Z uwagi na te predyspozycje, już jako parodysta, rozpoczął współpracę z Wojewódzką Agencją Imprez Artystycznych w Katowicach (1969). Szereg występów na krajowych estradach przyniósł mu sporo doświadczeń i przyczynił się do dalszego rozwoju jego estradowego talentu. Następnie pracował przez prawie rok pod egidą łódzkiego Stowarzyszenia Muzyki Estradowej (występował wówczas we wspólnym programie m. in. z Zofią i Zbigniewem Framerami). Warto dodać, że od trzech lat Andrzej Dyszak mieszka na stałe w Łodzi, dokąd przeniósł się ze Śląska.

Ważnym etapem pracy artystycznej Dyszaka były występy w poszczególnych programach „Podwieczorku przy mikrofonie". Udział w tej audycji stał się debiutem tego parodysty na ogólnopolskiej antenie radiowej. Wielokrotnie prezentował także swój kunszt naśladowniczy w „Zgaduj-Zgaduli". Tuż po debiucie radiowym, również w 1972 roku, przyszedł pierwszy występ w programie telewizyjnym, w którym widzieliśmy Dyszaka od tego czasu wielokrotnie.

Gwoli informacji, dodajmy, iż Andrzej Dyszak znany jest nie tylko naszej rodzimej publiczności, ale także widzom zagranicznym, bowiem wyjeżdżał ze swymi propozycjami estradowymi do Jugosławii i NRD, a z „Podwieczorkiem przy mikrofonie" — także do Francji.

Galeria parodiowanych piosenkarzy, aktorów, prezenterów, itd. liczy — jak napisałem — kilkadziesiąt osób. Pierwszą spośród tych postaci, „wziętą na warsztat" przez Dyszaka, był nestor polskiej piosenki — Mieczysław Fogg, a w dalszej kolejności: Mieczysław Wojnicki, Maciej Kossowski i wielu, wielu innych. Ponieważ A. Dyszak dysponuje trzyoktawową rozpiętością głosu, bardzo lubi parodiować piosenkarki i piosenkarzy określanych mianem „dużych głosów": Karela Gotta, Zdzisławę Sośnicką, Toma Jonesa, Jerzego Połomskiego...

Jak powiedział mi Dyszak w niedawnej rozmowie, praca parodysty jest — wbrew pozorom — bardzo trudnym zajęciem. Od momentu wykrycia pewnej „charakterystyczności" w barwie czyjegoś głosu, upływa nieraz od kilku tygodni do (aż!) kilkunastu miesięcy pracy, nim parodia uzyska swój ostateczny kształt. A praca ta jest istotnie mrówczą i wymaga benedyktyńskiej wprost cierpliwości.

Równocześnie — jak stwierdził Andrzej Dyszak — jego działalność estradowa niewielką przynosi mu satysfakcję, gdyż blok parodysty w jakiejkolwiek składance estradowej jest zbyt krótki i niewłaściwie traktowany przez realizatorów imprezy (chodzi tu N tylko o uzupełnienie liczby osób śpiewających przez tę nieśpiewającą, co w poważnym stopniu dyskredytuje pracę parodysty czy imitatora), by można w nim było zaprezentować swe możliwości. Jedyną szansą przywrócenia rangi sztuce parodystycznej byłoby — wzorem Zachodu — przygotowanie telewizyjnego show, którego fragmenty można by prezentować na koncertach. Właśnie opracowanie scenariusza takiego programu (A. Dyszak wygłaszane przez siebie humorystyczne teksty pisze zazwyczaj sam) jest jednym z planów tego artysty. Jednak jego realizacja tkwi pod znakiem zapytania — tym bardziej, że Dyszak, podobnie jak inni artyści estrady, pozbawiony jest opieki impresaryjnej.

Jedyną rekompensatą za to wszystko, jest zawsze gorące przyjęcie ze strony widowni dla produkcji naszego parodysty. Obecnie występuje on w programie pod nazwą „Łódzka katarynka", działającym na zasadzie współpracy z „Estradą Łódzką". Andrzej Dyszak — współpracujący z tym przedsiębiorstwem od stycznia br. — z zadowoleniem dodaje, że nowa dyrekcja naszej „Estrady" zapewniła „Łódzkiej katarynce" prawidłowe działanie, podczas gdy poprzednio odczuwało się brak kurateli artystycznej.

Sympatycznemu parodyście, znajdującemu się na drodze ku dalszemu rozkwitowi estradowej kariery — życzyć należy wielu znaczących osiągnięć i sukcesów.

KRYSTIAN DREWISZ

CZAS SIĘ UBRAĆ

Fot. Archiwum

JERZY WILMAŃSKI

Niemen czyli niedźwiedzia przysługa

Oglądając program „Sto pytań do Czesława Niemena", uderzyło mnie raz jeszcze, jak wielu przyjaciół ma Niemen. I jak bardzo owi przyjaciele go krzywdzą. Kiedyś Marek Sewen napisał o nim książeczkę. Rzecz tę powszechnie wyśmiano. Była to w ogóle ciekawa sprawa. Książeczkę o wybitnym muzyku i piosenkarzu napisał bardzo dobry kompozytor. I rzecz nie wyszła. A przecież Sewen chciał dobrze i na owe „dobrze" zasługiwał Niemen.

Podobnie z telewizją. Przez całe lata nie wykonuje się w TV kompozycji Niemena — przez całe lata nie widzimy piosenkarza na szklanym ekranie. I wreszcie coś się przełamuje, wreszcie Niemen jest! Ale nie śpiewa, tylko jest poddany egzaminowi.

Przypadek czy złośliwość? Bo przecież artysta jest fachowcem w swojej branży, ale nie posiada ani zdolności błyskotliwej riposty, ani nie buduje zgrabnych zdań, nie jest mówcą wybitnym...

Więc oczywiście wypada źle. Znów mu ktoś podłożył świnię?

No i Niemen omdlewającym głosem odpowiada na grzeczne, taktowne pytania areopagu egzaminatorów. Mówi, że „nie chce wyjść na głupka", mówi, że młodzi piosenkarze mają „chęć być pupularnym", recytuje sztucznie i nienaturalnie napisany przez Józefa Prutkowskiego mało dowcipny dialog... Słowem — nie wychodzi na causera.

Nie potrafi odpowiedzieć (trema?) na pytanie o najpopularniejszy jego zdaniem motyw muzyczny oświadcza, że „lubowałem się krzyknąć sobie"... Na pytanie o upodobania plastyczne nie potrafi nic powiedzieć ponad to, że ceni „każdy typ malarstwa" i że sam projektuje okładki do własnych płyt. I wreszcie na koniec wypowiada brednię w rodzaju: „nie interesuje mnie muzyka polska, bo bronię się w ten sposób przed nacjonalizmem".

Łagodni egzaminatorzy uznają, że na postawione przez nich pytania odpowiedzi zostały udzielone, choć Niemen jak mógł od odpowiedzi się wykręcał, bądź po prostu nie umiał odpowiedzieć.

Wreszcie program się kończy, Niemen prezentuje swój najnowszy utwór „Epitafium".

I raptem niezorientowany telewidz orientuje się, że ma przed sobą artystę dużego formatu, że ta szopka, na którą Niemen się zgodził, nie ma żadnego znaczenia wobec talentu artysty, wobec jego wstrząsającej muzyki i możliwości wokalnych.

Ale, wobec tego pytam: po co była ta szopka? Co autorzy programu chcieli udowodnić? Chcieli Niemena ośmieszyć? W dużym stopniu się to udało, ponieważ Niemen jest muzykiem i muzyka jest jego mocną stroną, a nie dowcipuszki, anegdotki i zgrabne, okrągłe zdania. Niemen mówi kulawo i, czasem śmiesznie, ale przecież jego zawodem nie jest telewizyjna gawęda, lecz muzyka. Więc po co to wszystko?

Czy nie lepiej było dać po prostu w telewizji recital Niemena, zamiast robić zabawę w przesłuchanie?

Po raz nie wiem który przyjaciele Niemena wyrządzili mu niedźwiedzią przysługę. Telewizja odfajkowała temat i teraz znów na całe lata zapomni o piosenkarzu, który naprawdę jest gwiazdą pierwszej wielkości w dziedzinie muzyki estradowej.

Czesław Niemen ma wielu przeciwników, ale tym bardziej powinien pamiętać o starym powiedzonku: „Wystrzegaj się przyjaciół, bo z wrogami sam sobie dasz radę".

POWIĘKSZENIA

SKOJARZENIE

Jerzy Waldorff pisze w „Polityce" o swoich skojarzeniach na temat hotelu **„Forum": „hotel ten (...) z zewnątrz przypomina phallus olbrzyma leżącego w poprzek miasta".**

Przypomina nam się anegdotka o rekrucie, któremu się wszystko kojarzyło z czterema literami. Ciekawe z czym kojarzy się Jerzemu Waldorffowi tunel na trasie W—Z?

MUZYKA I SPORT

Najgłośniejszą pianistką IX Międzynarodowego Konkursu im. F. Chopina była chyba Elżbieta Tarnawska. Nie było krytyka, który by o niej nie pisał. Oceny stawiano od zera do dziesięciu. Po zakończeniu konkursu pisano:

Lucjan Kydryński w „Przekroju": **„Pięknie wykonała Polonezа Fantazję, pięknie zagrała mazurki, Scherzo h-moll".**

W trakcie konkursu natomiast Tarnawska była obiektem pogróżek, anonimowych telefonów i tym podobnych ekscesów części publiczności.

W efekcie pianistka załamała się nerwowo i nie wystąpiła w finale. Okazuje się, że sportowe traktowanie sztuki przynosi sportowe efekty. Przecież Dejna też się załamał nerwowo po otrzymaniu czerwonej kartki. Istnieje tylko drobna różnica — Elżbieta Tarnawska jest kobietą, artystką i — przede wszystkim miała powody.

TAKT REPORTERA

Reporter „Dziennika Popularnego" kreśli sylwetkę działacza kultury z Siemkowic. Słuchając planów rozwoju Gminnego Ośrodka Kultury, reporter notuje kulturalną uwagę: **„Słucham, patrząc równocześnie na jego ruchliwą twarz i myślę: „człowieku, ty jednak nie masz wszystkich w domu".**

Interesuje nas bardzo sytuacja domowa reportera.

OPOWIEŚCI NIEPRAWDZIWE

Rysował JACEK BROMSKI

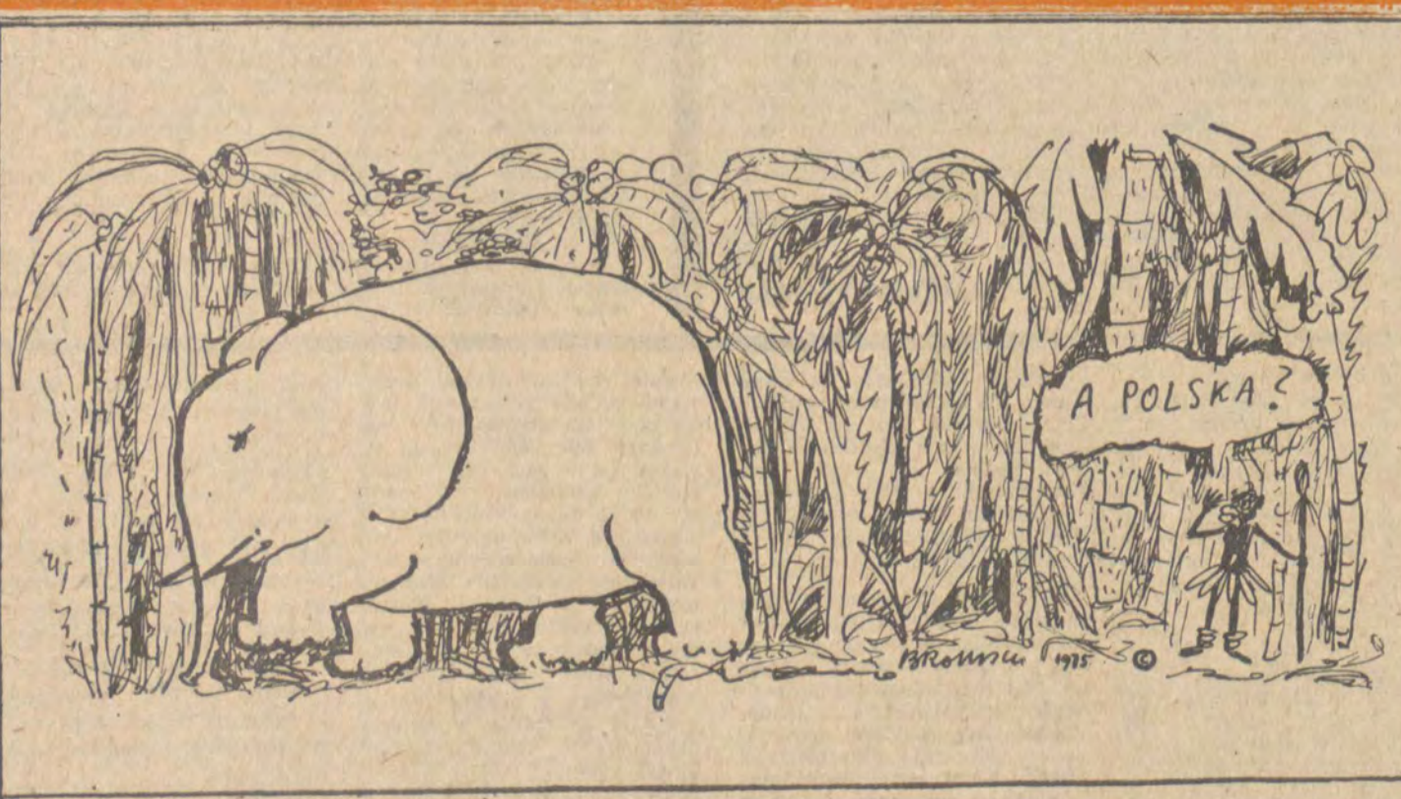

MAŁE KINO

TROSKI NAUKOWCÓW

Filmowi naukowcy anglosascy wydali orędzie, w którym wyrażają wspólne zaniepokojenie sytuacją w filmowym przemyśle pornograficznym. Nieuczciwi producenci, chcąc zwabić publiczność, przemycają w filmach pornograficznych postępowe idee ogólnoludzkie. Naukowcy obawiają się, iż w tej sytuacji, po pewnym czasie, u szarego widza niektóre wzniosłe pojęcia, jak np. „ludzkość" czy „Braterstwo" mogą zacząć kojarzyć się z dwuznacznymi organami budowy człowieka.

TRZY MAJMY PALCE!

W całej dosłownie Japonii, przy budkach z piwem i w kolejkach po mięso, rozprawia się żywo o podjętej ostatnio śmiałej decyzji. Chodzi tu oczywiście o adaptację polskiej śpiewogry pt. „Krakowiacy i Górale", która z wielką pieczołowitością wykonuje kinematografia japońska. Rozmach przedsięwzięcia już dzisiaj pozwala stwierdzić, że pewno nie jedno skośne oko zbieleje. W roli Krakowiaków wystąpią naturalnie samuraje z przyklejonymi pawimi piórami. Z Góralami są chwilowe kłopoty ale planuje się wypożyczenia kilkunastu par kozaków męskich zaś jako Giewont wystąpi ktoś bardzo wysoki.

NOTUJMY CIEKAWE DIALOGI!

„Jaki siny... jaki chudy... jakiż mały... Ciała w ogóe nie ma — gdzież ja oczy miałam? Pierś i uda zimne takie, rozgrzać dłońmi trzeba! A co tu na nóżce ukrywamy??? Fe, nieładnie, to stempelek... W ciepłej wodzie golaska wymoczę, może jędrności nabierze. Dużo uciechy nie da — za młody... Dawniej serduszko jeszcze w to wkładali. I z główką, pamiętam, się kupowało..." Oto słowa, których zwykła używać żona pewnego pracownika kultury w czasie rozmrażania mrożonego kurczaka.

CIEKAWE ZAPOWIEDZI

W okresie poprzedzającym Święta Bożego Narodzenia nasza TV nada ciekawy teleturniej, w którym walczyć ze sobą będą materialiści z idealistami. W zasadzie zwyciężyć powinni materialiści, być może jednak przeważą szale na swoją korzyść idealiści przy pomocy cudów. Gdyby teleturniej ten wzbudził u widzów uznanie, planuje się następny, w którym specjalnie sprawdzony szczupły kapitalista weźmie się na rękę z delegatem Związków Zawodowych.

ANDRZEJ CZEKALSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Zam. 2347. U-3. Nr indeksu 37006/26762.